

SIECI

**PYZA I WIKŁO:
KTO POLUJE
NA TRENERA
CZESŁAWA
MICHNIEWICZA**

**ZBIGNIEW
ZIOBRO
MUSIMY WYJŚĆ
Z LOGIKI SZANTAŻU**



**„OPERACJA PATRIOTY”
JAN ROKITA
ODŚLANIA NIEMIECKĄ
GRĘ**



**MACIEJ
WALAŚCZYK
WCIĄŻ PŁACIMY
ZA BŁĘDY BALCEROWICZA**

SIECI

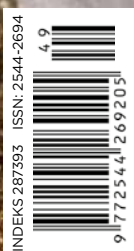
**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

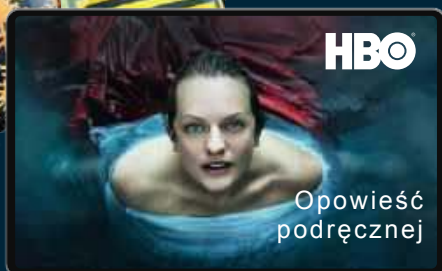
Nr 49 (523) 2022
5–11 grudnia 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

**CHORWACKI PUBLICYSTA
GORAN ANDRIJANIĆ PYTA NAS,
CZY JUŻ ZAPOMNIELIŚMY
O ŚWIĘTYM JANIE PAWLE II
I CZY ROZUMIEMY, ŻE TU CHODZI
TAKŻE O ATAK NA POLSKOŚĆ**

TYLKO U NAS

**POLACY,
CZY
POZWOLICIE
ZNISZCZYĆ GO
KŁAMSTWAMI?**





Moc świątecznych atrakcji

6 telewizja na start
miesiące
bez opłat



Pobierz ulotkę

polsat box

Wybierz swoje wszystko

Oferta ważna na dzień 28.11.2022 r. Promocja dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 miesiące. „Telewizja na start 6 miesięcy bez opłat” dotyczy wykupionej przez Klienta oferty i nie obejmuje opłaty jednorazowej za aktywację dekodera ani opłat za internet. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekodernach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) B.V. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. ELEVEN SPORTS nie gwarantuje dostępu do wszystkich meczów LaLiga; prawa dzielone z innym nadawcą. „Opowieść podręcznej” sezon 5 © MGM Television Entertainment Inc. All rights reserved.

polsatbox.pl 045 660 130

Odrażająca wściekłość Lempart

Nic tak nie jednoczy jak wspólny wróg. Zwłaszcza gdy brakuje pomysłów na program i konstruktywne budowanie jedności. Skoro jednak trwające od siedmiu lat atakowanie władzy nie powiększa grona zwolenników, trzeba pójść jeszcze dalej – skoncentrować strumień nienawiści na jednej osobie, na liderze. Odrażający atak na Jarosława Kaczyńskiego jest wyłącznie manipulacją, mającą rozpałić bezrefleksyjny ogień nienawiści. Poziom absurdałnej imaginacji osób uzurpujących sobie prawo do występowania w obronie rzekomo naruszanych praw kobiet nie mieści się w żadnych kategoriach racjonalności.

Nie chodzi o fakty. Chodzi wyłącznie o skrajnie negatywne emocje, mające wyprowadzić na ulice rozwścieczonych ludzi. Zmanipulowany przekaz ma sprawić, że wszystkie frustracje codzienności zostaną zszyte jednym spinaczem nienawiści. Totalna opozycja precyzyjnie wskazuje winnego, a okołopozycyjne bojówki organizują działania. Marta Lempart po raz kolejny ruszyła z tzw. Strajkiem Kobiet, ściągając przed dom Jarosława Kaczyńskiego agresywne frustratki, którym pomyliły się czasy i epoki.

Frekwencja nie dopisała, choć na pierwszą po długim czasie manifestację zwołowano hucznie, o co zadbały także opozycyjne media. Uzbierało się ok. 200 osób, które lawiną wulgaryzmów, wyzwisk i wściekłych wrzasków obwieszczały światu swoją rewolucyjną siłę. Protest „Parasolka w Kaczyńskiego” miał być nawiązaniem do 104 rocznicy uzyskania przez Polki praw wyborczych. Czyżby zwolenniczki Marty Lempart sądziły, że PiS nam te prawa odebrał?

Czego nie wolno kobietom w Polsce? Jak PiS utrudnił nam życie? Jaka udręka toczy serce Marty Lempart, że musi walczyć o swoje prawa, rzucając wulgaryzmami na ulicach, niczym pijany kryminalista? Cała koncepcja tzw. Strajku Kobiet oparta jest na chorej konfabulacji. Jeśli ktoś pogorszył życie kobiet w ostatnich dekadach, to raczej rząd Donalda Tuska, wydłużając wiek emerytalny kobiet i ignorując wszelkie obywatelskie projekty prorodzinne. O przedmiotowym traktowaniu pań w politycznych rozdaniach własnej partii, jak w przypadku Ewy Kopacz czy Małgorzaty Kidawy-Błńskiej, nawet nie wspomnę.

Co zrobiło dla kobiet Prawo i Sprawiedliwość? Obniżyło wiek emerytalny, przywracając kobietom prawo do krótszej pracy niż mężczyznom, wprowadziło liczne dodatki prorodzinne: 500+, wyprawka szkolna, boni wakacyjny, wprowadziło emeryturę dla matek wielodzietnych, 13. i 14. emeryturę, zdecydowanie ograniczyło poziom biedy i ubóstwa, wprowadziło rozwiązania prawne chroniące kobiety przed przemocą domową, zwiększyło ściągальność alimentów, zwiększyło matkom możliwości powrotu do aktywności zawodowej.

Skąd więc ta wściekłość feministek? I dlaczego adresatem ich nienawiści stał się właśnie Jarosław Kaczyński? Akurat szacunku wobec kobiet i dżentelmeńskiej szarmanckości wielu polityków mogłoby się od niego uczyć. Nie widać też, by skrajne feministki czy osoby LGBT+ były w jakikolwiek sposób wyłączone z przestrzeni publicznej. Przeciwnie, są w niej najgłośniejsze i bezkarne, nawet w chwili, gdy działają na granicy prawa.

Nie chodzi więc o prawa kobiet. Cele są wyłącznie polityczne, o czym wielokrotnie mówiła Lempart i jej Strajk. „Narodowa apostazja”, „zerwanie konkordatu”, „świeckie państwo”, „świecka szkoła” – to tylko część postulatów, realizujących neomarksistowski program. Po licznych manifestacjach, atakach na kościoły, demolowaniu ulic i wulgarnym obrażaniu policjantów większość kobiet odcięła się od bojówki uzurpującej sobie prawo do reprezentowania ich. Zwłaszcza że nie o prawa kobiet tutaj chodzi. Celem jest zmiana władzy poprzez wzbudzenie skrajnych emocji i wywołanie społecznej niechęci, jasne wskazanie wroga i obarczenie go winą za wszelkie frustracje i kryzysy, obecne i przyszłe. Można się więc spodziewać, że „czarne marsze” powrócą ze swoimi parasolkami jeszcze nieraz. Wątpliwe jednak, by Lempart zdołała zgromadzić realną siłę polityczną. Uderza do najniższych, w dodatku mocno zdemoralizowanych instynktów, a bolszewickie metody jej działań przyciągają specyficzne grono. Żal tylko, że debata publiczna o sprawach kobiet sprowadzona zostaje do poziomu odrażającej agresji i rzymsztokowej manipulacji.

Marzena Nykiel


36

Straszenie biedą
Konrad Kołodziejski


45

Polacy chcą mieć dzieci
Z Michałem Kotem rozmawia Dorota Łosiewicz


69

Wciąż od nowa zaczynam żyć
Z Jerzym Zelnikiem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 9 TO BYŁO KŁAMSTWO**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 MIĘDZY KRZYSEM A STIRLITZEM**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 POLITYKA MA KONSEKWENCJE**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA BERNARDA MARGUERITTA**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 DZIECI, O KTÓRYCH CIERPIENIU NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 SEKSOCENTRYZM**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 POLACY, CZY WY NA TO POZWOLICIE?!**
Goran Andrijanić

KRAJ

- 24 WARSZAWA-BERLIN: DESTRUKCJA ZAUFANIA**
Jan Rokita
- 27 ULTIMATUM TUSKA**
Stanisław Janeczek
- 30 ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowski
- 36 STRASZENIE BIEDĄ**
Konrad Kołodziejski
- 39 SAMORZĄDOWI OLIGARCHOWIE**
Z Markiem Formelą rozmawia Andrzej Rafał Potocki
- 42 FACET Z BRZYTĄ**
Maciej Walaszczyk
- 45 POLACY CHCĄ MIEĆ DZIECI**
Z Michałem Kotem rozmawia Dorota Łosiewicz
- 48 SUKCES NA MIARĘ**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 52 POLSKA WYPEŁNIŁA OBOWIĄZEK**
Adam Dziewanowski, Piotr Kalka, Filip Kuczma, Wojciech Samół

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 54 NASZ TRÓJKĄT BEZPIECZEŃSTWA**
Marek Budzisz

- 58 W POSZUKIWANIU KOLABORANTÓW**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

- 60 POLITYKA, SEKS I KRYPTOWALUTY**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 64 WOJNA I DZIEDZICTWO**
Andrzej Nowak

SIECI KULTURY

- 69 WCIĄŻ OD NOWA ZACZYNAM ŻYĆ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 72 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 74 JACY TACY, UNIJCZYCY I POLACY**
Robert Tekieli
- 75 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 76 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 80 WĘGIEL TO BYĆ ALBO NIE BYĆ NASZEJ GOSPODARKI**
Rozmowa z prof. Władysławem Mielczarskim

ZDROWIE

- 84 STOIMY PO STRONIE POLSKICH LEKARZY**
Rozmowa z lek. med. Tomaszem Baranem

PODRÓŻE

- 92 MOJE SZLAKI: SZYMON KUŚMIDER**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 93 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 94 MÓJ JP2**
Alina Czerniakowska
- 95 PALIWO WAGINALNE**
Piotr Cywiński
- 95 REWELACJA W RYTMIE TANGA**
Adam Ciesielski
- 96 PAPIEROWE PATRIOTY**
Wiktor Świetlik
- 96 POKŁOSIE**
Lech Makowiecki
- 97 TA PIĘKNA MIŁOŚĆ**
Leszek Długosz
- 98 ANTY-PIS Z ROZPĘDU**
Katarzyna Zybortowicz



**Pierwsza stłuczka?
Nie szkodzi!**

**Ochrona Zniżki OC
już za 35 zł rocznie**

MATERIAŁ MARKETINGOWY

Klauzula Ochrona Zniżki działa w przypadku pierwszej szkody z OC oraz pierwszej szkody z AC dla danego pojazdu, pod warunkiem opłaty dodatkowej składki przy ubezpieczeniu OC lub pakiecie OC/AC. Klauzula nie jest dostępna w przypadku braku historii ubezpieczenia OC u wszystkich właścicieli pojazdu lub gdy wystąpiła szkoda z OC w ostatnim roku u któregośkolwiek z właścicieli pojazdu. Szczegółowe informacje dostępne są w OWU. Komunikacja na stronie www.link4.pl.

Sygnalista nadaje

🔊 Czy to nowa metoda walki politycznej? Mec. Jacek Dubois poinformował, że „sąd nieprawomocnie przyznał Radosławowi Sikorskiemu od Jarosława Kaczyńskiego kwotę 708 480 zł na pokrycie kosztów opublikowania przeprosin w serwisie Onet”. Europoseł PO pozwał Jarosława Kaczyńskiego za następujące słowa: „Wiceambasador w Moskwie Piotr Marciniak złożył notę w sprawie eksterytorialności miejsca katastrofy [smoleńskiej]. Następnie polecono mu ją wycofać. To było posunięcie wykonane na polecenie **Radosława Sikorskiego**, ale czy bez wiedzy Tuska? Tu już jest bardzo poważny przepis kodeksu karnego – zdrada dyplomatyczna”. Część polskiego wymiaru sprawiedliwości zaczyna brzydko się bawić. Sankcje materialne wymierzone w przeciwników politycznych czy polemistów (tym razem pod pretekstem pokrycia kosztów przeprosin) to typowe działanie reżimów autorytarnych. Demokracja w Polsce naprawdę jest zagrożona, i to u samych podstaw.

🔊 Prokuratura Regionalna w Szczecinie ujawniła treść wiadomości tekstowych, które zaangażowana w walkę o „praworządność” prokurator Ewa W. wysyłała do jednego ze współpracowników Rafała Trzaskowskiego w szczycie kampanii prezydenckiej. Chodziło o informacje dotyczące głośnych wypadków z udziałem miejskich autobusów. „Z uwagi na fakt, że Ewa W. nie była referentem tej sprawy, a nawet nie toczyła się ona w jej jednostce, zwróciła się ona do znanej jej osobiście prokurator, pisząc: »[...] a tak serio Małgoś zależy mi na info o wynikach krwi. Top secret oczywiście. Da się?«. Uzyskiwane etapami informacje o wynikach śledztwa Ewa W. przekazywała Michałowi D., pisząc

m.in.: »dawaj do RT zanim dotrze z innego źródła«. Prokurator Ewa W. pisała następnie do Małgorzaty M., od której uzyskiwała informacje: »Gosieńka RT jest Twoim dłużnikiem – a ja trzy razy bardziej« – czytamy w komunikacie. Jak widać, walka z rzekomym upolityczeniem prowadzi często do upolitycznienia skrajnego.

🔊 Na tym nie koniec, bo Ewa W. podjęła się także roli doradcy. W korespondencji z Michałem D. przekazywała swoje sugestie co do linii obrony kierowcy autobusu: „powinien iść na brak znamion 174”; „adw niech idzie na posiedzenie z wydrukami z gazet i złoży do akt [...] wyjdzie na to że skazali go zanim został mu postawiony zarzut (jak przy szydło)” – pisownia oryginalna. Dalej pisze: „sędzia Krzywda przewodniczy posiedzeniu, emocjonalna dość – więc jeśli adw zaskoczy ją czymś, czego się nie spodziewa z akt typu – mój klient jest ofiarą rozgrywek politycznych w trwających wyborach prezydenckich”. Z innych wpisów Ewy W. wynika, że była bezpośrednio zaangażowana politycznie w epicentrum kampanii wyborczej: „politycy platformy chcą zrobić szoł medialny. Odradzałam, może posłuchają”. Przekazując Michałowi D. informacje objęte tajemnicą śledztwa, Ewa W. wprost zauważa: „wiedza to władza”. To prawda, wiedza to władza.

🔊 Wojewoda mazowiecki **Konstanty Radziwiłł** stwierdził nieważność zarządzenia prezydenta Warszawy w sprawie powołania Moniki Strzępki na dyrektora Teatru Dramatycznego. Strzępka w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” oświadczyła, że działania wojewody

🔊
Ekonomiczna
twarz
Platformy
posłanka
Izabela
Leszczyna ma
pomysł na walkę
z inflacją: „To, co
trzeba zrobić, żeby
użyć naprawdę
biednym, którzy
nie radzą sobie ze
związaniem końca
z końcem, to NBP
powinien prowadzić
prawdziwą politykę monetarną
i walczyć z inflacją”.

Jaką konkretnie?
„Powinien wypuścić obligacje
antyinflacyjne, czyli ściągnąć
pieniądz z rynku, mówiąc ludziom:
macie swoje oszczędności, one
wam topnieją, to kupcie obligacje
antyinflacyjne, a my zwrócimy
wam za 2, 3, 4 lata”. Redaktor
prowadzący rozmowę zareagował
celnie: „Nie wiem, czy najbiedniejsi mają
dziesiątki tysięcy zaoszczędzonych”. A poza
tym, to pomysł w interesie bogatych: inflację
zdusza, ale przy okazji wpędzą gospodarkę
w prawdziwy kryzys i masowe bezrobocie.
Ale dobrze, że już tego nie ukrywają.

to „cenzura”. „Rządzący Polską przyzwyczaili nas do niemerytorycznych decyzji kadrowych i niszczenia instytucji, które odwołują się do takich wartości jak wolność artystyczna”. Chwilę później zaprezentowała swoją wizję merytoryczności, deklarując, że „przyszłością nie są smutni panowie w garniturach, tylko ruchy społeczne, środowiska kobiece, młode osoby LGBT+, tam jest paliwo do zmiany świata”. Co jednak, jeśli my wolimy nasz świat, a nie strzępkowe szaleństwo?

W Radiu Zet poszła już na całość. „Jako ludzie kultury robimy, co możemy i gdzie możemy. Jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji, bo żyjemy w państwie totalitarnym” – przekonywała, dowodząc, że wykształcenie otrzymała raczej kiepskie. Broniła instalacji „złotej waginy” w teatrze, nie kryjąc, że to wtórne („We współczesnej sztuce wagina jest na każdym kroku”), oraz zaczęła mówić, co z czym jej się kojarzy: „Żyjemy w kraju, w którym po prostu mamy tych penisów wyszorcowanych wszędzie bez liku. Bo to są symbole fallusa. Wszystko, co jest wysokie i pnie się w górę, to jest męskie”. Jakże to wszystko wtórne, jakże prowincjonalne i jakże tandetne. Jeśli Trzaskowskiemu się podoba, niech trzyma w swoim biurze, a nie w teatrze – w końcu świątyni sztuki.

Znany aktor Bogusław Linda postanowił uczcić 30. rocznicę premiery filmu „Psy”. Uczcił zgodnie z wymową dzieła, które relatywizowało, a nawet heroizowało esbeków, zatruwając słabą, biedną, ale już niepodległą Polskę groźnymi toksynami. W rozmowie z „Newsweekiem” Linda oryginalny nie jest. Polska „straszenie” mu się nie podoba, ponieważ „nadużywa się władzy, łamie prawo, kupczy stanowiskami i kasą dla swoich”, a „władzę zdobyli ci, którzy cynicznie wykorzystali elektorat sfrustrowanych, biednych ludzi, tych wszystkich nieszczęśników i zakompleksionych, niepotrafiących powiedzieć słowa w obcym języku, którzy zawsze byli lekko chowani pod dywan, bo wstyd było ich pokazać”. Niby aktor znany i uznany, ale kompleksy wciąż ogromne. Czasem przykryte poczuciem wyższości, ale w sumie nie do ukrycia.

Ostatecznie rozmowa przybiera zabawny obrót. Linda uważa, że za czasów PO-PSL miał większą wolność wyboru, jaki film zamierza zrobić: „Teraz, jeśli nie jest się sojusznikiem władzy, nie można liczyć na żadne pieniądze, bo rozdawane są z klucza partyjnego”. To kabaret, bo akurat w świecie filmu monopol głównego nurtu nie został faktycznie ruszony, a filmów plujących na Polskę nie sposób zliczyć. Zdaniem Lindy promuje się też miernoty: „Wyciągają z niebytu tych wszystkich miernych reżyserów i scenarzystów,

którzy przez wieki ze słusznych względów nie istnieli w polskiej kinematografii. Żeby z filmu na polityczne zamówienie wyszło coś dobrego, nie wystarczy mieć słuszne poglądy, trzeba mieć talent”. Bywa różnie, ale intencje są ważne. Ci, którzy plują na Polskę w swoich dziełach, idą do piekła.

Do mediów trafiło nagranie głośnego wypadku z udziałem **Jerzego Stuhra**. Czy aktor, będący pod wpływem alkoholu, uciekał z miejsca zdarzenia? W rozmowie z „Faktem” rzecznik krakowskiej prokuratury, prok. Janusz Hnatko, przekonywał, że nie: „Kierujący motocyklem, jadący prawidłowo, miał kontakt z pojazdem osobowym. I to jest właściwie całe zdarzenie. Później, z uwagi na to, że podejrzany twierdzi, że nie widział i nie słyszał, aby doszło do kontaktu, który wymagał, aby zatrzymał się, kontynuował jazdę. Widział osobę krzyczącą do niego. Przebieg tego zdarzenia potwierdza także zabezpieczony materiał dowodowy w postaci nagrania, którego dokonał pokrzywdzony”. Można rzec, solidna mowa adwokacka.

Cóż, uważne obejrzenie nagrania wskazuje, że przebieg zdarzenia był jednak inny, a aktor z dużym prawdopodobieństwem miał świadomość, co się wokół niego dzieje. Po licznych głosach oburzenia prokuratura wydała nowy komunikat, oświadczając, że „podejrzany po kolizji z motocyklem oddalił się z miejsca zdarzenia”, „Motocyklista dogonił Jerzego S., zatrzymał go i poinformował, że został potrącony. Jak wynika z treści nagrania, Jerzy S. oddalił się, nie reagując na słowa kierowcy. Dopiero kolejna próba zatrzymania Jerzego S. przez motocyklistę, który blokując mu drogę motocyklem, a następnie stając na drodze, uniemożliwił mu oddalenie się”. No zadręczą nam Wielkiego Aktora, zadręczą. Kiedyś taka sprawa w ogóle nie dostałaby się do mediów. W III RP, zauważmy, celebryci właściwie nie popełniali przestępstw. Komu to przeszkadzało?

Opublikowane przez Krajowy Instytut Mediów pierwsze wyniki badań pasywnych w zakresie odbioru stacji radiowych przyniosły dobre wiadomości nadawcy publicznemu. Wynika z nich, że Polskie Radio ma 20 proc. udziału w rynku słuchalności. Panel pasywny – w przeciwieństwie do badań ankietowych – pokazuje rzeczywiste, realne wybory słuchaczy co do stacji radiowych w Polsce. Jego wyniki potwierdzają racje tych, którzy wskazywali, że badania ankietowe, oparte jedynie na deklaracjach słuchaczy, mają wiele wad i w pewien sposób fałszują obraz rynku radiowego. Nie było więc przypadkiem, że badanie pasywne – odwołujące się do rzeczywistości – pojawiło się dopiero teraz, po wielu dekadach zabiegów w tej sprawie. Ktoś chciał, byśmy trwali w fikcji.

WIEŻA BAB

Już półtora miesiąca minęło od chwili, gdy znany aktor Jerzy Stuhr potrafił motocyklistę. Wówczas podczas badania alkometrem u gwiazdora stwierdzono 0,7 promila alkoholu. I żadna to satysfakcja, że wybitny aktor, który chętnie opowiadał o tym, że za granicą wstydzi się mówić po polsku, a w polskim społeczeństwie najbardziej mu przeszkadza pogarda do prawa i kłamstwo, wykazał się jednym i drugim. Wygląda na to, że oceniał społeczeństwo przez pryzmat własnego doświadczenia.

Bo jeśli chodzi o pogardę dla prawa, czyli jazdę po alkoholu, to ta jest bezdyskusyjna. Niestety, okazało się, że i z prawdą nie jest najlepiej. Przypomnę tylko, że dzień po wypadku Jerzy Stuhr oficjalne przeprosiny przekazał na facebookowym koncercie swojego syna Macieja: „Szanowni Państwo! Bardzo żałuję i przepraszam, że wczoraj podjąłem tę najgorszą w moim życiu decyzję o prowadzeniu samochodu. Deklaruję pełną współpracę z organami powołanymi do wyjaśnienia wczorajszego incydentu. Jednocześnie chciałem zapewnić, że wbrew doniesieniom medialnym, nie zbiegłem z miejsca zdarzenia, lecz zatrzymałem się na życzenie jego uczestnika i razem oczekiwaliśmy na przyjazd policji. Z poważaniem, Jerzy Stuhr”.

Tymczasem dziennik „Fakt” opublikował nagranie z kolizji, do której doprowadził pijany celebryta. Film zadaje kłam słowom aktora w kwestii próby ucieczki z miejsca zdarzenia i niejednego fana talentu aktorskiego Jerzego Stuhra może wprawić w osłupienie. Nie ma bowiem wątpliwości, że artysta potrafił motocyklistę, a następnie uciekał. Tylko determinacja motocyklisty sprawiła, że aktor został zatrzymany, a sprawa trafiła do prokuratury.

Po upublicznieniu nagrania Prokuratura Okręgowa opublikowała komunikat, z którego wynika, że Jerzy Stuhr będzie jednak odpowiadał za ucieczkę z miejsca kolizji, do której doprowadził po pijanemu. Wcześniej jednak prokuratura wydawała się prezentować tę samą linię, którą przedstawił w mediach społecznościowych Jerzy Stuhr. „W tej sprawie z uwagi

To było kłamstwo

Ten film zadaje kłam słowom aktora w kwestii próby ucieczki z miejsca zdarzenia i niejednego fana talentu Jerzego Stuhra może wprawić w osłupienie

sał w mediach społecznościowych. Oby nie miał racji.

Bez wątpienia jednak rację ma prof. Mariusz Jędrzejko, dyrektor naukowy Centrum Profilaktyki Społecznej, który na co dzień pracuje z młodzieżą, by wyrwać ją ze szponów różnych uzależnień. W rozmowie ze mną na-

ukowiem nie krył swojego rozżalenia: – W Polsce jest dość liczna grupa ludzi, która przypisuje sobie tytuł ikon: muzyki, kultury, dziennikarstwa. I ta grupa uważa, że ma prawo od innych wymagać i mówić więcej. Bez wątpienia Jerzy Stuhr jest ikoną aktorstwa, która zabierała głos w wielu ważnych sprawach dotyczących Polski. Od dnia, gdy pan Stuhr potrafił motocyklistę pod wpływem alkoholu, nie ma moralnego prawa wypowiadać się w żadnej sprawie. Podobnie było z panią Starak, gdy jej powiedziałem, że pali marihuanę, a rano uczy ludzi, jak mają wychowywać dzieci. Wszystkie te ikony muszą się obudzić. Albo jest się moralnym od poniedziałku do niedzieli, 24 godziny na dobę, albo trzeba się przyznać, że moralność to tylko słowa, a postępuje się zupełnie inaczej i wszystkim waram od tego. Bardzo żałuję tego, co zrobił pan Stuhr, bo to jest aktor wybitny. I on tym jednym ruchem zniweczył wszystkie lata ciężkiej pracy osoby publicznej. Jedyne, co może teraz zrobić, to schować się w teatrze i przestać udawać autorytet i wypowiadać się w kwestiach publicznych. Te słowa, to bolesna uczciwość – podsumował sprawę prof. Jędrzejko.

A przecież to pogardą dla prawa i kłamstwem brzydził się kiedyś Jerzy Stuhr.

Dorota Łosiewicz



Alfa Romeo
F1 TEAM



TITLE SPONSOR

#Dobry
Kierowca



OSZCZĘDZAJMY PAPIER Z DZIECIĘCĄ ENERGIA



Pobierz aplikację ORLEN VITAY

Bo zamiast drukować dokumenty,
możesz je mieć w telefonie.

dobrykierowca.orn.pl

Imigranci mile widziani

Niemcy



Szefowa niemieckiego MSW Nancy Faeser (SPD) chce reformy prawa o obywatelstwie, aby ułatwić integrację imigrantów. SPD, FDP i Zieloni nakreślili już w umowie koalicyjnej szczegóły reformy. Zakłada ona m.in. skrócenie okresu wymaganego do naturalizacji cudzoziemców z obecnych ośmiu lat pobytu do pięciu lat. W przypadku szczególnych osiągnięć integracyjnych naturalizacja byłaby możliwa już po trzech latach. W przypadku „gastarbeiterów” starszego pokolenia (powyżej 67 lat) ma być zniesiony wymóg znajomości języka niemieckiego. Zamiast tego wystarczyć ma wykazanie się przez nich umiejętnością komunikacji ustnej. Dla tej grupy zrezygnowano też z wymogu zdania testu z wiedzy o Niemczech. Według szefowej MSW osoby te wniosły znaczący wkład w rozwój Niemiec, obywatelstwo ma być więc wynagrodzeniem za ich wysiłek. Z kolei dzieci urodzone w Niemczech z cudzoziemskich rodziców powinny

automatycznie otrzymać obywatelstwo niemieckie, jeśli jedno z rodziców miało zgodnie z obowiązującym prawem przebywać w Niemczech przez pięć lat. Zalegalizowane będzie również podwójne obywatelstwo.

Projekt od razu skrytykowała opozycja. „Niemiecki paszport nie może stać się towarem śmieciowym” – zaznaczył Thorsten Frei z klubu parlamentarnego CDU/CSU. Zdaniem wiceprzewodniczącej frakcji chadecji w Bundestagu Andrei Lindholz reforma oznacza, że praktycznie każdy może otrzymać obywatelstwo, a to zniechęci migrantów do integracji. Krytyka pojawiła się także w mediach. Zdaniem gazety „Volksstimme” nawet ci, którym odmówiono azylu (i nie zdążono deportować) mogą zostać umieszczeni na liście oczekujących na stały pobyt i kiedyś stać się Niemcami. Tym samym prawo do azylu staje się prawem do imigracji. „Gdy ta wiadomość rozejdzie się po świecie, ludzie w Syrii, Afganistanie i innych miejscach zaczną zbierać swoje manatki; ziemia obiecana wzywa!” – czytamy.

Partie koalicyjne widzą to inaczej. Wskazują na potrzebę co najmniej

400 tys. wykwalifikowanych pracowników rocznie, aby utrzymać gospodarkę w ruchu. „Prawie żaden inny kraj nie jest tak desperacko zależny od imigracji jak Niemcy, i w prawie żadnym innym kraju ludziom, którzy chcą pracować i coś wnieść, nie stawia się tylu przeszkód” – uważa lider frakcji FDP w Bundestagu Christian Dürr. Według niego ważne jest jednak, by integrować cudzoziemców na rynku pracy, a nie w systemie socjalnym.

Tymczasem presja migracyjna rośnie – kraje związkowe nie wiedzą już, jak pomieścić tzw. uchodźców – aż 160 tys. nowych wniosków o azyl zostało złożonych między styczniem a październikiem tego roku, głównie przez imigrantów z Syrii, Afganistanu oraz Turcji. To 40 proc. więcej niż rok wcześniej. Większość tych imigrantów nie spełnia kryteriów dających zakwalifikować ich jako fachowców. Alternatywa dla Niemiec (AfD) zarzuciła SPD, Zielonym i FDP, że ściągając imigrantów do Niemiec i dając im obywatelstwo, chcą stworzyć sobie stałą bazę wyborczą. Reforma ma być jeszcze przedmiotem debaty w Bundestagu. **▲**

Aleksandra Rybińska



Iran wchodzi do gry

Po przegranej wojnie o Karabach z Azerbejdżanem w 2020 r. Armenia znalazła się w opłakanej sytuacji geopolitycznej. Rosja, na której odsiecz liczono, nie kiwnęła nawet palcem, aby pomóc Ormianom. Także później Moskwa, choć zagwarantowała wsparcie władzom w Erywanii, nie zrobiła nic w obliczu azerskich ataków. W tej sytuacji, gdy wydawało się, że znikąd nie ma pomocy, niespodziewanie w obronie chrześcijańskiej Armenii przed jej muzułmańskimi sąsiadami wystąpił... Iran.

Rząd w Teheranie oświadczył, że naruszenie integralności terytorialnej Armenii jest cienką czerwoną linią, której przekroczenia nie będzie tolerował. Mało tego, irańska armia zaczęła w pobliżu granicy azersko-armeńskiej wielkie ma-

newry wojskowe. Deklaracja Persów wywołała wzburzenie w Baku. Prezydent Ilham Alijew skrytykował ją, zauważając, że wcześniej w trakcie konfliktu o Karabach z Ormianami ajatollahowie nie troszczyli się o niczyją integralność terytorialną. W związku z tym Azerowie zainicjowali własne ćwiczenia wojskowe przy granicy z Armenią.

Napięcie między Teheranem a Baku ma dwa dodatkowe wymiary. Po pierwsze, za Azerami bardzo mocno stoją Turcy, których wpływu w regionie obawiają się Irańczycy. Jest to więc jeden z elementów rywalizacji między Ankarą a Teheranem. Po drugie, na terenie Iranu żyje kilkanaście milionów Azerów – więcej niż w samym Azerbejdżanie (ok. 8 mln). Rząd ajatollahów obawia się z ich strony ruchów separatystycznych, zaś ostatnie sukcesy w wojnie z Ormianami sprawiły, że irańscy Azerowie poczuli się pewni siebie.

W tej rywalizacji brakuje Rosjan, którzy jeszcze do niedawna byli głównymi rozjemcami w regionie. Ugrzęźli teraz na Ukrainie i nie mają środków, by dopilnować swych interesów na Zakaukaziu i bronić Ormian. W pozostawioną przez nich pustkę wchodzi więc ktoś inny. Nic dziwnego, że premier Armenii Nikol Paszynian odmówił podpisania dokumentu o układzie bezpieczeństwa zbiorowego wspólnie z Putinem. Teheran wydaje się dziś dla niego lepszym sojusznikiem niż Moskwa.

Grzegorz Górny

Bitwa o naftę

Wenezuela

W minionym tygodniu władze USA wydały licencję gigantowi naftowemu Chevron na wznowienie współpracy z Wenezuelą. Decyzję tę podjęto po zawarciu porozumienia między rządem Nicolasa Maduro i opozycją na temat losu wartych trzy mld dol. aktywów kraju zamrożonych w efekcie międzynarodowych sankcji. W czasie negocjacji prowadzonych w Meksyku pod patronatem norweskich dyplomatów, ustalono, że zablokowane fundusze rządowe mają trafić na specjalny fundusz humanitarny, który będzie zarządzany przez administratorów wyznaczonych przez ONZ.

Zdaniem wielu komentatorów osiągnięcie porozumienia było możliwe, bo amerykańska administracja powoli zmienia swój stosunek do reżimu w Caracas. Waszyngton w związku z wojną na Ukrainie zainteresowany jest wzrostem wydobywania ropy naftowej w Wenezueli, po to aby, zwiększając podaż tego surowca, działać na rzecz spadku cen, co zwiększy siłę presji wywieranej na Moskwę. Tym bardziej, że w grudniu ma wejść w życie limit cenowy na rosyjską ropę wprowadzony decyzją państw grupy G7, a Wielka Brytania, która kontroluje 90 proc. globalnego rynku ubezpieczeń morskich, zapowiedziała, że frachty z rosyjską ropą nie będą asekurowane, jeśli wartość surowca przekroczy ustalone limity.

Licencja dla Chevronu ma obowiązywać przez najbliższe pół roku, a potem może być przedłużana o kolejne okresy. Obejmuje również import ropy pochodzącej z Wenezueli do Stanów Zjednoczonych, jednak środki z tego handlu nie mogą trafić do rządu Maduro, a będą przeznaczone na spłatę długów tego przeżywającego wieloletni kryzys kraju.

Według Francesco Monaldiego, eksperta energetycznego z Uniwersytetu Rice, Chevron może docelowo wydobywać w Wenezueli ok. 200 tys. baryłek ropy dziennie, co stanowi ¼ obecnego poziomu. Zasoby naftowe kraju umożliwiają wydobyć nawet trzech milionów baryłek dziennie, ale produkcja na taką skalę musiałaby zostać poprzedzona zniesieniem wszystkich sankcji. Na razie na to się nie zanoszą, zwłaszcza, że reżim Maduro nie przejawia gotowości, aby iść na daleko idące ustępstwa wobec opozycji przed wyborami prezydenckimi zaplanowanymi na 2024 r. Jego skłonności do kompromisu nie zwiększa też seria zwycięstw lewicy w państwach Ameryki Łacińskiej, co zmniejsza dyplomatyczną izolację reżimu na kontynencie. W ubiegłym miesiącu z Maduro spotkał się Gustavo Petro, nowo wybrany lewicowy prezydent Kolumbii. Jego przyjazd do stolicy Wenezueli był pierwszą wizytą reprezentanta państwa latynoamerykańskiego od 2018 r. Łagodzenie reżimu sankcyjnego nie gwarantuje więc, że proces demokratyzacji będzie szybki, ale jako narzędzie presji na Rosję, może okazać się efektywne.

Marek Budzisz



Senat USA – większością 61 do 36 przy 12 republikanach głosujących za – przyjął ustawę, która ma chronić małżeństwa zawierane przez osoby tej samej płci. Ustawa wróci teraz do Izby Reprezentantów, która mają zatwierdzić i przesłać do podpisu prezydentowi.

Demokraci śpieszą się zanim w styczniu republikanie przejmą kontrolę nad niższą izbą Kongresu. Boją się też konserwatywnej większości w Sądzie Najwyższym, który w czerwcu orzekł, że prawo do aborcji nie jest prawem konstytucyjnym, a sędzia Clarence Thomas wezwał już kolegów do ponownego rozpatrzenia sprawy pod zbiorczą nazwą: Obergefell vs. Hodges, która stała się podstawą wyroku Sądu Najwyższego z 2015 r. uznającego, że konstytucyjne prawo do zawierania małżeństw obejmuje także związki tej samej płci.

Demokraci chcą, aby nowa ustawa – o przewrotnej nazwie „O poszanowaniu małżeństwa” (Respect for Marriage Act) – zastąpiła wciąż obowiązującą ustawę o obronie małżeństwa (DOMA) z 1996 r., która na poziomie federalnym definiuje je jako związek jednego mężczyzny i jednej kobiety. Dzięki temu – jak sądzą – uda się zalegalizować homomałżeństwa na poziomie całego państwa i wymusić na władzach stanowych kontrolowanych przez prawicę respektowanie związków homoseksualnych zawieranych w innym stanie i ich rejestrację w aktach stanu cywilnego, nawet w razie zmiany orzeczenia Sądu Najwyższego z 2015 r.

Głos w tej sprawie zabrała Konferencja Biskupów Katolickich ostrzegając, że nowa ustawa odrzuca ponadczasowe prawdy na temat istoty małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety oraz zagraża wolności religijnej. Istnieje obawa, że nowe prawo narazi duchownych, osoby wierzące i innych Amerykanów, którzy podtrzymują pierwotne znaczenie małżeństwa, na ryzyko dyskryminacji ze strony rządu np. utratę zwolnienia podatkowego dla organizacji non-profit. Chodzi również o małe firmy np. dostawców usług weselnych czy cateringowych, którzy odmawiając ich parom homoseksualnym, byłiby narażeni na procesy sądowe i nękanie ze względu na przekonania. Aby temu zapobiec, Senat przyjął poprawkę zgłoszoną przez trzech republikańskich senatorów, którzy w zamian poparli ustawę.

Już w lipcu podczas głosowania w kongresie projekt przeszedł przy wsparciu aż 47 republikanów. Spory światopoglądowe o aborcję, modlitwę w szkołach i małżeństwa homoseksualne dzielą prawicę i ich słabnącą bazę wyborczą. Badania z lipca 2022 r. wykazały, że 71 proc. Amerykanów popiera małżeństwa osób tej samej płci.

Maciej Walaszczyk

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Między kryzysem a Stirlitzem

Kryzys energetyczny w Europie, do którego doprowadziła bezwstydną zмова Niemiec z Rosją, w gruncie rzeczy powinien być wyjaśniony przez stosowne instancje UE. Ponieważ okazało się wielokrotnie, że na rzetelność administracji unijnej nie ma co liczyć, nasze władze postanowiły przyrzeć się uważnie tym sprawom z perspektywy polskiego podwórka, które znajduje się w węzłowym miejscu wielu sąsiedzkich interesów. Zapowiedź powołania komisji specjalnej oczywiście wywołała oburzenie osobników wystraszonych demaskacją. Przenikliwy jak zwykle marszałek Senatu odkrył, że „to pewien rodzaj polowania. Zapewne chodzi o Tuska”. Otóż to. Pif-paf!

Społeczeństwo zajęte swymi sprawami nie bardzo wiedziało, co drażni popleczników Lotosu w fuzji z Orlenem. Teraz ma szansę dowiedzieć się, ile kasy z Lotosu wyludziła mafia przy pomocy spółek i spółeczek, słupów i słupków udających działalność gospodarczą. Prężne środowisko gdańskich liberałów odkryło, że najbardziej oplaca im się produkcja faktur. Lebskie chłopaki! Czysta robota przy kompie, żadne tam ba-



**Jan
Pietrzak**

branie się w petrochemicznych smrodach. Bodajże niejakiemu Grasiowi wyrwało się w knajpie u Sowy, że narkotyki to słaby biznes w porównaniu z machlojkami podatkowymi. A ówczesny szef finansów nie bez powodu wypalił, opuszczając swój urząd, że „piniendzy ni ma i nie będzie”. Bo tym się zajmował na ministerialnym fotelu. Był przekonany w swej zadufanej ignorancji, że wykonał postawione mu zadanie. Toteż po perfekcyjnej akcji rządu PiS blokującej mafię VAT-owską był w szoku. Jak Stirlitz, który wychodząc z baru, poczuł silne uderzenie w potylicę. Szybko się odwrócił. O, to był asfalt! Skoro pamięć przywołała mi tu Stirlitza, jeszcze jeden żarcik z tego cyklu. Szedł Stirlitz ulicami Sopotu, coś jednak

zdradzało w nim szpiega. Może walonki, może kufajka albo uszatka, a może ciągnący się za nim spadochron?

Nawet bez sięgania do Stirlitza od lat bawi nas ruskoniemieckie poczucie humoru. Taki np. dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku zauważył niedawno, że my w Polsce nie dojrzeliliśmy do niepodległości, do demokracji. Stalin z Hitlerem też tak uważali. Zabawny koles... 

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Na strzepy

Wiem, nie wypada żartować z nazwisk. Ale jak czytam teksty i wpisy lewackich działaczy oburzonych, że wojewoda Konstanty Radziwiłł próbuje odwołać dyrektora warszawskiego teatru Monikę Strzępkę, to przypomina mi się stary dowcip z czasów PRL.

Do starego leśniczego w Puszczy Białowieskiej przyjeżdża delegacja z KC PZPR i zapowiada polowanie wysokich dygnitarzy. – A kto przyjedzie? – pyta leśnik, podkreślając sumiastego wąsa. – No, będą Gierek, Pyka, Babiuch, Baka i Ciosek – odpowiadają goście. – No dobrze, to nagonka, a kto będzie polował? – dopytuje się leciwy leśniczy.

Rzecz jasna nie jest tak, że skoro przodkowie byli godni i zasłużeni, herbowi i arystokratyczni, to dziedziczymy ich reputację. Sam miałem kolegów o dobrych nazwiskach, którzy – dla kariery i stanowisk – obrzydliwie się ześwinili.

Niewątpliwie jednak istnieje coś takiego jak kulturowy kapitał wypracowany przez poprzednie pokolenia. Oczywiście można go zaprzepaścić, roztrwonić, ale – jeśli się go ma – mamy szansę, aby go użyć. Korzystać z cywilizacyjnych doświadczeń swoich antenatów, oglądać wraz z nimi ich ukochane obrazy, słuchać arcydzieł muzycznych, których oni słuchają, czytać książki, które nam polecili.

Rzecz oczywista w większości są tacy, którzy tego cywilizacyjnego „backgroundu” nie mają, których przodkowie nie

pozostawili im żadnego wartego uwagi dziedzictwa. I piszę o tym jako potomek bezrolnych mazowieckich chłopów spod Grójca, którzy wypasali cudze owce i zbierali w sadach cudze jabłka.

Zdaję sobie sprawę również z tego, że bycie arystokratą w Polsce to nie tylko chwała i przywilej, ale też historyczny ciężar. Bo niektórzy z nich, nawet ci z najlepszymi nazwiskami, aktywnie przyczynili się do upadku Rzeczypospolitej, a potem chętnie sprzedawali swój prestiż zaborcom w zamian za przywileje. Rusyfikowali się i zniemczali. To kompromitujące i niegodne. Można ich nawet nazwać zdrajcami ojczyzny. Ale to nie oznacza, że utracili kulturowy kapitał, które ich rody niosły przez wieki.

Dlatego uważam, że tak długo jak Potoccy, Czartoryscy, Sapiehowie, Wiśniowieccy oraz Radziwiłłowie nie będą organizować parad niosących pomnik waginy, tak długo będzie szansa na ocalenie polskiej kultury przed ekscesami wandalii, Gierka, Babiucha i całej tej idącej ich śladem współczesnej barbarzyńskiej nagonki. Na uratowanie naszego świata przed rozerwaniem go na strzepy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl 



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polityka ma konsekwencje

Czasami fotografie mówią więcej niż tekst. Pogrzeb Jerzego Urbana. Adam Michnik między starymi komuchami i ich spadkobiercami. Jak w rodzinie.

Nie chodzi o biologiczne powinowactwa, ale o ważniejszą dla człowieka kulturę. I to w tym najgłębszym sensie, w którym zawiera ona politykę. Przedwcześnie zmarły Jakub Karpiński, wybitny socjolog i historyk, któremu PRL nie pozwolił rozwinąć skrzydeł, opowiadał, że czytał „Nie” po to, aby przekonać się, co i jak pisać będzie „Wyborcza”. Ponieważ wstydził się kupować organ Urbana, robił to incognito na Dworcu Centralnym. W połowie lat 90. teza Karpińskiego wydawała się radykalnie przesadzona. Z czasem coraz bardziej przekonywała.

Nienapisana monografia „GW” traktowałaby o tym, że idee mają konsekwencje, a raczej, że ma je polityka. Mało kto z tych, którzy ją uprawiają, myśli o tym i jeszcze mniej wyciąga z tego wnioski. Tym bardziej podlega tej prawidłowości.

Michnik, który w momencie rodzenia się III RP dzierżył rząd dusz, zdecydował się rozszerzyć go na rząd ciał. Uznał, że robi to w oparciu o komunistów, którzy przegrali, a więc skazani będą na rolę wasala. Naiwność tego ujawniła się już po paru latach, ale Michnik brnął coraz dalej. Był reprezentantem grupy, ale reprezentantem najważniejszym. Chciał rządzić oczywiście dla dobra Polaków. Dążył do ich modernizacji i europeizacji, a więc wyrwania z okowów blokującej to tradycji. Bez względu na wolę zainteresowanych.

Aby dojść do europejskiej ziemi obiecanej, zbiorowość musi posłusznie kroczyć za swoimi pasterzami. Nie wolno więc dopuścić do żadnego naruszenia *status quo*, zwłaszcza jeśli zagrożić miałyby partnerom w modernizacji. Żadnej dekomunizacji czy lustracji!

Jak jednak można to uzasadnić, skoro niewiele wcześniej sam Michnik piętnował zło komunizmu, czemu zawdzięczał swoją pozycję? Należy ogłosić, że komunizm zły, ale wszyscy byliśmy zań jednakowo odpowiedzialni – naturalnie poza Michnikiem – a jego przedłużeniem jest moralny fundamentalizm. Moralność zastąpiona została hipermoralizmem, który kazał rozliczać każdego, kto odwoływał się do elementarnych zasad. Niespójności czy wręcz absurdu tej postawy przesłonić miał zgodny chór opiniotwórczy, a siłę argumentów zastąpić argument siły.

Konsekwencje idei spowodowały, że ów sprzeczny wewnętrznie nihilizm musiał zostać czymś wypełniony i tym czymś okazała się ideologia emancypacji. W ten sposób „Krytyka Polityczna” skolonizowała „GW”.

Przy okazji Michnik obraził się na Polaków, którzy (niewdzięcznicy!) przestali go słuchać i nie pozwalali posłusznie

się emancypować. Wrócił więc do świata lat dziecińczych, gdzie prawdopodobnie ciągnęło go od zawsze, a jego najbliższym przyjacielem stał się Urban. Kostium trybuna ludowego uwierał, a zabieganie o sympatię prostaków upokarzało króla salonu. Nowo-stare środowisko niesło komfort. O Solidarności mówić w nim należy co najwyżej z ironią i akceptować ją wyłącznie jako akt założycielski III RP. W tym otoczeniu polskość wywołuje zażenowanie. Trzeba się przecież z niej emancypować.

Jeśli, rzadko, skłoniony przez kogoś rzucam okiem na „GW”, to zawsze znajdę tam obronę PRL i jego funkcjonariuszy, zwłaszcza pracujących na trudnym froncie służb wewnętrznych, oraz atak na tradycję polską i jej fundamenty. Można by pomyśleć, że jest to odprysk bezwzględnej walki politycznej, zgodnie z którą to, co od PiS, jest złe. Skoro partia Kaczyńskiego odwołuje się do narodowej wspólnoty, to należy ją zożydzić. Tyle że taki przekaz organ Michnika sufluje czytelnikom nieomal od początku. Już w 1991 r. Paweł Smoleński – jego późnym wnukiem jest Czuchnowski – ogłasza reportaż o procesie ubeka, który z zimną krwią dziewięć lat wcześniej zastrzelił ucznia szkoły średniej Bogdana Włosika. Autor jest oburzony brakiem współczucia ze strony rodziców zabitego dla zabójcy i wzruszony łzami w oczach jego córeczki.

Przeistoczenie „GW” w postkomunistyczny organ było tak szybkie i niespodziewane, że nie wierzyliśmy oczom i nie rozumieliśmy sensu zjawiska. Jego nagłość powodowała, że nawet pracownicy gazety nie byli w stanie za nim nadążyć i wyrwali się z niepasującymi do całości wypowiedziami. Do porządku, również na łamach dziennika, przywoływał ich sam szef. Po-
trafił brutalnie wskazać właściwe miejsce nawet tak ważnej i zasłużonej dla gazety oraz środowiska postaci jak Ewa Milewicz. Stosunkowo prędko więc przekaz stał się absolutnie homogeniczny i dziś „GW” od „Nie” różni się wyłącznie poetyką.

Transformacja „naszej”, solidarnościowej gazety w postkomunistyczny organ jest pouczająca niezależnie od historycznych okoliczności i pozostanie taką, gdy wszyscy zapomną już o Urbanie, a Michnik jawił się będzie jako niewyraźna figura epoki przełomu.

Warto doświadczenie to pamiętać. 





Walizka Bernarda Margueritta

francuskiego dziennikarza, korespondenta,
prezesa International Communications Forum



Ponieważ jesteśmy fanami krajów nordyckich zjeździliśmy praktycznie całą północ ziemskiego globu: Alaskę i sąsiadująca z nią część Kanady, Islandię, Finlandię, północną Szwecję i Norwegię. Zabrakło japońskiej wyspy Hokkaido czy Syberii. Poza tym z żoną Joanną dwa razy objechaliśmy samochodem USA, byliśmy w Ameryce Południowej i Afryce. Mieliśmy zawsze wielką pasję podróżowania, w krajach znanych, ale i również w miejscach rzadko odwiedzanych. Pan Bóg nam w tym pomógł, gdyż pierwsze dziecko przyszło na świat po 12 latach małżeństwa, a więc mieliśmy wiele sposobności by „szaleć” w młodych latach... Ale i później, jako dziennikarz i jako prezes The International Communications Forum, organizując konferencje ludzi mediów w wielu krajach, bywałem dużo w świecie. W moim życiu, nie tylko zawodowym, dwa momenty pozostawiły najmocniejszy ślad: z jednej strony dni i noce spędzone w 1989 r. ze wspaniałymi, młodymi robotnikami z Gdańska, którzy zmieniali świat, modląc się na kolanach, a z drugiej spotkanie i bardzo serdeczna rozmowa z Ojcem Świętym w jego gabinecie w Watykanie 25 maja 1999.



„BLIŻEJ POLSKI”

Choć byłem korespondentem dla wszystkich socjalistycznych wówczas krajów Europy Środkowo-Wschodniej, książka ta jest owocem mojej 50-letniej pracy korespondenta w Polsce i fascynacji tym

krajem. Napisałem ok. 3 tys. artykułów o Polsce, w książce znalazło się miejsce dla przedrukowania ok. 300 z nich,

opatrzone komentarzem dzisiejszym. Historycy mi mówią, że dla nich to kopalnia wiedzy dotycząca często gorącego okresu komunistycznego i przemian Rzeczypospolitej. W jednym z rozdziałów zebrałem najważniejsze myśli Jana Pawła II, do których chętnie wracam. Nie możemy bowiem zapominać, że bez niego nie byłoby Solidarności, że on jest prawdziwym sprawcą upadku komunizmu i że jego nauki są dzisiaj bardziej aktualne niż kiedykolwiek.



AUSTRIA

Choć mam prawie 85 lat, nie przeszkadza mi to w jeździe na nartach, rodzinna tradycja wspólnego narciarskiego urlopu z dziećmi w Heiligenblut jest kontynuowana. Nazwa miejscowości „Święta Krew” pochodzi od relikwii krwi Chrystusa znajdującej się w lokalnym gotyckim kościełku.



ZAKOPANE

Pamiątka z Zakopanego, kiedy było jeszcze niebiznesowym Zakopanem! Mieszkaliśmy najczęściej u Ojców Pallotynów w Kościelisku. Obraz wykonany na szkłe w stylistyce „szkoły Kenara”. Spod skrzydeł Antoniego Kenara, znanego zakopiańskiego artysty i pedagoga, wyszło wielu wspaniałych malarzy i rzeźbiarzy.

RPA

Zakupione na bazarze w Pretorii za 50 polskich groszy za sztukę. Papierowe sylwetki zwierząt naklejone na wysuszone skórki od bananów.



WATYKAN

Rok 1986. Audycja rodzinna udała się z dwóch powodów. Ponieważ moja żona Joanna zaprojektowała kościół w Zalesiu Górnym, a lokalny i bardzo aktywny proboszcz ks. Jan Marcjan doprowadził do spotkania z JPPII. Po drugie, podczas wizyty Papież wyjątkowo zgodził się złożyć autograf na swojej książce, czego zazwyczaj nie robił.



JAPONIA

Dzięki żonie, która była na wycieczce architektów, uczestniczyłem w miesięcznej przygodzie podróżowania po Japonii. Zwiedziliśmy m.in. Kyoto słynące ze wspaniałych świątyń i ogrodów zen.



KANADA

Ponieważ w 1973 r. byliśmy chyba pierwszymi turystami w Northwest Territories, na pamiątkę otrzymaliśmy broszurkę dla nauczycieli dotyczącą programu nauczania Inuitów. W miejscu pozbawionym łączności ze światem, korzystaliśmy z rządowych samolotów, które transportowały dzieci z eskimoskiej miejscowości Paulatuk do Inuviku.



AMERYKA POŁUDNIOWA

Leticia to nazwa kolumbijskiej niewielkiej osady leżącej na brzegu Amazonki, będącej najlepszą bazą wypadową do poznawania Amazonii. To stamtąd za 15 dol. poleciliśmy samolotem przewożącym sprzęt do klimatyzacji i dostaliśmy się do miejsca w sercu dżungli, gdzie zbiegają się granice Kolumbii, Brazylii i Peru.



DZIECI

Gdy nie podróżujemy razem, to zawsze towarzyszą nam ich zdjęcia. Syn Eryk mieszka we Francji, córka Joanna w Estonii, po długim pobycie w USA. Jesteśmy z nich bardzo dumni. Oni, wraz z czwórką wnuczków, są naszą prawdziwą radością i właściwie jedynym prawdziwym „osiągnięciem”.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

General Zgniłozęby w natarciu



Wojna weszła w fazę „rasputicy”, czyli wszechogarniającego błota. Tonie i grzęźnie w nim praktycznie wszystko. W okopach wody po kolana i nawet pojazdy gąsienicowe nie są w stanie przejechać, bo zapadają się w brązowej mazi aż po brzuchy. Ukraińcy czekają na mróz, a Ruski nie odpuszcza. Pod Bachmutem atakują praktycznie 24 godziny na dobę. I tak od kilku miesięcy. Przerobili okolicę na krajobraz księżycowy. Lej na leju, otoczone kikutami drzew. Światło dzienne ujrzają zdjęcia z rejonu walk. Dosłownie niczym nie różnią się od tych z I wojny światowej. Trudno rozpoznać, czy pochodzą one z błotnistej Flandrii czy spod Verdun. A to Bachmut. Najbardziej przerażające są foty z dronów. Wśród połamanych drzew walają się w błocie setki ciał rosyjskich żołnierzy, których nikt nie zbiera z powodu ostrzału. Do końca nie wiadomo o co chodzi kacapom. Niby Bachmut jest ważnym węzłem komunikacyjnym. Ale nawet gdyby padł, Ukraińcy mogą go objechać z zaopatrzeniem bocznymi drogami. Ale i do tego jest bojcom daleko. Do tej pory udało się im zdobyć jedną wiochę – Ozarianówkę, a o kilka innych, jak Opytne czy Kurdiumówkę, toczą się zacięte boje. Moskałe padają jak muchy. Czepili się Bachmutu niczym rzep psiego ogona i nie odpuszczają. Zdobycie miasta chyba stało się już sprawą ambicjonalną. Ta wojna pokazuje, jak niezgłębione są myśli oficerów sztabu generalnego „drugiej armii świata”. Tam i psychiatra nie poradzi.

Choć pod Bachmutem ruski trup ściele się gęsto, to na posterunku w Moskwie

czuwają propagandyści. Wygadują już takie rzeczy, że gdyby nie chodziło o wojnę, na której giną Bogu ducha winni ludzie, można by było boki zrywać. Niedawno w programie kremłowskiej szczekaczki Władimira Solowiowa wystąpił Nikołaj Wawilow. Kto zacz, do końca nie wiadomo, ale gość jest przekonany co do poważnych polityczno-geograficznych zmian w Europie Środkowo-Wschodniej. „Wszystkie te narody, nazywające się niepodległymi, zostaną wchłonięte do wielkiego rosyjskiego domu” – stwierdził. Było już o bombardowaniu atomem Warszawy, było i „pojednawczo” (przymusowy sojusz Polski z Kremlen), to teraz trzeba postraszyć wchłonięciem do „matuszki Rosji”. Cały ten propagandowy klekot przypomina opowieści erotomana gawędziarza, który może by i chciał, ale już nie za bardzo może. To chociaż sobie pogada. Na froncie żenada, ale w Moskwie gęby ciągle pełne frazesów.

Ale i w białoruskim Mińsku nie zasypiają gruszek w popiele. Zastępca szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Białorusi ds. kierowania walką gen. Waleryj Gniłozub (po naszymu Zgniłozęby) opublikował specjalne oświadczenie, w którym wysuwa wobec Polski bardzo poważnie brzmiące pretensje. Jego zdaniem nasz kraj przygotowuje się do wojny ofensywnej. „W zawrotnym tempie przebiega militaryzacja państw sąsiednich, przede wszystkim Rzeczypospolitej Polskiej. To kurs polityczny, który wyraźnie wskazuje na przygotowanie Warszawy do wojny,

przy czym nie obronnej, jak próbuje to przedstawić polskie kierownictwo wojskowe i polityczne” – bredzi Zgniłozęby. I coś można takiemu odpowiedzieć? Chyba tylko tyle: idź chłopie wreszcie do dentysty, bo ci z ust capci, jak staremu psu.

My to pikuś, ale to, co wyprawiają w dziedzinie uzbrojenia Amerykanie, to poważna sprawa. Właśnie przedstawili najnowszy swój produkt skonstruowany w technologii stealth (trudno jest go wykryć nawet radarem). Wyprodukowała go firma Northrop Grumman Aeronautics Systems i jest samolotem uderzeniowym o nazwie B-21 Raider. „Najbardziej zaawansowany samolot wojskowy, jaki kiedykolwiek zbudowano, jest produktem pionierskiej innowacji i doskonałości technologicznej” – zachwala najnowszą konstrukcję w komunikacie prasowym Doug Young, dyrektor generalny firmy. „Raider pokazuje poświęcenie i umiejętności tysięcy ludzi tworzących ten samolot” – dodaje. Obecnie firma ma sześć samolotów, które zostały zmontowane w Palmdale w Kalifornii i tam stacjonują. Fox News poinformowała, że pierwszy B-21 ma odbyć lot w 2023 r. Szacunkowy koszt produkcji i wprowadzenia do użytku jednego egzemplarza bombowca wynosi mniej więcej 2 mld dol. Całość do tej pory, jakby nie liczyć, to suma ok. 12 mld dol., czyli jedna piąta rocznego dochodu państwa, w którym rządzi Łukaszenka ze swoim generałem Zgniłozębym.

Andrzej Rafał Potocki

Dzieci, o których cierpieniu nie można zapomnieć



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

27 listopada br. minęła 80. rocznica deportacji ponad 100 tys. Polaków z Zamojszczyzny w ramach niemieckiej „Akcji Zamość”, wdrożonej w celu realizacji Generalnego Planu Przesiedleńczego umożliwiającego germanizację terenów Rzeczypospolitej. W czasie obchodów upamiętniających tę niemiecką zbrodnię w przejmujący sposób prezydent Andrzej Duda opowiedział historię ludzi, którzy zmuszeni zostali do opuszczania swych domów i w jesienno-chłodzie byli pędzeni w otchłań obozów przesiedleńczych. Stawiających opór bito lub zabijano. W czasie tej potwornej akcji oddzielano od matek nawet półroczne niemowlęta! W sumie od listopada 1942 r. do marca 1943 r. Niemcy uprowadzili ok. 30 tys. najmłodszych obywateli Polski.

Część z nich była transportowana do Łodzi. 11 grudnia minie 80. rocznica utworzenia w tym mieście wcielonym do III Rzeszy „Małego Oświęcimia” – obozu koncentracyjnego dla dzieci, o którym pamięć przez dziesięciolecia pozostawała w cieniu innych niemieckich okrucieństw. To jedyny taki obóz w czasie II wojny światowej przeznaczony tylko dla polskich dzieci, który nie miał swojego odpowiednika dla najmłodszych innych narodowości eksterminowanych przez Niemców. Pełna nazwa więzienia umiejscowionego przy ul. Przemysłowej brzmiała: Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Litzmannstadt (niem. Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt).

Za trzymetrowym ogrodzeniem z drutem kolczastym, w drewnianych, zimnych, brudnych barakach przetrzymywano niemowlęta i dzieci do 16. roku życia. Starsza młodzież była wysyłana do Auschwitz, Gross-Rosen i Ravensbrück. Od stycznia 1943 r. dziewczynki w wieku 14–16 lat pracowały w filii obozu zorganizowanej we wsi Dzierżązna, gdzie miały być przyuczane do pracy na roli w niemieckich gospodarstwach. Wszystkim więzionym golono głowy, przydzielano jednakowe, drelichowe ubrania, drewniaki i zmuszano do ciężkiej pracy, a za nieposłuszeństwo torturowano. Dzieci były niedożywione, a za poszukiwanie jedzenia karane. Bito je pejcem. Zmuszano do mycia w zimnej wodzie na dworze. Te, które zdaniem przełożonych źle wykonywały przypisane im zadania, „oznaczano” znakiem krzyża malowanym czerwoną farbą na plecach ubrania i kierowano do „karnej kompanii”, wykonującej bardziej dolegliwe obowiązki i gdzie obowiązywało pozbawienie części racji żywnościowych.

Wiele z takich dzieci było sierotami. Rodzice zginęli w walkach lub zostali zamordowani. Część z nich pozostawała bez opieki, bo ich rodzice zostali wywiezieni do obozów lub zesłani w głąb III Rzeszy na roboty przymusowe. W obozie przy ul. Przemysłowej przetrzymywano nieletnich, których rodzice odmówili podpisania niemieckiej listy narodowościowej. Do obozu przewożono również dzieci działaczy polskiego podziemia niepodległościowego i wysiedleńców, także z Zamojszczyzny.

Plan zagłady Polaków był przez Niemców niewątpliwie prześlany i sprawnie realizowany. Według byłego więźnia „Małego Oświęcimia”, Józefa Witkowskiego, w obozie tym przetrzymy-

wano 12–13 tys. dzieci, a ok. 4 tys. z nich zmarło. Dane ustalone przez IPN wskazują na ok. 3 tys. i kilkaset osób zmarłych. Niemcy zniszczyli dokumentację, więc trudno ustalić, ile dzieci doznało tego szczególnego udręczenia z rąk nasyżonych sąsiadów. Wielu ocalonych najmłodszych poddano germanizacji i być może do dziś część z nich nie zdaje sobie sprawy ze swojej prawdziwej, polskiej tożsamości. Podobnie, jak może się to wydarzyć współcześnie w przypadku tysięcy ukraińskich dzieci wywożonych do Rosji.

Po wojnie zaledwie kilku Niemców, którzy zarządzali obozem, zostało skazanych. Dopiero w latach 70. ub.w. odbył się proces funkcjonariuszki, która okrutnie znęcała się nad więzionymi dziećmi. Usłyszała wyrok 25 lat pobawienia wolności. Nie musiała jednak odbywać całej kary, ponieważ zwolniono ją za dobre sprawowanie. Ciekawe, czy we współczesnych niemieckich podręcznikach historii znajduje się choć akapit poświęcony łódzkiej zbrodni, czy okrucieństwo zbrodniarzy i cierpienie niewinnych dzieci okrywa wciąż komfortowa niepamięć.



Naszej Koleżance

**HANNIE
FOLTYN-KUBICKIEJ**

*Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci*

MĘŻA

*w imieniu grupy Europejskich
Konserwatystów i Reformatorów*

składa

Ryszard Legutko

Seksocentryzm



**Samuel
Pereira**

Chciałabym nie czuć nienawiści do Kaczyńskiego, chciałabym, bo wiem, że to wstyd czuć nienawiść, że to niedobrze” – krzyczała pod domem prezesa Prawa i Sprawiedliwości Bożena Przyłuska z Kongresu Świeckości i Warszawskiego Strajku Kobiet. Chwilę później kandydatka do Sejmu z list wyborczych Lewicy z rozbijającą szczerością i łzami w oczach przyznała, że „nie potrafi nie czuć nienawiści”. Ta pani może nie zdaje sobie z tego jeszcze sprawy, ale jej wystąpienie to tak naprawdę tragiczne wołanie o pomoc. „Ja jestem na ulicy od siedmiu lat, a moje dziecko wyjedzie z tego kraju, bo jest zaszczute, przez tego człowieka, co tam mieszka” – wykrzykiwała Przyłuska, być może nie zdając sobie sprawy z paradoksu całej sytuacji, bo w końcu sama jest uczestnikiem największego szczytu na człowieka we współczesnej historii Polski.

Lewicowej działaczce poparcia w sieci udzieliła m.in. posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska, podkreślając, że mówiła to jako matka „wychowująca niebinarne dziecko”. Pal sześć, że wydeptywanie sobie drogi do dużej polityki na własnym dziecku, które – zgodnie z ich sposobem myślenia – wymaga specjalnej troski, to działanie godne Iwony Hartwich, ale samo użyte określenie, czyli uzna-

nie, że dziecko ma predyspozycje do zidentyfikowania się jako osoby o dwóch lub więcej tożsamościach płciowych, to są Himalaje odrealnienia. Równie dobrze możemy dziecku powtarzać, że jest meblem, a później z dumą ogłosić, że zaczęło uważać się za krzesło.

Nieznana szerzej pani Przyłuska urasta do symbolu zniewolenia, w jakim znalazł się elektorat opozycji. Z jednej strony pokazała się jako niewolnik nienawiści, jaką od siedmiu lat podsycą w ludziach obóz opozycji, obrażony na werdykt wyborczy. Z drugiej sama pokazuje, jak wielką szkodę czyni lewicowa ideologia, według której wszystko kręci się wokół seksu. Nie można dziś przecież powiedzieć, że jakieś dziecko jest wyjątkowe, syn jest wrażliwy albo córka chłopaczarą. Trzeba potomstwu od razu wybrać szufladkę i kolorek z LGBTQWERTY i po problemie. Niech się jego indywidualna osobowość rozplynie w którejś z barw i dzięki temu powstanie kolejny trybik systemu. Tak nam dopomóż Marks.

Autor jest szefem portalu tvp.info



O przyszłość syna

Z aktorką *Małgorzatą Gorol* rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy „Śubuk” to opowieść o macierzyństwie wspaniałym, w trudniejszym wymiarze? Tytuł wskazuje taki trop?

Małgorzata Gorol: To historia o mocy, dzielności, wytrwałości kobiety, dla której wraz z narodzinami syna wszystko w jakimś sensie odwróciło się do góry nogami. Reżyser Jacek Luskiński mówił mi: „Nie bójmy się, żeby widzieć na początku nie lubił Marysi – jest egoistką, myśli o sobie, nie chce dziecka – po to, żeby jej przemiana była jeszcze bardziej spektakularna”. To, że jest taka zbuntowana, niepokorna, pyskata... w kolejnych latach pomoże jej walczyć o przyszłość syna.

Kubuś-Śubuk *rośł na planie (scenariusz obejmuje blisko 20 lat), więc grała pani z dziećmi w różnym wieku. Jedno z nich ma spektrum autyzmu. Trudne doświadczenie?*

Przywołam anegdotę ze sceny, która nie weszła do filmu. Nazwałam ją na własny użytek „Społeczeństwo”. To był pierwszy dzień zdjęciowy Wojtusia. Marysia jedzie z Kubą w autobusie, dziecko rozrabia, jest głośne, ludzie zaczynają to komentować. Mama Wojtusia była gdzieś w tym autobusie schowana i kiedy mam już wychodzić z Śubukiem, jedna z aktorek komentuje cynicznie: „Niektórzy ludzie to nawet nie powinni mieć dzieci”. Zobaczyłam wtedy twarz mamy Wojtusia. Już nie trzeba mi było więcej.

Szukacie u widzów empatii, zrozumienia?

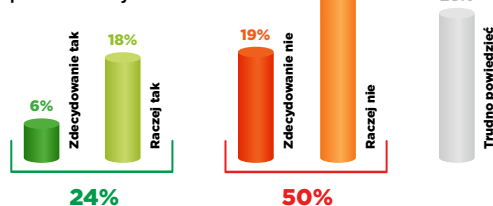
Film ma trafić do serca, poruszyć emocje, otworzyć głowy. Jestem dumna i szczęśliwa, że mogłam wziąć udział w tym projekcie, rozmawiać nim z widzami. Mam poczucie, że zrobiliśmy ważny film.



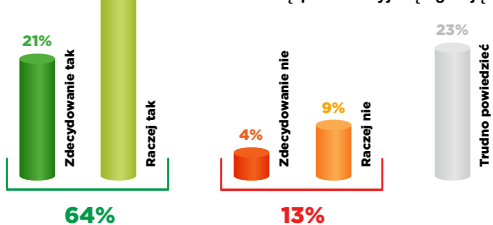
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl



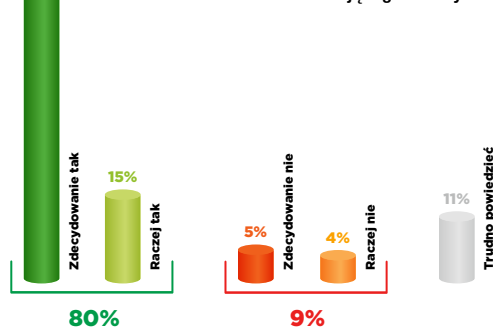
Czy według Pani/Pana Donaldowi Tuszkowi uda się doprowadzić do wspólnego startu opozycji z jednej listy w najbliższych wyborach parlamentarnych w Polsce?



Jak się Pani/Panu wydaje – czy Ukraina przetrwa rosyjskie ataki raketowe na swoją infrastrukturę krytyczną (np. elektrownie, sieci przesyłowe, wodociągi itp.) i dalej będzie skutecznie broniła się przed rosyjską agresją?



Czy Pani/Pana zdaniem Rosja zasłużyła na miano państwa terrorystycznego lub finansującego terrorizm?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1066.

Zakres czasowy badania 25–28 listopada 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WAŁASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: PAPIERA, PAPIERA, ANDRZEJ WIKTOR, VANDERWOLF IMAGES/SHUTTERSTOCK



Polacy, czy wy na to pozwolicie?!

*Ten, kto dyskredytuje św. Jana Pawła II, próbuje zdyskredytować
pozytywny wizerunek Polski w innych narodach. Nie mam
wątpliwości, że niektórzy autorzy tej kampanii właśnie tego chcą.
Nie mogę jednak uwierzyć, że Polacy im na to pozwolą*

Fot. Farabolloto/East News



GORAN ANDRIJANIĆ

Na wstępie tego tekstu muszę się do czegoś przyznać: mnie, Chorwatowi, trudno jest obserwować kampanię kłamstw w mediach lewicowych, przy pomocy której część polskiego społeczeństwa próbuje wyrzucić św. Jana Pawła II z polskiej historii i kultury.

NIEZACHWIANY AUTORYTET

Napisałem już kilka tekstów o tym, jak bardzo Chorwaci są wdzięczni św. Janowi Pawłowi II. Powodów do tego, aby nie zapominać o papieżu Polaku, jest wiele. Począwszy od tych najważniejszych, duchowych, związanych z silnym wpływem, jaki św. Jan Paweł II wywarł na Kościół katolicki zarówno w okresie komunizmu, jak i później – po powstaniu niewielkiego, ale niepodległego państwa. Ale są to również powody kulturowe i polityczne.

Jego rola we wsparciu chorwackiej walki o niepodległość była kluczowa. W Chorwacji napisano wiele prac na temat roli, jaką Stolica Apostolska odegrała w międzynarodowym uznaniu mojej ojczyzny. Przypomnijmy, 13 stycznia 1992 r. Watykan jako jedno z pierwszych państw uznał niepodległość Chorwacji i Słowenii. Stało się to na dwa dni przed tym, jak zrobiły to państwa ówczesnej Wspólnoty Europejskiej. To był precedens dyplomatyczny.

Taka polityka była konsekwencją tego, że św. Jan Paweł II dobrze rozumiał i kochał ludy południowosłowiańskie oraz ich pragnienie wolności. Znał też ich historię, traumę życia w politycznym i duchowym terrorze komunizmu, podobnie jak w jego ojczyźnie. My, Chorwaci, mieliśmy wielkie szczęście, że w czasie naszej walki o niepodległość mieliśmy papieża Polaka, który pomógł zrozumieć Stolicy Apostolskiej nasze problemy.

Nie chodzi tu tylko o nas, Chorwatów. Św. Jan Paweł II był duchowym autory-

tetem i siłą, która od początku konfliktu w byłej Jugosławii przyczyniała się do pokoju między wszystkimi narodami, i to nie byle jakiego pokoju, ale opartego na sprawiedliwości i prawdzie.

We wrześniu 1994 r., kiedy w Chorwacji toczyła się jeszcze wojna, do Zagrzebia przybywa papież. Celebryje mszę plenerową, na której zgromadziło się około miliona ludzi. To prawdopodobnie największe zgromadzenie w historii narodu chorwackiego. Kazanie wygłosił po chorwacku, stając się pierwszym papieżem w historii przemawiającym do Chorwatów w ich ojczystym języku. Wezwał wtedy naród, będący wówczas ofiarą serbskiej agresji, do chrześcijańskiego radykalizmu. Prosił nas wtedy, abyśmy pierwsi podali rękę do pojednania.

Św. Jan Paweł II jest jedną z nielicznych, jeśli nie jedyną osobą ze wspólnoty międzynarodowej, która od początku do końca konfliktu na Bałkanach pozostała autorytetem moralnym i to dla wszystkich narodów. I choć jest to zrozumiałe dla Chorwatów i Słowenów, dla których papież jest duchowym przywódcą, to samo dotyczy Bośniaków i Serbów. Oczywiście można znaleźć członków tych dwóch narodów, którzy będą krytykować Karola Wojtyłę, ale zawsze okażą się jednostkami szowinistycznie lojalnymi tylko wobec interesów swojej wspólnoty.

Jego wizytę w Sarajewie, stolicy Bośni i Hercegowiny, która przeżyła oblężenie podczas wojny na Bałkanach, jedno z najdłuższych w historii działań wojennych, wspomina się do dziś. To spotkanie z 1997 r. jest pamiętane przez wszystkich mieszkańców Sarajewa, bez względu na ich wyznanie, jako moment, w którym zniszczone miasto odzyskało nadzieję, że będzie mogło zacząć normalnie żyć.

UOSOBNIENIE POLSKOŚCI

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Bo wydaje mi się, że trzeba sobie uświadomić jedną ważną rzecz. Całe dobro, które czynił i pozostawił po sobie św. Jan Paweł II, ma dwa wymiary.

Po pierwsze, czynił to dobro jako namiestnik i uczeń Jezusa Chrystusa, następcę Piotra. To pierwszy, podstawowy wymiar jego działalności.

Po drugie, całe dobro, które pozostawił po sobie, czynił jako syn narodu polskiego. Jego działalność jest nierozrwalnie związana z polskością, z której był dumny i o której często mówił.

Pozwolę sobie stwierdzić, że nie ma drugiej osoby w dziejach Polski, która swoim życiem i działaniem tak mocno wyrażała istotę tego, czym ta polskość jest. I co równie ważne, nie ma takiej osoby, która tak zdecydowanie pokazała Europie i całemu światu ideę polskości i dobra, jakie niesie ona dla ludzkości.

Kilku ważnych publicystów i teologów w Polsce i na świecie już zdemaskowało oraz zaprzeczyło wszystkim oskarżeniom, które padły pod adresem św. Jana Pawła II. Na łamach tego tygodnika zrobił to mój kolega Grzegorz Górny. Nie ma potrzeby wracać do wszystkich argumentów. Warto natomiast przypomnieć dwa główne stwierdzenia, które pokazują całą bezpodstawność ataku na św. Jana Pawła II.

Pierwszym z nich jest pewna ahistoryczność, która charakteryzuje te ataki. Wszyscy rozsądni analitycy stwierdzili, że nie da się ocenić ówczesnych działań papieża i jego współpracowników w walce z pedofilią według kryteriów, które obowiązują dzisiaj. Po prostu wiedza, jaką mamy dzisiaj o przestępstwach pedofilskich, o sposobach ich ukrywania, o samej naturze tej perwersji seksualnej, jest nieporównywalna z tym, co istniało za pontyfikatu św. Jana Pawła II, zwłaszcza w pierwszej jego części, kiedy skandale zaczęły się pojawiać. Tym, co zaskoczyło wszystkich, była nie tylko skala tych zbrodni, lecz także istnienie całych siatek wpływowych duchownych, którzy w niej uczestniczyli.

Kolejną ważną obserwacją jest fakt, że św. Jan Paweł II był papieżem, który podjął pierwsze ważne kroki w walce z pedofilią. Jak zauważył Grzegorz Górny, Jan Paweł II był „pierwszym papieżem w historii, który wprowadził na szczeblu centralnym systemowy mechanizm zwalczania pedofilii”. Służył temu list apostolski „Sacramentorum sanctitatis tutela” z 2001 r., który stwierdzał, że przestępstwa pedofilskie należą do bezpośredniej kompetencji Kongregacji Nauki Wiary.

Oprócz tych argumentów potrzebne jest jednak podkreślenie tła tej kampanii opartej na kłamstwach i jej prawdziwych intencjach. Wróćmy do tego.

Dla nas, Chorwatów, i wydaje mi się, że dla wszystkich innych narodów, poznanie postaci św. Jana Pawła II jest doświadczeniem tego, czym jest Polska. Zapoznaniem się z jej historią, której, jak powiedział papież, nie można właściwie zrozumieć, jeśli nie patrzy się na nią w świetle Jezusa Chrystusa. Poznawaniem piękna jej kultury. To konieczność poznania wszystkiego, co ważne i dobre w tej kulturze i co Polska może zaoferować światu. Wydaje mi się, że każdy, kto bierze udział w nagonce na papieża Polaka, starając się mimo braku jednoznacznych dowodów, przedstawiać go jako „obrońcę pedofilów” – powinien mieć tego świadomość.

Ten, kto dyskredytuje św. Jana Pawła II, próbuje zdyskredytować pozytywny wizerunek Polski w innych narodach. Nie mam wątpliwości, że niektórzy autorzy tej kampanii właśnie tego chcą. Nie mogę jednak uwierzyć, że Polacy im na to pozwolą. Nie mogę i nie chcę, bo stawka, o której tutaj mówimy, dotyczy nie tylko Polski, lecz także Kościoła katolickiego, a pośrednio całego świata.

Ten, kto uderza w Wojtyłę i jego nauczanie, burzy wszystkie osiągnięcia jego pontyfikatu. A jednym z nich jest zatrzymanie tendencji rewolucyjnych w tej części Kościoła, która chce go w pełni dostosować do współczesnej cywilizacji, poprzez zmianę nauczania katolickiego.

Św. Jan Paweł II i jego teologiczna spuścizna są jedną z głównych przeszkód dla tych rewolucyjnych zmian. A przecież, jego teologia była i jest swego rodzaju drogowskazem w problemach, z którymi przyszło nam się borykać w XXI w.

Niedawno odbyłem ciekawą rozmowę z ks. Robertem Skrzypczakiem. Dokonał on w niej ważnego porównania między czasem początku pontyfikatu Jana Pawła II a czasem obecnym.

– Pamiętam rok 1978 i klimat, który wówczas panował w Kościele, a znajdował się on wtedy w sytuacji bardzo kryzysowej. I w takiej sytuacji pojawił się Jan Paweł II, papież zza żelaznej kurtyny, człowiek zakochany w Panu Bogu, oddany syn Maryi, mający klucz dostępu do młodych ludzi. Janowi Paw-

łowi II udało się zafascynować ludzi Chrystusem – mówił mi teolog.

Tymczasem, zdaniem ks. Skrzypczaka, znowu powrócił klimat pesymizmu i wątpliwości. Mnożą się dyskusje dotyczące postulatów zmian w sprawach fundamentalnych: w podejściu do sakramentu małżeństwa, kapłaństwa, eucharystii. – Wygląda na to, że wszystko nadaje się do poddania pod dyskusję – zauważa ks. Robert.

Stabilność, bezpieczeństwo, zakorzenienie w Bogu i miłość bliźniego – to wszystko przyniósł nam pontyfikat św. Jana Pawła II. Choć to prawda, że wiele

Być może nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę, ale kampania mająca na celu przedstawienie św. Jana Pawła II jako „obrońcy pedofilów” prowadzona jest wyłącznie w Polsce. Kiedy rozmawiam o tym z teologami i intelektualistami z innych krajów, patrzą na mnie ze zdumieniem

z tych wartości zostało zrelatywizowanych, a kryzys społeczeństwa i Kościoła stał się bardziej widoczny, to jednak siła tych wartości nie zniknęła całkowicie.

Podam przykład. W stolicy Chorwacji, Zagrzebiu, od 15 lat działa kilka silnych wspólnot modlitewnych, których większość stanowią ludzie młodzi. W ich formacji wielką rolę odegrała duchowość św. Jan Pawła II, zwłaszcza jego teologia ciała. Przez lata duszpasterz akademicki, salezjanin Damir Stojić, prowadził wykłady dla studentów, właśnie na ten temat. Sale, w których wygłaszał wykłady, były zawsze pełne, a antropologiczna i filozoficzna odpowiedź papieża Wojtyły na rewolucję seksualną wniknęła do serc i umysłów tysięcy młodych Chorwatów, którzy stali przed

decyzją założenia rodziny. Pokazały to również badania socjologiczne.

Jedno z nich, przeprowadzone dwa lata temu, udowodniło, że młodzi Chorwaci stają się bardziej konserwatywni i na co dzień żyją katolickimi wartościami. Coraz więcej z nich przywiązuje wagę do czystości przed ślubem, a większość (aż 66 proc.) szuka małżonka, który chciałby mieć dużą rodzinę. Media lewicowo-liberalne w panice pisały o „tradycjonalizacji” chorwackiej młodzieży.

W Chorwacji pokolenia JP II dorastają już dłuższy czas. To katolicy, intelektualiści i robotnicy, zwykli ludzie, ojcowie i matki, których na co dzień inspirowała spuścizna Karola Wojtyły. Tak jest nie tylko w Chorwacji, tak jest na całym świecie.

KAMPANIA DYFAMACYJNA

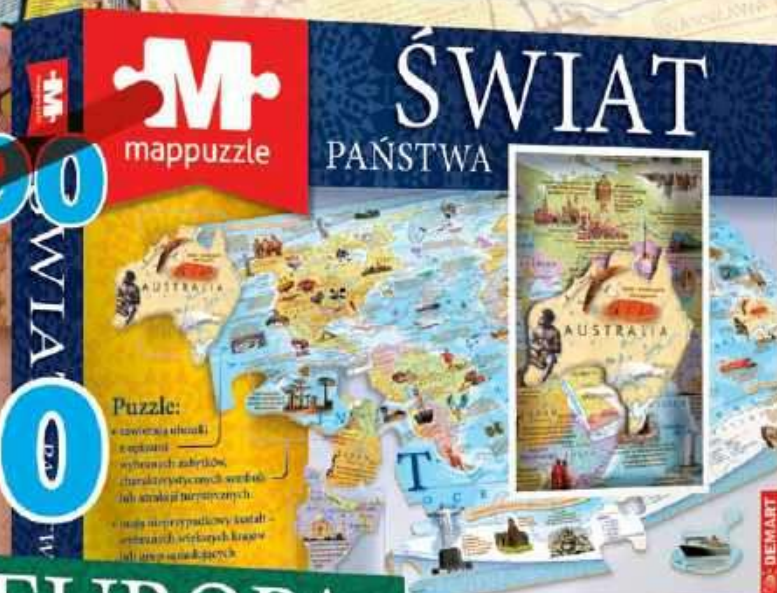
Św. Jan Paweł II nie jest papieżem Polaków. Jest papieżem wszystkich katolików. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za zachowanie jego dziedzictwa, niezależnie od tego, do jakiego narodu należymy.

Jednak faktem jest również, że Polacy, ludzie, którzy dali światu św. Jana Pawła II, powinni czuć w tej kwestii szczególną odpowiedzialność. W końcu widzimy, że największa kampania medialna przeciwko niemu toczy się właśnie w jego ojczyźnie. Oczywiście w mediach, które trudno nazwać prawdziwie polskimi. To smutny fakt.

Być może nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę, ale kampania mająca na celu przedstawienie św. Jana Pawła II jako „obrońcy pedofilów” prowadzona jest wyłącznie w Polsce. Kiedy rozmawiam o tym z teologami i intelektualistami z innych krajów, patrzą na mnie ze zdumieniem. Większość z nich postrzega św. Jana Pawła II i Benedykta XVI jako papieży, którzy uwarzili opinię publiczną na pedofilię w Kościele oraz zaczęli z nią walczyć. Faktem jest, że największe skandale ujawniono w czasie ich pontyfikatów. Ale czy papież może wziąć odpowiedzialność za zbrodnie każdego z 400 tys. księży na świecie? Oczywiście, że nie.

I dlatego stawiam pytanie: Polacy, czy pozwolicie im obrażać i dyskredytować naszego papieża?

więcej niż MAPA



~~6990~~
5490



więcej niż ZABAWKA

www.demart.com.pl

Tutaj kupisz w promocji świątecznej z darmową wysyłką

Warszawa–Berlin: destrukcja zaufania

*To nie wojna rujnuje dziś
relacje polsko-niemieckie.
Rujnuje je całkiem
zrozumiała złość
panująca w Warszawie,
gdyż Berlin stał się
częścią tej siły, która
bardzo praktycznie
próbuje pomóc
w usunięciu PiS
od władzy
w Polsce*



JAN ROKITA

Oferta przesunięcia na teren Polski baterii rakiet przeciwlotniczych Patriot należących do Bundeswehry dała asumpt (przynajmy to – dość nieoczekiwane) do politycznych debat i sporów, zarówno w Berlinie, Warszawie, jak i pomiędzy obiema stolicami.



Podobnego „przebazowania” (jak mawiają eksperci od militariów) dwóch zestawów swoich Patriotów do Polski dokonali jakiś czas temu Amerykanie i obecnie ochraniają one na polskim Podkarpaciu wojska USA, a przede wszystkim skomplikowany proces przerzutu zachodniej broni na Ukrainę. Operacja amerykańska odbyła się jednak bez rozgłosu i nie wywołała żadnych publicznych reperkusji. Po tym, jak pod Hrubieszowem spadła przypadkowa rakietą, rząd kanclerza Scholza postanowił naśladować Amerykanów, wykonując analogiczny gest wobec Polski. Ale przynajmniej jak dotąd wyniknęło z tego więcej politycznego zamieszania niżli realnego pożytku.

KONSTERNACJA W BERLINIE

Najpierw ze względu na samą sytuację wewnątrzniemiecką. Okazuje się bowiem, że Christine Lambrecht, socjalistyczna minister obrony, złożyła wielkoduszną propozycję Polsce bez konsultacji z zaskoczonym dowództwem armii. A jak można wyczytać na niemieckich portalach zajmujących

się militariami, Bundeswehra dysponuje obecnie ponoć niezbyt wieloma zestawami Patriotów, a i tak dwa przesunęła już wcześniej na Słowację, trzeci służy do celów szkoleniowych, zaś dalszych osiem miałyby teraz wyemigrować do Polski. Co więcej, pani Lambrecht jest od jakiegoś czasu bodaj najbardziej niepopularnym i krytykowanym członkiem ekipy Scholza, tak dalece, że ostatnio w swoisty sposób wziął ją nawet w obronę prawnicowy „Die Welt”, pisząc w nagłówku, iż mimo wszystko minister obrony nie zasłużyła na to, aby stać się „Kotzkübel der Nation” (przepraszam, nie tłumaczę na polski przez językową kurtuazję).

Kłopoty pani minister zaczęły się od wakacyjnej podróży z synem rządowym odrzutowcem, ale ich istotnym powodem jest stan niemieckiej armii. Jak dotąd bowiem, choć od proklamowania przez Scholza sławnego „punktu zwrotnego” w dziejach Bundeswehry minęło już dziewięć miesięcy, niewiele wskazuje na to, aby armia zaczęła wychodzić z zapaści albo pojawiła się choćby namiastka zapowiadzianych przez kanclerza gigantycznych inwestycji w uzbrojenie. Co więcej, 2022 r., czyli pierwszy rok wojny w Europie, Niemcy zamknęli po raz kolejny niedotrzymaniem podstawowego natowskiego zobowiązania do wydatkowania na zbrojenia 2 proc. PKB. Chadecka opozycja, media (i to także lewicowe, a więc bliskie rządowi), eksperci od wojskowości, a przede wszystkim niemiecki przemysł wojskowy coraz głośniejszymi narzekając na tajemniczą rozbieżność pomiędzy realiami a deklaracjami kanclerza i minister obrony. Właśnie ostatnimi dniami przez Niemcy przetacza się upokarzająca dla europejskiego mocarstwa debata na temat braku amunicji w Bundeswehrze, zaś pani Lambrecht wystosowuje publiczne, emocjonalne apele do liberalnego ministra finansów Lindnera, aby jej pomógł kupić amunicję dla armii.

Trudno się dziwić, że cała rzecz z „przebazowaniem” Patriotów jest – delikatnie mówiąc – kontrowersyjna. Toczą się wprawdzie negocjacje co do przyszłej produkcji tych amerykańskich zestawów obrony powietrznej

przez przemysł niemiecki, co byłoby precedensem w 40-letniej historii Patriotów. Ma je wytwarzać koncern MBDA Deutschland w porozumieniu z amerykańskim Raytheonem, z niemieckimi silnikami i głowicami bojowymi. (Nawiasem mówiąc, ten projekt jest kolejnym dowodem na to, jak nietrafione są szerzone w Polsce domniemania na temat rzekomego „postawienia krechy” na Berlinie przez ekipę Bidena, gdy idzie o wojnę i zbrojenia). Ale to jest kwestia dalszej przyszłości, gdy tymczasem wojna w Europie toczy się teraz, a w jej trakcie kłopoty armii niemieckiej pogłębiają się, rodząc w Niemczech atmosferę nieustającego skandalu wokół resortu obrony i stanu armii.

DRAKA W WARSZAWIE

Propozycja z Patriotami wywołała jeszcze głębsze zamieszanie w Warszawie. Reakcja władz polskich okazała się płynna i mało spójna: od przyjęcia oferty Lambrecht „z wdzięcznością”, przez sugestie, iż lepiej by jednak było „przebazować” rakietę z Niemiec na Ukrainę, aż po warian, iż jest to decyzja Berlina, a skoro ten nie chce angażować Patriotów w bezpośrednią wojnę na Wschodzie, to Polska z chęcią postawi je na swoim terytorium. Ten kompromisowy wariant zaproponował po kilku dniach sporów prezydent Duda.

Gra, którą rozpoczęła tutaj Polska, ma dość wysoką stawkę. Gdyby bowiem faktycznie udało się ustawić niemieckie Patrioty na terytorium walczącej Ukrainy, byłby to prawdziwy przełom w dotychczasowej zachodniej polityce, unikającej jak ognia wysyłania na wojnę wysokotechnologicznego uzbrojenia natowskiego albo broni wyraźnie ofensywnej. Wiele zdaje się wskazywać na to, że rację mają niektórzy polscy wojskowi wskazujący, iż to akurat nie Patrioty, ale rakiety dalekiego zasięgu i nowoczesne czołgi, których Zachód ciągle odmawia Kijowowi, mogłyby uratować Ukrainę w jej pogarszającej się, a za chwilę być może krytycznej sytuacji wojennej. Np. emerytowany gen. Skrzypczak przekonująco argumentował taką tezę kilka dni temu podczas tarnowskiego Forum Gospodarczego.



Fot. VandenWolff Images / Shutterstock.com

O Patriotach wiadomo dobrze (i nie trzeba po temu profesjonalnej wiedzy wojskowej), że skutecznie zdławiły ataki rosyjskich rakiet wyrzeliwanych przez Irak w dwóch wojnach nad Zatoką Perską, i że Izraelowi nieźle służyły do niszczenia syryjskiego lotnictwa. Zapewne jest to sprzęt zbyt „poważny”, aby bawić się nim do zwalczania dronów tak dotkliwych dziś dla ukraińskich miast. Ale telewizja CNN miała kilka dni temu przeciek, iż Ukraińcy negocjują dostawy Patriotów bezpośrednio z Amerykanami, choć zaraz po tym sensacyjnym newsie Pentagon zaprzeczył, aby w najbliższym czasie planował takie dostawy. Równoczesna polska presja na Berlin w tej samej sprawie była zatem Kijowowi bardzo na rękę. Nie dziwota, że dyplomacja ukraińska wyrażała publicznie wdzięczność wicepremierowi Błaszczakowi, za jego sugestie pod adresem Niemiec, nawet jeśli zapewne nie dowierzała w ich realność. Ale w dzisiejszych okolicznościach sensowna jest każda forma jawnej bądź cichej dyplomatycznej presji na zachodnie mocarstwa, aby przewartościowały dotychczasową, potencjalnie zgubną dla Ukrainy politykę ostrego limitowania jakości sprzętu wysyłanego na tę wojnę.

Jest też jasne, że ta cała „strategiczna” dyskusja o bojowej sensowności przemieszczania Patriotów na Ukrainę nałożyła się na zawiły splot aktualnych relacji polsko-niemieckich. I to z tej właśnie przyczyny, a nie z racji owych wojennych i „strategicznych” względów, rzecz wywołała w Polsce wielką polityczną drakę.

PiS prowadzi od kilku miesięcy z dość sporą konsekwencją politykę pogłębiania nieufności w stosunku do lewicowo-zielono-liberalnego rządu w Berlinie, zaś opozycja chciałaby polityki pełnego zaufania. Jednak to, co zwraca szczególną uwagę, to fakt, iż przyspieszenie spadku politycznego zaufania pomiędzy Polską i Niemcami, z jakim mamy do czynienia od chwili wybuchu wojny, następuje akurat wówczas, gdy międzynarodowa strategia Berlina pod wpływem teże

wojny istotnie zbliżyła się do strategii polskiej.

W końcu Niemcy porzuciły marzenia o hurcie bałtyckiej, proklamowały (nawet jeśli na razie tylko werbalnie) „punkt zwrotny” w dziedzinie zbrojeń, ulegają (co prawda z dużym oporem) ukraińskiej i polskiej presji na pomoc dla Kijowa, oraz – co zapewne jest kluczowe dla niemieckiego narodowego samopoczucia – prześcigają się w potępianiu swojej własnej polityki wschodniej z ostatnich dwóch dekad.

Okazuje się że Christine Lambrecht, socjalistyczna minister obrony, złożyła wielkoduszną propozycję Polsce w sprawie Patriotów bez konsultacji z zaskoczonym dowództwem armii

No i z wyraźną determinacją składają Polsce ciągle oferty co do wspólnej obrony Europy Środkowej. Najpierw wspólnej tarczy antyrakietowej, teraz „przebazowania” Patriotów i wzmocnienia swoimi samolotami polskiej obrony powietrznej.

W tym samym jednak czasie spory i utarczki polsko-niemieckie na tle toczącej się wojny narastają i nie wygląda wcale na to, aby po którejkolwiek ze stron na razie szukano jakichś mechanizmów porozumiewawczych. Lista konfliktów wydłuża się niemal każdego tygodnia. Czy w Polsce, czy też w Niemczech ma być zlokalizowana europejska misja szkoleniowa dla żołnierzy ukraińskich, dowodzona przez francuskiego admirała Bléjeana – awantura. Czy Berlin chce, czy nie chce dać Polsce czołgi w zamian za te, które my posłaliśmy na Ukrainę – awantura. Czy Polska chce uczestniczyć w budowie niemieckiej tarczy antyrakietowej – awantura. Gdzie mogą zostać wyremontowane popsute w toku wojny niemieckie sy-

stemy rakietowe – awantura (zgodziła się w końcu na to Litwa). No, a teraz dochodzą do tego Patrioty i niejasna kwestia, jakie mają być dalsze losy niemieckiej oferty ochrony polskiego nieba.

KOMPROMIS MAŁO REALNY

Zestawienie owych korzystnych zmian niemieckiej polityki z faktem nieustannego narastania konfliktów mogłoby w zasadzie wyglądać na jakiś polityczny absurd. Owszem, mogłoby, gdyby nie brać pod uwagę tego, iż polityka zagraniczna jest integralną całością, w której, niestety, wszystko łączy się ze wszystkim. I tu właśnie jest pies pogrzebany. Odkąd władzę w Niemczech objęła obecna trójpartyjna koalicja, Berlin porzucił dawniejszą politykę uprawianą przez Merkel, która starała się o jako tako życzliwą wobec rządzącego w Polsce PiS niemiecką „neutralność” w ideologicznych sporach pomiędzy Warszawą a instytucjami unijnymi. Częścią tej polityki było przekonanie, iż Berlin (także we własnym interesie ekonomicznym) w żadnym razie nie powinien wspierać jakichkolwiek finansowych sankcji przeciwko Polsce. Ani też forsować zmian w traktatowym porządku europejskim, którym Polska byłaby zasadniczo przeciwna.

To właśnie zmieniło się od czasu kanclerza Scholza na niekorzyść Polski, z widocznymi zresztą bardzo praktycznymi konsekwencjami. Ani niemieccy socjaliści, ani niemieccy Zieloni, ani niemieccy liberałowie nie próbują dziś wpływać na utrzymanie w ryzach zaędów Brukseli wobec Polski, gdyż zakładają, że najpóźniej za rok w Warszawie nastąpi zmiana władzy. To nie wojna ani względ na Rosję rujnuje dziś relacje polsko-niemieckie. Rujnuje je całkiem zrozumiała złość panująca w Warszawie, gdyż Berlin stał się częścią tej siły, która bardzo praktycznie próbuje pomóc w usunięciu PiS od władzy w Polsce. Niestety, tylko coraz mniej realny kompromis na tym polu mógłby prowadzić do odwrócenia niedobrej dla obu krajów destrukcji zaufania postępującej pomiędzy ich rządami.

*Dla kogo pomysł
jednej listy wyborczej
opozycji jest pułapką?
Oczywiście dla
wszystkich
poza Platformą
Obywatelską*

Ultimatum Tuska



STANISŁAW JANECKI

Czy nie ma czegoś dziwnego w tym, że Donaldowi Tuskowi tak bardzo zależy na powstaniu jednej listy na wybory parlamentarne w 2023 r., że staje się to dla niego niemal obsesją? – pytają od kilku tygodni przedstawiciele innych partii opozycyjnych niż Platforma Obywatelska. Za dziwne uznają też słowa Tuska o „wiel-

kiej grze” i wykluczaniu się na własne życzenie tych, którzy tego nie rozumieją. Padają pytania, czy dla przewodniczącego PO jedna lista jest ważniejsza od samych wyborów i ich wyniku?

Tusk odpowiada: „Na co im będzie ich samodzielny start, jeśli nie wygramy wyborów? Czy im się już nie znudziło siedzieć w tym Sejmie, który został brutalnie, politycznie zgwałcony przez PiS? Mówię do pana Szymona [Hołowni], do pana Władysława [Kosińskiego-Kamysza], do pana Włodzimierza [Czarastego]: nie możecie pozwolić sobie na jakikolwiek hazard, jakiekolwiek ryzyko”.

Na razie na hazard pozwala sobie lider PO, bo tylko dla niego koncept jednej listy wyborczej jest czymś mającym go

uratować. I jako przywódcę partii, i jako lidera całej opozycji, i jako tego, który ma odsunąć PiS od władzy. Ale też jako zaufanego emisariusza tych sił w instytucjach Unii Europejskiej, międzynarodowych organizacjach i poszczególnych stolicach, które oczekują od niego, że wykona specjalne zadanie i przywróci *status quo*. Przecież obiecał wykonać to zadanie jeszcze w 2019 r., gdy był przewodniczącym Rady Europejskiej. A stało się ono jeszcze pilniejsze po wygranej we Włoszech Giorgii Meloni i stworzeniu przez nią rządu. Ci sami, którzy powierzyli Tuskowi specjalne zadanie, nie mogą sobie pozwolić na porażkę w Polsce. Przecież obarczyli go specjalną misją w najdogodniejszym

dla Tuska momencie – po ośmiu latach rządów Zjednoczonej Prawicy, gdy szansa na odzyskanie władzy teoretycznie jest największa.

Tyle że inni opozycyjni liderzy wcale tego tak nie postrzegają i wietrzą w propozycjach Tuska drugie, a nawet trzecie dno. Mało tego – uważają, że były premier stawia na nich pułapkę, czyli chce ich wykiwać.

MOBILIZACJA I SZANTAŻ

24 listopada 2022 r. Rada Krajowa Platformy Obywatelskiej (po konwencji partii) przyjęła uchwałę „w sprawie jednej listy opozycji w wyborach parlamentarnych”. „Apelujemy do naszych partnerów z opozycji o pilne przystąpienie do wdrażania idei budowania jednej, wspólnej listy całej demokratycznej opozycji” – napisano w uchwale i podkreślono, że pytania o wspólną listę nie da się dłużej ignorować. Lider Lewicy, Włodzimierz Czarzasty, ocenił, że uchwała to „element mobilizujący i przypominający”. Jeśli wiadomo, że „Szymon Hołownia jest ortodoksyjnie przeciwny wspólnej liście i Władysław Kosiniak-Kamysz jest ortodoksyjnie przeciwny wspólnej liście”, to „przypomnienie o wspólnej liście nie mają już tak wielkiego znaczenia”. Choć Czarzasty „osobiście jest zwolennikiem wspólnej listy”, będzie czekał na decyzje partnerów: „Jedna lista to rozsądny pomysł, ale w związku z poglądami liderów raczej do niej nie dojdzie. [...] Oczywiście jestem za współpracą na opozycji. Jeżeli będą szanse na jedną listę, będziemy bardzo poważnie ją rozważali. W tej chwili w związku z tymi zapowiedziami trzech liderów podpisaliśmy umowę z partią Razem o wspólnym pójściu do wyborów, a to, czy będziemy wchodzić w jakąś koalicję, nie zależy tylko od nas”.

To oczywisty wybieg, żeby nie być zaliczonym do przeciwników jednej listy i nie ponosić odpowiedzialności za jej ewentualne fiasko. Przy okazji Czarzasty kipł, że „Jesteśmy dla siebie odkryciem towarzyskim. Gotujemy dla siebie. Rozmawiamy”. Tylko Donald Tusk stawia ultimatum za ultimatum, co psuje atmosferę.

O tę atmosferę, czyli o pozory, zdaje się nie dbać lider Polskiego Stronnictwa Ludowego (i Koalicji Polskiej) Władysław Kosiniak-Kamysz (w wypowiedzi dla PAP): „Nasze stanowisko się nie zmieniło – dwie listy, to jest propozycja, którą mamy przebadaną i sprawdzoną, ona daje dużo lepszy wynik. Rozumiem, że dla Platformy jedna lista jest najkorzystniejsza i Donald Tusk jako szef Platformy o to zabiega”. A jeśli nie jedna lista – kpią politycy PSL – to „Tusk będzie musiał zwycięstwo dzielnie dźwigać na własnych barkach”.

10 listopada 2022 r. w Sępólnie Krajeńskim Donald Tusk powiedział: „Bardzo bym chciał, żeby liderki i liderzy partii opozycyjnych możliwie szybko określili się, czy są gotowi razem z nami

Donald Tusk najchętniej wszystkich zapakowałby do jednego woreczka i od czasu do czasu nim potrząsał – mówi wprost Marek Sawicki z PSL

– nie na naszych listach, nigdy niczego takiego nie zasugerowałem – budować wspólne listy”. Inni liderzy nie bardzo rozumieją, co oznacza „razem z nami, a nie na naszych listach”, skoro ma być stworzona jedna lista. Gdy Tusk zapewniał, w zamkniętym partyjnym gronie, że „rozmowy w sprawie wspólnej listy są bardzo zaawansowane”, a ich „efekty bardziej optymistyczne niż wcześniej”, wielu uczestników Rady Krajowej Platformy Obywatelskiej uznało to za zaklinanie rzeczywistości. Ale w kulisach rozmawiano o tym, kto w PO i z jakich powodów będzie musiał ustępować miejsca na listach wyborczych przedstawicielom PSL, Polski 2050 czy Lewicy.

Mniej więcej w tym samym czasie Szymon Hołownia odsunął decyzję o wspólnym starcie do 2023 r., a jego koledzy z Polski 2050 mówią nawet o układaniu się dopiero przy tworze-

niu wspólnego rządu. „Jeśli ja bym dzisiaj do czegoś nawoływała, to do tego, by się i przygotować plan na pierwsze sto dni” – stwierdziła Paulina Hennig-Kloska.

Robert Biedroń, eurodeputowany Lewicy, przyznał, że jest „na Platformę Obywatelską trochę zirytowany”. Przecież „nie można stawiać pod ścianą innych koalicjantów i mówić: mamy uchwałę i musicie się podpisać”.

Entuzjazmu dla jednej listy nie ma nawet po tym, jak PO uruchomiła swoich zwolenników w środowiskach opiniotwórczych, którzy opublikowali apel w sprawie wspólnej listy mającej być „moralnym i politycznym nakazem”. Apel nie zrobił wrażenia poza środowiskiem Koalicji Obywatelskiej, a nawet

bywał wykpiwany. „Donald Tusk nie mówi o kwestiach gospodarczych i programowych, zamiast tego zaprasza wszystkich do jednego stoliczka. Opinia publiczna potrzebuje dużo szerszej oferty. Mnie oferta Donalda Tuska kompletnie nie interesuje. [...] Donald Tusk powinien skoncentrować się na rozmowach z Lewicą, a nie udawać, że dogaduje całą opozycję. Po to, żeby opozycja uzyskała większość pozwalającą na odrzucenie weta prezydenta, potrzebne są dwie listy. Donald Tusk doskonale

o tym wie, tylko po co mu na opozycji jakiegokolwiek konkurencja. Najchętniej wszystkich zapakowałby do jednego woreczka i od czasu do czasu nim potrząsał” – wprost stwierdził Marek Sawicki z PSL.

PULAPKA TUSKA

Po stronie opozycji mało kto ma wątpliwości, że jedna lista służy wyłącznie Donaldowi Tuskowi: jako jej pomysłodawcy i organizatorowi. Tylko on będzie przecież wspierany z zagranicy, będzie pompowany w zagranicznych mediach i popierany w kraju przez większość opozycyjnych mediów oraz ludzi uważających się za intelektualistów. Pompowany medialnie Tusk mógłby przyćmić i zdominować innych liderów opozycji. A jeśli coś zyska, to wyłącznie ich kosztem, szczególnie Szymona Hołowni, który może wnieść

w wianie nowych wyborców, których Tusk w żaden sposób do siebie by nie przekonał. Hołownia może ich stracić na rzecz Tuska, co oznaczałoby fiasko projektu Polska 2050 i jego samego w roli kandydata na premiera czy wspólnego kandydata opozycji na prezydenta.

Konserwatywni politycy PSL nie mają wątpliwości, że pomysł jednej listy nie pojawił się po to, żeby wszyscy jej uczestnicy proporcjonalnie na niej skorzystali, ale po to, by całą śmiankę spił Tusk. Tak już było z zorganizowaną przez Grzegorza Schetynę wielką koalicją na wybory europejskie w 2019 r. (jako lidera PO i Koalicji Europejskiej). Najwięcej kosztowało to wtedy PSL – jej politycy szacują straty nawet na 450 tys. głosów. „Dla mnie było oczywiste, że koalicja z Platformą Obywatelską i partiami lewicowymi nie wyjdzie nam na zdrowie” – żalił się Marek Sawicki. Tym bardziej jego partii i Koalicji Polskiej nie wyjdzie na zdrowie Front Jedności Narodu

Opozycji – jak coraz częściej złośliwie nazywa się pomysł jednej listy.

Dla wszystkich liderów opozycji poza Donaldem Tuskiem brak jednej listy nie jest żadnym problemem. Tylko dla przewodniczącego PO może oznaczać nie tylko klęskę wyborczą, lecz także pożegnanie z funkcją szefa partii, którą miał sprawować przez lata. Jeśli inni liderzy opozycji zgodzą się na jedną listę, nie będą mogli zagwarantować sobie wpływu na układanie tej listy, a jeśli będą grymasić, to i tak nic nie dostaną, bo wtedy będzie już za mało czasu, aby samodzielnie pójść do wyborów lub taki samodzielny start będzie groził nieprzekroczeniem progu. Jakkolwiek by inni liderzy opozycji umawiali się z Tuskiem na podzielenie wpływów i pieniędzy, może on ich oszukać i nie ponieść żadnych konsekwencji. A oni takie konsekwencje by ponieśli, o czym przekonał się Paweł Kukiz, którego ugrupowanie startowało razem z PSL, a następnie zostało całkowicie „wykiwane” (jak

mówił sam Kukiz) w kwestii podziału pieniędzy. A wiadomo, że Donald Tusk jest postrzegany po opozycyjnej stronie jako polityk dużo sprytniejszy i bez porównania bardziej bezwzględny niż Władysław Kosiniak-Kamysz.

Tusk potrzebuje jednej listy i zachowania przywództwa, gdyż to pozwala mu myśleć o zajęciu jeszcze jakiegoś stanowiska w strukturach europejskich, może nawet przed wyborami (przez rok może się wiele zdarzyć), co byłoby jeszcze bardziej perfidnym oszukaniem partnerów, z czego Tusk oczywiście nic by sobie nie robił. Dlatego opozycyjni partnerzy coraz częściej i mocniej podejrzewają, że w pomysle jednej listy nie chodzi tylko o wygraną w wyborach. Bo tylko jedna lista może uratować Tuska w polityce krajowej i stanowić alibi wobec zagranicznych opiekunów, sponsorów i mentorów. A to oznacza, że dla pozostałych opozycyjnych partii jest to pułapka. I oni już sobie z tego zdają sprawę.

GORĄCE PYTANIA

ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ

W POLSCE PL

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825



Musimy wyjść z logiki szantażu

Z jednej strony wmawia nam się, że tam nie ma zapisanego mechanizmu szantażu, z drugiej słyszymy, że Komisja Europejska znowu żąda tego i tamtego, a my musimy ustąpić. To jak? Jest tam mechanizm szantażu czy nie ma?

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają ze **Zbigniewem Ziobrą**, ministrem sprawiedliwości, prokuratorem generalnym, prezesem Solidarnej Polski*



Dlaczego postawa Solidarnej Polski pozostaje źródłem napięcia w Zjednoczonej Prawicy? Wicemarszałek Sejmu i szef klubu parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości prof. Ryszard Terlecki stwierdził w ubiegłotygodniowej rozmowie z tygodnikiem „Sieci”, że pana formacja za wszelką cenę poszukuje odrębności, a wskazywane przez pana różnice w stosunku do PiS są wydumane. „To czasem wygląda na próbę wykazania, że są bardziej pisowscy niż PiS, co oczywiście jest bzdurą” – mówił nasz rozmówca. I wiemy, że to pogląd w PiS dość powszechny.

Zbigniew Ziobro: Odpowiem panu marszałkowi zgodnie z ewangelicznym wezwaniem: „Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli”. W grudniu 2020 r. na szczycie w Brukseli pre-

Gdy pani von der Leyen była w Warszawie, знаła już ostateczny kształt projektu i nie widziała w nim złamania kompromisu. Zmieniła zdanie, gdy wróciła do Brukseli. Ogłosiła, że jednak żąda automatycznego przywrócenia sędziów. Przecież tego nie było w warunkach!

mier przyjął pakiet trzech ważnych decyzji, które dotyczą KPO, zasady warunkowości oraz Fit for 55. Ta ostatnia decyzja do dziś jest ukryta w głębokim cieniu. Zaczniemy właśnie od niej. Z wyliczeń ekspertów banku Pekao S.A. wynika, że decyzja premiera będzie dla Polski ogromnym, dodatkowym obciążeniem. Precyzyjnie rzecz ujmując, chodzi o kwotę szacowaną na ok. 189 mld euro, czyli ok. 888 mld zł. Pan premier zobowiązał się, że tyle Polska i Polacy dodatkowo dołożą się do unijnej polityki do 2030 r. Podkreślam słowo „dodatkowo”. Ta kwota odpowiada prawie dwóm rocznym budżetom polskiego państwa. Innymi słowy, do 2030 r. na transformację energetyczną musimy wydać dodatkowo tyle pieniędzy, ile wystarczyłoby na utrzymanie naszego państwa przez dwa lata!

Wiemy wszyscy, że to nie takie proste. To generalny kierunek UE. Możemy go hamować, i to Polska robi, by wywalczyć choć rozsądne tempo. Możemy się bić o fundusze na tę transformację, i to robimy. Ale czy jesteśmy w stanie go zatrzymać?

Była to oczywiście decyzja wymuszona przez Komisję Europejską i niemiecką prezydencję, ale nie musieliśmy zgadzać się na takie warunki. Tymczasem premier uległ i podpisał się pod planem transformacji energetycznej Polski, podyktowanym przez eurokratów. Stało się to przy pełnym poparciu totalnej opozycji, której europosłowie głosują za tym programem w Parlamencie Europejskim. Dodam, że ten plan przygotowywany był przez wiele lat pod okiem Donalda Tuska, gdy pełnił on funkcję szefa Rady Europejskiej. Nieprzypadkowo kanclerz

Merkel do tej roli wyznaczyła właśnie polityka z kraju, którego obywatele mają ponieść największe koszty transformacji. Potrzebny był ktoś, kto uwiarygodni w Polsce przedsięwzięcie, które służy interesom najbogatszych państw europejskich, a godzi głęboko w interesy polskiego społeczeństwa. Warto podkreślić, że jednym z głównych beneficjentów transformacji miała być Rosja.

W jakim sensie?

Plan Fit for 55 zakłada bowiem drastyczny wzrost zużycia gazu kosztem węgla, a gaz miał płynąć do Europy przede wszystkim z Rosji. Dlatego od czasów Tuska likwidowane były kopalnie. Premier doskonale wiedział, że Solidarna Polska w tej sprawie zgłasza fundamentalny sprzeciw i zgadzał się na

debatę na forum rządu, która miała poprzedzić ewentualne decyzje. Tymczasem w grudniu 2020 r., bez żadnych konsultacji, podjął arbitralną decyzję i wciągnął Polskę w realizację niekorzystnego dla naszego kraju planu, który – powtórzę – był od lat przygotowywany pod skrzydłami Tuska jako szefa Rady Europejskiej pod dyktando Niemiec. Nie jest więc to spór o pietruszkę, ale o fundamentalne kierunki rozwoju



kraju. Nie dziwi też, że realizacja tej narzuconej przez UE polityki ma pełne poparcie opozycji, której przewodzi Tusk, przysłany teraz do Polski z misją z Brukseli.

Dobrze, że pan o tym mówi. To przecież jest istota sprawy: presje z Berlina wzmacniane przez służące siły w Warszawie. Czy nie temu należy poświęcić najwięcej uwagi? Czy to właśnie nie jest istota problemu?

Wskazywałem nieraz, że Tusk w swoim spocie pokazuje Stadion Narodowy wypełniony paletami banknotów euro, dając do zrozumienia, że UE pragnie nam je podarować, a polski

rząd, kierowany niezrozumiałym uporem, nie chce przyjąć tego hojnego prezentu. Tymczasem KPO, realizowany na warunkach narzuconych przez Komisję Europejską, będzie Polaków słono kosztował. Środki KPO składają się z dwóch komponentów. 260 mld zł to niskooprocentowany kredyt, a więc pieniądze, które po prostu trzeba będzie oddać. Natomiast 107 mld zł to dotacja, która jest powszechnie przedstawiana jako bezzwrotna i darmowa.

To ogromne pieniądze. Może warto kompromisu? Zwłaszcza w sytuacji wojennej, z dużym kryzysem gospodarki światowej w tle.

Dobrze, to przyjrzyjmy się bliżej tym 107 mld zł, którymi Komisja Europejska skutecznie szantażuje polski rząd. Oszustwo Tuska polega na tym, że nie mówi o kosztach, które ponieść muszą Polacy. Tymczasem za możliwość skorzystania teraz przez rząd z dotacji Polacy mają płacić w kolejnych latach. W zamian za środki z KPO Polska ma zgodzić się na płacenie wyższej składki członkowskiej oraz nowe podatki – od plastiku oraz od handlu emisjami. Jaki to koszt? Według szacunków ekspertów do 2058 r. ma on wynieść nie mniej niż 300 mld zł, a może sięgnąć nawet 500 mld zł. Są jeszcze inne koszty. Będziemy zmuszeni ponieść finansowy ciężar przejścia na samochody napędzane energią elektryczną.

Możemy założyć, że albo postęp technologiczny ułatwi to zadanie, albo plan zostanie porzucony.

Nie sądzę. Szef BMW jasno stwierdził, że ta transformacja doprowadzi do wykluczenia komunikacyjnego części społeczeństwa. Miał przy tym na myśli zamożne społeczeństwo niemieckie. A co to będzie oznaczać dla Polaków? Ilu naszych rodaków, zamieszkujących z dala od dużych aglomeracji miejskich, będzie stać na zakup bardzo drogiego samochodu elektrycznego? A przecież całe polskie społeczeństwo będzie zmuszone ponosić wysokie koszty budowy sieci energetycznej, wymaganej do systematycznego ładowania samochodów elektrycznych. Czy to jest spór o pietruszkę, czy spór fundamentalny? Do tego dochodzi zgoda premiera na warunkowość, dająca Komisji Europejskiej narzędzie blokowania. Tej decyzji również byliśmy zdecydowanie przeciwni.

Opozycja chce pana odwołania. W Sejmie wspólnie złożyła wniosek o udzielenie panu wotum nieufności. „Odwołajmygo wspólnie. No bo co jest ważniejsze? Te ponad 300 mld zł dla Polski czy stołek dla ministra Ziobry” – stwierdził przy tej okazji Donald Tusk. Jak pan przyjmuje tę próbę i te słowa?

O miliardach dla Polski mówiła to-

talna opozycja, która jednocześnie podnosi w Parlamencie Europejskim ręce za rezolucjami, żeby zablokować należne Polsce pieniądze. Nawet w dniu największego polskiego święta Konstytucji 3 maja gardłowali przeciw własnej ojczyźnie.

Środowisko Solidarnej Polski twardo i niewzruszenie stoi na gruncie obrony polskiej suwerenności politycznej i ekonomicznej. Jesteśmy w tym pryncypialni, bo wiemy, o jak wysoką stawkę idzie gra. Wskazujemy też dramatyczne konsekwencje, jeśli bieg zdarzeń nadal będzie się toczył wedle scenariusza, który widzimy. Nasza pryncypialność i konsekwencja są groźne dla totalnej opozycji. Nic dziwnego, że wściekle atakują właśnie SP.

Jaki to scenariusz?

Scenariusz ustępstw i uległości wobec permanentnego szantażu i uzależnienia Polski od widzimisię Komisji Europejskiej. To eurokraci chcą decydować, którzy politycy mają wygrać w Polsce wybory. Czy dozwolone będą adopcje dzieci przez homoseksualistów. Czy Polacy będą mogli jeździć tylko samochodami elektrycznymi. To się ma skończyć zredukowaniem Polski do landu, czyli budową państwa europejskiego, którego plan oficjalnie ogłosił kanclerz Niemiec Olaf Scholz.

Na razie nic takiego się nie stało.

Nieprawda. Decyzje, które zapadły na szczytach europejskich w lipcu i grudniu 2020 r. mimo sprzeciwu SP, zaowocowały zastawieniem na Polskę i rząd Zjednoczonej Prawicy potężnej pułapki. Już w niej jesteśmy. Proces rozbierania naszej suwerenności, federalizacji UE i drenowania portfeli Polaków postępuje. To jest dramatyczna sytuacja. Pozycja Polski w Unii uległa na skutek podjętych w 2020 r. decyzji przez premiera Mateusza Morawieckiego zasadniczemu osłabieniu.

Na czym ta pułapka polega?

To sama konstrukcja unijnego eurokredytu, zwanego Krajowym Planem Odbudowy, i zapisane w nim mechanizmy arbitralności pozwalają na kolejne szantaże oraz budują stałe zagrożenie dla polskiej suwerenności i wolności. Nie przypadkiem mechanizm szantażu przygotowywał niemiecki komisarz Günther Oettinger, a forsowała niemiecka prezydencja w UE. Przestrzegaliśmy przed tą skrajnie niebezpieczną strukturalną intrygą, przestrzegał też tak znakomity znawca Unii Europejskiej jak Jacek Saryusz-Wolski. Nie posłuchano Solidarnej Polski.

Namalujmy ten obraz w całości – wpisane w mechanizm warunkowości blokady w postaci przyjętych konkluzji Komisji Europejskiej jednak zadziałały. Ten mechanizm nie został przez Komisję uruchomiony. Pieniądze są blokowane bezprawnie, wyłączając polityczną decyzję, naga siłą. A skoro tak, to zrobiliby to bez polskiej zgody.

To nieprawda. Mechanizm warunkowości był w tym sporze najbardziej wyeksponowany, ale arbitralność w podejmowa-

niu decyzji o uruchomieniu wypłat i rozmaite szantaże to rdzeń samego KPO. Dlatego za KPO nie głosowaliśmy w maju 2021 r., zachęcając do zbudowania narodowego KPO bez pośrednictwa Unii. Nie zrobiono tego, i dziś Komisja Europejska jest jak lichwiarz, który stawia co raz to nowe żądania uzależnionemu od siebie dłużnikowi. Przez pierwsze cztery lata naszych rządów eurokraci rwali włosy, bo mogli tylko machać bezzębny artykułem 7 traktatów i podejmować bełkotliwe uchwały w PE. Po zgodzie pana premiera na nowe mechanizmy zyskali realne narzędzie szantażu ekonomicznego wywieranego na Polskę.

Wie pan, że Komisja oszukuje, gra nie fair. Na tym polega cała trudność: nie ma jak się przed tym bronić. Polska, jak cała Europa, potrzebowała tych pieniędzy.

Nie mam nic przeciwko pożyczaniu pieniędzy na rozwój, to normalny mechanizm stosowany przez państwa, które chcą iść do przodu, inwestować. Ale kto słyszał o umowie kredytu, w której kredytobiorca zgadza się, by kredytodawca w zależności od widzimisię stawiał kolejne warunki? I co znamienne – nikt nie potrafi dokładnie oszacować, jaki jest koszt finansowy tego kredytu. To nie jest więc żaden kredyt, to niewola i lichwa. Skutki już są i będą dramatyczne dla Polski.

Jak je pan widzi?

Krótkoterminowe konsekwencje są jasne: ekonomiczny szantaż i upokarzanie Polski, która co najmniej do wyborów nie zobaczy należnych jej pieniędzy. Chodzi o to, aby pomóc

Platformie Obywatelskiej w przejęciu władzy i – co za tym idzie – zastąpić suwerenny polski rząd uległym wobec Niemiec. Dalekosiężnie może to umożliwić Niemcom domknięcie projektu budowy jednego, scentralizowanego państwa europejskiego kierowanego z Berlina i likwidację Polski takiej, jaką znamy. Solidarna Polska nazywa to po imieniu, od początku przestrzegała przed takim rozwojem wydarzeń, dlatego tak bardzo przeszkadza. Stąd ciągle ataki na nas i teraz wnioszek o wotum nieufności wobec mnie. Trwa prawdziwa kampania na rzecz budowy superpaństwa europejskiego pod butem Berlina.

Opozycji?

Grają w tej orkiestrze połączone siły wprost nawiązujące do konfederacji targowickiej. Widać wpływy niemieckie, są tam ludzie niechętni naszej twardej walce z przestępczością, także z przestępczością gospodarczą. Stracili krocie przez to, że wydaliśmy wojnę mafiom VAT-owskim. Martwi mnie, że niesprawiedliwe ataki na Solidarną Polskę pojawiają się także w naszym obozie.

Te rządy na każdym możliwym polu bronią suwerenności, choćby budując narodowy koncern energetyczny,

wzmacniając armię. W relacjach z Unią sprawy są złożone, decyzje mają wiele konsekwencji. Podejmowała je wspólnie cała Zjednoczona Prawica.

Nie cała. Pamiętam jak żywo spotkanie przed sejmowym głosowaniem w sprawie KPO. Siedzieliśmy w największej sali w kancelarii premiera, za brak poparcia grożono nam wyrzuceniem z koalicji, a minister Konrad Szymański zdecydowanym tonem dowodził, że nie ma najmniejszego zagrożenia i że trafią do nas pieniądze z KPO. Razem z ministrem Michałem Wójcikiem przestrzegaliśmy przed zastawioną na Polskę pułapką. Mówiłem o planie wywrócenia rządów koalicji PiS-SP, bo tam, w Brukseli, uznano, że nie ma już czasu i trzeba szybko przejść do kolejnego etapu budowy niemieckiego superpaństwa. Opisałem dokładnie, krok po kroku, jak to będzie wyglądało. I niedługo potem dokładnie to samo już oficjalnie ogłosił nowy niemiecki rząd kanclerza Scholza.

Powiedział szczerze to, co Merkel też planowała, ale czego nigdy by publicznie nie ogłosiła.

Dokładnie. Te ryzyka już wcześniej rysowały się wyraźnie. Kto chciał, to widział.

Premier Węgier Viktor Orbán też ostatecznie poparł powstanie funduszu odbudowy. A to polityk, którego trudno nabrać. Idźś chce dać Unii wszystko, czego żąda.

Ale niczego, co narusza fundament suwerenności Węgier. Te tak opisywane podobieństwa między naszymi krajami nie zawsze są prawdziwe. Węgry to kraj czterokrotnie mniejszy niż Polska, ma inne interesy, inne sojusze, własne gry, choćby specyficzne relacje z Niemcami. Premier Orbán nie znalazł też w naszym rządzie partnera do budowy twardego frontu oporu. Przypominę, że na początku w ogóle odrzucał tzw. mechanizm praworządności, a polski rząd stał na stanowisku, że nie ma problemu, tylko pogadajmy o szczegółach. Politycy węgierscy mówili mi wtedy, że widzą tę naszą miękkość i że w związku z tym też muszą szukać porozumienia z Komisją.

Nasze porozumienie kilkakrotnie było bardzo blisko.

To złudzenie. Jest zresztą w tym, co słyszymy, duża sprzeczność. Z jednej strony wmawia nam się, że tam nie ma zapisanego mechanizmu szantażu, z drugiej słyszymy, że Komisja znowu żąda tego i tamtego, a my musimy ustąpić. To jak? Jest tam mechanizm szantażu czy nie ma? Czy możemy gdzieś odwołać się od tych decyzji Komisji? Czy są jakieś jasne zasady? Czy nic – pełna dowolność?

Nikt nie ukrywa, że jest problem. Mówi o tym od dawna także Jarosław Kaczyński. „Komisja Europejska żąda od nas, żeby został złamany porządek konstytucyjny w Polsce. To pokazuje, jaki jest rzeczywisty stosunek UE do praworządności, do suwerenności, do traktatów” – to cytuję z ostat-

nego wywiadu dla PAP. Różnice dotyczą tego, jakie Polska ma tu możliwości manewru i pozycji – jeśli ktoś odpowiada za cały obóz polityczny, za całość rządów, musi być elastyczny, musi widzieć konsekwencje na różnych polach.

Mnie, panowie, braku elastyczności zarzucić nie możecie. Zderzyliśmy się z prezydenckimi wetami w lipcu 2017 r., które wywróciły nasze reformy sądownictwa. Przyjęto nie z inicjatyw Ministerstwa Sprawiedliwości ustawę o Sądzie Najwyższym, zlikwidowano Izbę Dyscyplinarną i wprowadzono wiele rozwiązań, bo tego żądali eurokraci. Za każdym razem słyszałem, że jeszcze ta jedna zmiana i kompromis będzie osiągnięty. Ale im bardziej ulegamy, tym więcej Bruksela żąda. Tak właśnie działa unijny szantaż. Skutki są niedobre dla Polski. Od weta 2017 r. nie ma już reform sądownictwa, jest rebelia w sądownictwie i jest upokorzenie polskiego państwa. Pani von der Leyen przyjeżdża, mówi prezydentowi i premierowi, że wszystko jest OK, a potem okazuje się, że jednak zmieniła zdanie. Mnoży nowe warunki.

Czy spełniliśmy w 100 proc. te uzgodnione? Niektórzy twierdzą, że dwie poprawki zgłoszone w Sejmie przez pana posłów zepsuły porozumienie.

Bzdura. Nie pudrujmy rzeczywistości. Zajrzyjmy do tych słynnych kamieni milowych – precyzyjnie spisanych przez Polskę i Komisję Europejską warunków wypłaty środków z KPO. Jest tam zapis, że Polska zobowiązuje się do stworzenia procedury prawnej umożliwiają-

cej powrót do zawodu zawieszonym sędziom. Procedura została stworzona, tylko sędziowie nie wystąpili formalnie z inicjatywą powrotu! Gdy pani von der Leyen była w Warszawie, знаła już ostateczny kształt projektu i nie widziała w nim złamania kompromisu. Mówiła, że jest zgodny z oczekiwaniami Komisji. Zmieniła zdanie, gdy wróciła do Brukseli. Ogłosiła, że jednak żąda automatycznego przywrócenia sędziów. Przecież tego nie było w warunkach! To nie my, to ona złamała umowę. Smutna prawda jest taka, że żaden rząd od początku III Rzeczypospolitej nie poczynił tak daleko idących koncesji na rzecz transferu realnej, faktycznej władzy z Warszawy do Brukseli.

To bardzo radykalna teza. My widzimy to odwrotnie: nigdy żaden rząd nie postawił tak twardego narodowego interesu Polski, nie podniósł nas wyżej w tylu sprawach, nie prowadził tak ambitnej polityki. To wzbudziło reakcję Berlina, stąd te szantaże. Na dodatek, o czym pan wie, nigdy wcześniej w Unii nie próbowano budowy superpaństwa i dlatego te presje nie były nigdy tak wielkie.

Nie, przepraszam, to nie jest właściwy opis.

My też przepraszamy, ale tandem niemiecko-francuski włączył piąty bieg, zdjął maskę. Wspomniany przez pana Jacek Saryusz-Wolski też o tym mówi.

Ale w tamtych działaniach widać było przecież dokładnie, że są naszymi zdeklarowanymi wrogami, że chcą nas za wszelką cenę obalić, że prawda nie ma dla nich znaczenia, że uruchamiają zmasowane medialne kampanie kłamstw, że sięgną po każdy szantaż, każdy bandycki mechanizm, który przybliży ich do celu. Było jasne, że nas nienawidzą, gardzą nami, chcą nas zniszczyć, bo nienawidzą chrześcijańskiego systemu wartości, którego bronimy, bo niepodległość Polski jest dla nas święta, bo nie uznajemy ich za naturalnych panów Europy. Jak można było dawać im do ręki kolejne narzędzie!?

Trochę już kręcimy się w tej rozmowie w kółko. Pan ma rację, że lepiej byłoby nie oddawać ani guzika, ale poważne racje mają też ci, którzy ponoszą odpowiedzialność za całość rządów i widzą choćby to, jak rynki finansowe reagują na zaostrenie relacji z Brukselą. To są zawsze trudne wybory.

Nie zgadzam się. To jest akurat bardzo proste: nie zgadzać się na niekorzystne dla Polski propozycje. Wystarczy być asertywnym. Tak infantylnie może powiedzieć każdy liberalny czy postkomunistyczny rząd, ale nie rząd Zjednoczonej Prawicy, który umówił się z Polakami na twardą obronę polskiej suwerenności. Dla nas to miała być najwyższa wartość.

Pan też wie, że dzieją się równocześnie dwa procesy. Z jednej strony rośniemy szybko, szybciej niż ktokolwiek sądził, dzięki dostępowi do wspólnego rynku, z drugiej oni to widzą i próbują nas tych możliwości pozabawić.

Dlatego właśnie nie powinniśmy przystawać na te rozwiązania. Wystarczyło w lipcu 2020 r. nie zgadzać się na to, by w agendzie prezydencji niemieckiej znalazły się projekty związane z tzw. warunkowością i na taki mechanizm KPO, który zakłada arbitralność Komisji w przyznawaniu środków. Byliśmy i jesteśmy podmiotowym członkiem UE, mieliśmy i mamy pełne prawo, by w niej funkcjonować, nie trzeba było – przy znanym już wtedy podejściu Brukseli i Berlina – godzić się na żadne nowe mechanizmy. Trzeba było, jak mówił w „Sieci” Jacek Saryusz-Wolski, wybrać raczej drogę Hiszpanii z początków jej obecności w Unii. Wetować, blokować, pozywać. Wymusić w ten sposób respekt i wywalczyć swoje.

Na drugiej szali leżą dziś dwie tezy: że coraz wyraźniejszy kryzys na świecie wymusza zaciśnięcie zębów, szukanie kompromisu i że do porozumienia brakuje naprawdę niewiele.

Ido czego Polskę ten sposób myślenia doprowadził od 2020 r.? Do kryzysu politycznego i ustrojowego! Cała polska debata polityczna kręci się wokół tematów związanych z błędnymi decyzjami z 2020 r. Mam świadomość, że Bruksela i tak co najwyżej rzuci nam jedną transzę, a przed wypłatą następnych wysunie kolejne szantaże. Taka jest logika szantażu.

Co dalej?

Musimy z tej logiki wyjść. Dalsze ustępstwa skończą się dla Polski i obozu Zjednoczonej Prawicy jeszcze gorzej. Polityka ćwiczenia Polski, stawiania do kąta, rozbierania naszej suwerenności będzie postępować. Gra toczy się o podporządkowanie Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej całego naszego wymiaru sprawiedliwości. To byłaby skokowa redukcja naszej suwerenności.

Jest nowy minister do spraw europejskich Szymon Szynkowski vel Sęk, który próbuje to wszystko na nowo poukładać. Daje pan mu szansę?

Najpierw trzeba stanąć w prawdzie i uznać własne błędy z 2020 r. A potem zacząć prowadzić zdecydowanie bardziej asertywną politykę. Proponuję rozpoczęcie poważnej, merytorycznej debaty. Bez tego dalej będziemy buksowali w miejscu. Mimo poważnych różnic związanych z europejską polityką premiera, jest wiele spraw, które łączą nas z Prawem i Sprawiedliwością. Udało nam się wspólnie wygrać wszystkie wybory od 2015 r. Ufam, że stać nas na zasadniczą korektę kursu w relacjach z UE i zwycięstwo dla Polski. ▀

Ufam, że stać nas na zasadniczą korektę kursu w relacjach z UE i zwycięstwo dla Polski. ▀

REKLAMA



"Księga"

ks. Łukasz Turek i Paweł Kęska
sobota godz. 20.10 i niedziela godz. 9.00

Radio 106.2
Warszawa
niezależna i wolna

7/1122/F

Straszenie biedą

Elektorat antypisowski przypomina dawnych wyborców Stana Tymińskiego. Kandydujący w 1990 r. na prezydenta Tymiński – wbrew rozumowi i wszelkiej logice – obiecywał gruszki na wierzbie. I miliony mu uwierzyły. Ale czy dzisiaj jest inaczej? Oczekiwanie, że opozycja posiada czarodziejską różdżkę, która sprawi, że znów będziemy bogaci, nie świadczy dobrze o przytomności jej wyborców



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Opozycyjne media z „Gazetą Wyborczą” na czele ogłosiły, że w Polsce mamy biedę. Na swoje ciężkie życie skarżą się liczni rozmówcy „Wyborczej”, np. 42-letnia Julia, menedżerka kultury, mieszkająca wraz z sześciolletnim synem w Krakowie. Jej średnie dochody oscylują wokół 9 tys. zł.

Wielki smutek nas ogarnia, gdy pani Julia opowiada, że nie może już oddawać się spontanicznemu buszowaniu po sklepach, lecz przygotowuje sobie listę zakupów. Nie stać jej też na jednoczesny manikiur i ma-

saż, więc musi rozkładać sobie te usługi raz na dwa miesiące. Pani Julia nie czerpie już przyjemności z długich kąpieli, podczas których czytała książki i się relaksowała. Musi bowiem oszczędzać wodę. Tym bardziej zaskakuje fakt, że – jak twierdzi – przestała używać zmywarki i pierze naczynia w zlewie (może jednak wróci do zmywarki, gdy zobaczy rachunek za wodę). A już lży z oczu wyciska jej wyznanie, że uczy synka, żeby zakręcał wodę i wyłączał światło. „Kiedyś mówiłam: gaś światło, bo trzeba dbać o naszą planetę. Teraz mówię: gaś światło, żebyśmy płacili mniejsze rachunki” – słochoa pani Julia, a wraz z nią czytelnicy „GW”.

Z kolei inna pani – tyle że w łódzkim wydaniu „Wyborczej” – skarży się, że nie umie powiedzieć córce, że nie będzie już chodzić na konie. Wcześniej zaś sumienia Polaków dręczyły wyznania 35-letniego pana Pawła,

który co roku jeździł na wakacje na Seszele lub do Nowego Jorku, a tym razem pojeździe w styczniu tylko do Turcji. „Ewidentnie skończyły się czasy, że z nudów leciało się do Włoch, żeby zjeść pizzę i wrócić” – czytamy. Pawła nie stać też na zamontowanie klimatyzacji i paneli w dopiero co kupionym 200-metrowym domu pod Warszawą.

„Wyborcza” pochylała się nad drożyną w sklepach. Przykładowo piwo na warszawskim Powiślu kosztuje już 38 zł, a „obiad u Hindusa” podskoczył do 100 zł. Żeby zachować różnorodność, pojawiały się historie o biednej emerytce, która jakoby kupowała w Biedronce karmę dla psów, bo nie stać jej na normalne jedzenie. Historię tę poznaliśmy dzięki panu Rafałowi, wrażliwemu menedżerowi z dużej warszawskiej firmy, który dał zagłodzonej emerytce 400 zł, po czym wstrząśnięty pobiegł donieść o wszystkim „Wyborczej”.

NAWOŁYWANIE DO BUNTU

Przytoczone historie – o ile w ogóle są prawdziwe – wywołały falę drwin w mediach społecznościowych. Po pierwsze, dlatego, że przed objęciem władzy przez PiS „Wyborcza” nie służyła jakoś z artykułów o ubóstwie Polaków, choć wtedy naprawdę było o czym pisać. Skądinąd wiadomo jednak, że redaktorzy z Czerskiej nie odczuwają empatii wobec społeczeństwa. A po drugie, z tekstów „Wyborczej” wyraźnie wynika, że bogata lemineria, nad której losem mamy się dziś z troską pochylać, szastała na lewo i prawo pieniędzmi, myśląc naiwnie, że jest lepsza od plebsu i odporna na wszelkie przeciwności losu. Teraz za to odkryła rzeczy oczywiste dla większości społeczeństwa – że należy oszczędzać i że z czegoś trzeba czasem zrezygnować. Nic więc dziwnego, że opowieści o niedoszłych wakacjach na Seszelach czy o końcu spontanicznych zakupów w sklepach nie wzbudziły powszechnego współczucia. Po prostu opisywani przez „Wyborczą” ludzie na chwilę zeszli na ziemię, co powinno im pozwolić na złapanie jakiegos kontaktu z rzeczywistością.

Jeśli jednak ktoś liczy na to, że taki właśnie był zamysł „Wyborczej” drukującej te opowieści, ten jest w błędzie. Gazeta Michnika nie adresuje swoich publikacji do społeczeństwa, lecz chce nimi wstrząsnąć tzw. klasą średnią. Jej przedstawiciele mają wreszcie zrozumieć, że im dłużej będzie rządził PiS, tym ich stan majątkowy będzie gorszy. I dopiero po odsunięciu „reżimu” od władzy popłyną pieniądze z Unii Europejskiej, a wraz z nimi powróci dawne *dolce vita* – wakacje na Seszelach, szal zakupów oraz jazda konna dla dzieci. Bo to oczywiście PiS ponosi winę za wzrost cen i pogorszenie standardu życia. „Brytyjczycy grożą, że masowo przestaną płacić rachunki, ciekawe kiedy my się zbuntujemy?” – pyta na łamach „Wyborczej” wspomniana wcześniej pani Julia, ta od zmywarki i oszczędzania wody.

Opozycja, podobnie jak wspierająca ją media, dość dawno temu zrozumiała, że nie uda się wywołać antypisowskiej rewolty naciągającymi zarzutami o łamanie praworządności, czego dowodem może być żalostny los zapomnianego już

przez wszystkich Komitetu Obrony Demokracji. Uderzyła więc gdzie indziej – w podgrzewanie sporów światopoglądowych oraz w budowanie atmosfery grozy przed czekającą nas pod rządami PiS nieuchronną katastrofą gospodarczą.

Zwiastunem tej katastrofy miało być rozdawnictwo pieniędzy z programem 500+ na czele oraz rzekomo nieuzasadnione megalomańskie inwestycje, takie jak przekop Mierzei Wiślanej czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego. Według opozycji „reżim” drukował pieniądze, aby przekupić leniwe społeczeństwo, czym napędził tylko inflację i naraził na szwank dorobek życia najbardziej zaradnych Polaków. Teraz więc powinni się oni zbuntować i czynnie wesprzeć opozycję.

Gazeta Michnika chce wstrząsnąć swoimi łzawymi publikacjami klasą średnią. Jej przedstawiciele mają wreszcie zrozumieć, że im dłużej będzie rządził PiS, tym ich stan majątkowy będzie gorszy

W POSZUKIWANIU WINOWAJCY

Ileż to było modłów o kryzys gospodarczy. Opozycja zachowywała się tak, jakby z największym utęsknieniem czekała na katastrofizm. I gdy w końcu on nadszedł – najpierw w postaci pandemii, a potem wojny na Ukrainie – natychmiast obwieściła, że za to wszystko odpowiada „pisowski reżim”. Jej klientela najwyraźniej w to uwierzyła. Teraz chodzi o to, aby takie myślenie rozeszło się po całym społeczeństwie.

Problem polega na tym, że antypisowcy są tutaj niewiarygodni. Ich jedynym – choć ważnym – punktem zaczepienia są unijne środki z KPO, które – jak wszystko dziś na to wskazuje – zostały zablokowane przez Unię do czasu wyborczego zwycięstwa opozycji. Poza tym jednak opozycja nie ma żadnego pomysłu, jak rządzić państwem w obliczu kryzysu i wojennego za-

grożenia za naszą wschodnią granicą. Nie może się również pochwalić żadnymi prospołecznymi działaniami z czasów, gdy PO sprawowała w Polsce rządy. Wręcz przeciwnie, to właśnie wskutek braku słuchu społecznego koalicja PO-PSL straciła władzę. I nic się w tej kwestii nie zmieniło. Opozycja, a w szczególności Donald Tusk, są nadal uważani za aroganckich przedstawicieli najbardziej uprzywilejowanych grup społecznych w Polsce.

Sondażowe wzrosty PO wynikają prawdopodobnie z przetasowań wewnątrz bloku opozycyjnego. Elektorat antypisowski przemieszcza się tam, gdzie dostrzega największy potencjał, a ten ciągle znajduje się w Platformie. Jest jeszcze jedno zjawisko świadczące

o pewnym paradoksie społecznym. Otóż dzięki dobrym wskaźnikom gospodarczym, które do wybuchu pandemii charakteryzowały rządy Zjednoczonej Prawicy, pewna część społeczeństwa awansowała finansowo i statusowo. Wystarczy zajrzeć do danych GUS, aby zauważyć, że udział koniecznych wydatków (m.in. na żywność, czynsz) w dochodzie rozporządzalnym na jedną osobę konsekwentnie spadał do wybuchu pandemii, co oznacza, że w kieszeni przeciętnego Polaka pozostawało więcej pieniędzy do wydania na inne rzeczy (np. wyjazdy, edukację, kulturę). Temu awansowi niejednokrotnie towarzyszyły zmiany kulturowe

i polityczne wynikające choćby z przeprowadzki do większych miast, podjęcia pracy w nowych miejscach. W ten sposób klasa – nazwijmy ją umownie – aspirująca pod wpływem nowego otoczenia zasilala stopniowo obóz przeciwników PiS, choć przecież sama najbardziej skorzystała na rządach prawicy.

Kryzys, który stał się rezultatem pandemii i wojny na Ukrainie, jest faktem. Nie uderza jednak we wszystkich w ten sam sposób. Klasa ludowa zdaje się ciągle rozumieć, że utrata władzy przez PiS może doprowadzić do pogorszenia warunków jej życia. Co innego aspirujący oraz część tzw. klasy średniej. Im wydawało się, że życie jest gonitwą do przodu i przyszłość przynosi nieustanny postęp, jeśli chodzi o finanse i standard życia. Teraz nagle zrozumieli, że tak nie jest, że historia (której najwyraźniej nie znają) wchodzi w różne

etapy i podlega ciągłym wahaniom. Mówiąc krótko – raz jest lepiej, a raz gorzej. Gdy teraz nadeszły gorsze czasy, szukają wokół winowajców i chętnie podchwytyją narrację podsuwaną im przez opozycję i sprzymierzone z nią media.

ZŁOTE ŁOWY

Głównym zagrożeniem jest inflacja, która podbija ceny i pożera oszczędności – przynajmniej tych, którzy je mają. I oczywiście za tę inflację odpowiada „pisowski reżim”, który drukował pieniądze, aby kupić za nie głosy społeczeństwa. Gdyby więc zabrać plebsowi tę kasę, to od razu gospodarka odżyje. Wyjątkowo prostacka teoria, ale wielu wystarcza, aby w ten sposób wytłumaczyć sobie rzeczywistość. Tymczasem ta rzeczywistość jest nieco bardziej skomplikowana.

Przede wszystkim inflacja, co chyba każdy powinien wiedzieć, nie dotyczy wyłącznie Polski, lecz jest problemem globalnym. Jasne powinno być też, że Polska ponosi ogromną część kosztów wojny na Ukrainie, co silnie wpływa na kondycję gospodarki kraju. Alternatywą jest narażenie się na znacznie większe ryzyko – konsekwencją upadku Ukrainy może być bowiem rozlanie się konfliktu na Polskę i całą Europę.

Przyczyny inflacji są złożone. Do pewnego stopnia wynika ona ze wzrostu cen paliw i energii wywołanego sztucznie przez Rosję i jej agresję na Ukrainę. A gdy drożeją podstawowe surowce, to w ślad za nimi rosną koszty produkcji. Ilość pieniędzy w obiegu wzrosła też wskutek pandemii, gdy po okresie lockdownów i zamrożenia gospodarki na całym świecie uwolniły się zablokowane wcześniej zapasy gotówki. Jednak towarów na rynku nie przybyło tak szybko, więc ich ceny wzrosły.

Za inflację odpowiadają także – o czym się prawie nie wspomina – globalne korporacje i wielkie instytucje finansowe. Banki kreują pieniądź, udzielając kredytów. Jeśli więc ktoś chce walczyć z inflacją, to powinien cieszyć się z podwyżek stóp procentowych, bo to podstawowy instrument polityki państwa w walce z nadwyżką pieniądza. Zamiast tego mamy zupełnie nielogiczną histerię, w której

z jednej strony jest narzekanie na inflację, a z drugiej pomstowanie na rząd, że próbuje ją hamować, ograniczając bankom wypuszczanie pieniądza na rynek.

Światowe korporacje mają swój udział w napędzaniu inflacji i wysokich cen. To one, działając praktycznie w warunkach oligopolu i braku realnej konkurencji, ustalają ceny. Jedyne zmartwienie polega na tym, czy więcej zysku przyniesie im mniejsza sprzedaż za wyższą cenę, czy przeciwnie – większa sprzedaż za niższą. Jediną barierą jest cena, powyżej której nie znajdują już kupca.

Opozycja z utęsknieniem czekała na kataklizm.

I gdy w końcu on nadszedł – najpierw w postaci pandemii, a potem wojny na Ukrainie – natychmiast obwieściła, że za kryzys odpowiada „reżim”. Przed objęciem władzy przez PiS „Wyborcza” nie słynęła z artykułów o ubóstwie Polaków, choć wtedy naprawdę było o czym pisać. Społeczeństwo nie budziło współczucia redaktorów z Czerskiej

Każdy kryzys – czego dowodzi historia – stanowi doskonałą okazję do spekulacji i transferu pieniędzy z kieszeni uboższej części społeczeństwa do kieszeni tych najbogatszych. Popatrzmy dookoła, wzrost cen jest zaraźliwy, naturalnie czasem wynika z konieczności, ale równie często jest skutkiem zwykłej chciwości. Po prostu podczas inflacji znacznie łatwiej jest ukryć nieuzasadnioną podwyżkę niż w okresie prosperity.

W tej sytuacji zwalanie winy na rząd jest nie tylko nieuzasadnione, lecz także docelowo przeciwnie skuteczne dla opozycji. Bo prowadzi do wniosku, że gdy przejmie

ona władzę, to inflacja zniknie. A przecież to oczywiste, że tak nie będzie. I pojawi się rozczarowanie.

NOWY TYMIŃSKI

Oczywiście opozycja, jeśli uda jej się wygrać wybory, może przez pewien czas posługiwać się propagandą, że zła sytuacja jest skutkiem długoletnich rządów PiS. I choć to oczywista demagogia, to wielu w nią uwierzy.

Elektorat antypisowski przypomina tu dawnych wyborców Stana Tymińskiego.

Niewykluczone zresztą, że – przynajmniej jeśli chodzi o starsze pokolenie – mogą to być częściowo ci sami ludzie. Kandydujący w 1990 r. na prezydenta Tymiński – wbrew rozumowi i wszelkiej logice – obiecywał gruszki na wierzbie. Miał być człowiekiem „spoza układu” (coś jak Hołownia), biznesmen z Peru, dobrze rzekomo orientujący się w realiach gospodarki, który – po objęciu władzy – natychmiast zapewni Polsce bogactwo i wielki dobrobyt. Dziś trudno się uwierzyć, że ponad 3 mln ludzi dały wiara nieznajomemu szarlatanowi i były gotowe oddać w jego ręce swoją przyszłość oraz powierzyć mu bezpieczeństwo kraju. Wyjaśniano ten fenomen niewiedzą ludzi, którzy wychowali się w komunizmie i nie rozumieli świata.

Ale czy dzisiaj jest inaczej? To prawda, że w przeciwieństwie do Tymińskiego Tuska i jego ekipa są znani i wiadomo, co sobą reprezentują (choć w tym przypadku trudno powiedzieć, czy to zaleta). Jednak oczekiwanie, że posiadają oni czarodziejską różdżkę, która zatrzyma kryzys i sprawi, że świat znów będzie szczęśliwy i bogaty, nie świadczy dobrze o przytomności antypisowskiego elektoratu.

Niespecjalnie przejmuję się tym, że ten elektorat dość szybko się rozczaruje rzekomymi cudotwórcami z PO, znacznie gorsza jest bowiem perspektywa kolejnych zmarnowanych lat i zatrzymania rozwoju.

Nie wiem, czy gdyby doszło do zmiany władzy w Polsce, pani Julia z Krakowa znów by wyruszyła na radosne zakupy i zaczęła używać zmywarki. Jestem za to pewien, że „Wyborcza” nie pisałaby już o biedzie.

Samorządowi oligarchowie

Gminy stają się czymś w rodzaju jednostki partyjnej, a nie wspólną organizacją obywateli zamieszkujących dany obszar – jednostkę podziału administracyjnego. Widać to wyraźnie w takich sytuacjach, jak moment, w którym państwo polskie zdecydowało o dystrybucji węgla

Z *Markiem Formelą*, dziennikarzem i redaktorem naczelnym „Gazety Gdańskiej”, byłym kandydatem na prezydenta Gdańska, rozmawia Andrzej Rafał Potocki

Jaka powinna być rola samorządów w Polsce?

Marek Fornela: Rola ta została bardzo wyraźnie określona w konstytucji. Samorząd jest częścią władzy publicznej i wykonuje zadania wynikające z przepisów prawa. W istocie jest to przedłużenie władzy publicznej na terenie gmin czy powiatów. To, że trwa u nas dość burzliwa dyskusja o roli samorządów, wynika z ich niebywałego upolitycznienia. W dużej części wielkich miast samorząd postrzegany jest jako element władztwa partyjnego egzekwowanego w sposób bezwzględny. Dlatego traci się przez to jakikolwiek wpływ na bieg spraw, który chciałoby nadać wspólnoty, lokalne ugrupowania, opozycyjne ruchy miejskie czy stowarzyszenia obywatelskie. Betonuje się mechanizmy demokratyczne na poziomie gminy, która staje się czymś w rodzaju jednostki partyjnej, a nie wspólną organizacją obywateli zamieszkujących dany obszar – jednostkę podziału administracyjnego. Ten sposób postrzegania gmin, zwłaszcza w dużych miastach, oddziałuje na sposób postrzegania obowiązków samorządowych. Widać to wyraźnie w takich sytuacjach, jak moment, w którym państwo polskie zdecydowało o dystrybucji węgla. Sytuacja ta pokazała również, jak różne są wrażliwości samorządowców, jak różnie postrzegana jest przez nich misja pomocniczości. Widać było wyraźną różnicę między samorządami zgrupowanymi w ruchu politycznym wywodzącym się z trzewi Platformy

Obywatelskiej a tymi samorządami, które gospodarują na niewielkich, skromnych obszarach, a swoje powinności zapisane w ustawie o samorządzie gminnym traktują jako poważne zobowiązanie, a nie jako dopust boży.

Dlaczego część samorządów nie chciała współpracować z władzą centralną, biorąc udział w dystrybucji węgla, czyli w tak ewidentnej kwestii, jak zrobienie czegoś dobrego dla obywateli?

Sprawa ta stała się kolejnym polem sporu prowadzonego od 2015 r. przez establishment samorządowy, tę oligarchię samorządową z rządem i większością parlamentarną. Czy to byłby węgiel, czy to byłaby woda, to poziom tego sporu byłby dokładnie taki sam. Nastąpiło jednak dość szybko otrzeźwienie. Nagle okazało się, że np. w Gnieźnie, w Sulęczynie, Skarszewach czy w innych mniejszych miejscowościach wójtowie i burmistrzowie zauważyli, pomijając już zobowiązanie ustawowe nakładające na samorząd obowiązek zaopatrzenia ludności w ciepło, czyli również w węgiel, że po prostu nie będą w stanie wyjść na ulice i spojrzeć w oczy swoim mieszkańcom, swoim sąsiadom, swoim znajomym. W takim momencie organ samorządu staje się częścią lokalnej społeczności, a nie arystokratą tej społeczności. Myślę, że nastąpiło takie otrzeźwienie w tym zaciętrzewieniu, że ci władarze zaangażowani w kolejny spór z krajową władzą publiczną, tracą kontakt ze społecznymi emocjami. Ta

ich cyniczna postawa praktykowana od wielu lat akurat w tej sprawie może się obrócić przeciwko nim. Uznali, że strategicznie będzie lepiej wycofać się z eskalacji tego konfliktu z rządem, niż go dalej toczyć.

Z jednej strony twierdzi pan, że samorządy powinny być emanacją lokalnej społeczności i nią zarządzać, a z drugiej strony nazywa je pan oligarchią. Dlaczego?

Wprowadzając reformę samorządową, która na barki prezydentów, burmistrzów i wójtów przeniosła olbrzymią wiązkę odpowiedzialności politycznej, administracyjnej, gospodarczej oraz kadrowej, nie doszacowaliśmy ryzyk związanych z różnymi ułomnościami, które rodzi jedynowładztwo i niedobór wentylacji systemu wpisany do ustawy. Brak kadencyjności spowodował w wielu miejscach w Polsce – zwłaszcza tam, gdzie obszar władzy oparty był na olbrzymich zasobach finansowych, a one stawały się z upływem lat coraz większe, ponieważ pojawiło się finansowanie wielu projektów z funduszy europejskich – że władza samorządowa poczuła, iż jej mandat formalny oraz nieformalny są nienaruszalne. A obywatele mają tylko raz na kilka lat okazję powiedzieć „sprawdzam”. Ten mechanizm samokontroli wewnątrz systemu samorządowego okazał się całkowicie niewystarczający. W ostatnim momencie wprowadzono kadencyjność tych władz, choć moim zdaniem są one o rok zbyt długie.



Czy tendencje do jednowładztwa i tych patologii, o których pan wspominał, nie były wypadkową chęci powiększenia uprawnień dla samorządów w stworzeniu konstrukcji w rodzaju rozbicia dzielnicowego kraju, skutkującej osłabieniem władzy centralnej na rzecz samorządów? Mam na myśli słynne 21 tez samorządowych ogłoszonych w 2019 r. przez samorządowców zebranych w Gdańsku z okazji obchodów 30. rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r.

Moim zdaniem to wydarzenie, którego byliśmy świadkami w Gdańsku, w majestacie ważnej historycznej rocznicy i w towarzystwie byłych prezydentów RP, było zebraniem potencjalnych rebeliantów. Powstała koncepcja potencjalnie groźna dla zapisanej w konstytucji jedności i jednordowności państwa polskiego.

Kradnąc rekwizyt z zupełnie innego fragmentu polskiej wrażliwości, czyli solidarnościowe 21 postulatów na potrzeby praktycznych rozstrzygnięć politycznych, których celem byłoby wyswobodzenie się gmin spod nadmiernej kurateli państwa, dopuszczono się nadużycia. Wśród tych 21 tez samorządowych była np. taka, by to gminy zostały bezpośrednimi odbiorcami środków z Unii Europejskiej, choć to nie gminy, a państwo polskie płaci składki do UE. Moim zdaniem był to taki moment, w którym ta pycha mogła stać się poważnym wyzwaniem politycznym dla utrzymania spójności państwa polskiego. To myślenie o poszerzaniu autonomii, o takim budowaniu fałszywej opozycji w stosunku do

rządu, który jest daleko – niesprawny, niezręczny i nie dostrzega człowieka w odróżnieniu od władz lokalnych. Takie stawianie sprawy jest głęboko zakodowane w trzewiach tego środowiska, które wywodzi się w prostej linii ze struktur KLD. To są te nuty i te tony, które Donald Tusk zawarł wiosną 1990 r. w tekście w „Gazecie Gdańskiej” o autonomii dla Pomorza. Te rojenia o podzieleniu państwa polskiego na dziesiątki mniejszych i słabszych organizmów, które mają zbudować siłę państwa polskiego.

Dzisiaj to się trochę zmieniło, bo jako państwo mamy inne problemy niż mieliśmy w 2019 r. Nagle obywatele, co pokazują badania opinii publicznej, zauważyli, że do utrzymania suwerenności i niepodległości kraju rola państwa jest kluczowa. Drobnie regionalne ambicje, które zsumowane mogły by rozsadzić państwo od środka, stają się dla całej wspólnoty niebezpieczne.

Przykłady samorządów, szczególnie tych w wielkich miastach, pokazują, że nie są one w stanie wytrzymać bez angażowania się w politykę krajową, a nawet w międzynarodową. Czy pańskim zdaniem zjawisko takie powinno mieć miejsce?

Niezależnie od tego, że każdy przypadek realizacji takich ambicji ma charakter indywidualny, to rzeczywiście wspomniany mechanizm angażowania się we wszystko, co tylko możliwe jest wręcz uniwersalny. Ta pycha wynikająca ze skupienia olbrzymiej władzy na własnym terytorium pcha tych polityków samorządowych do zmiany

hierarchii w swojej działalności. Szukania kolejnych awansów politycznych wynikających ze sprawowanej władzy w regionie. To jest jeden z elementów, który w ostatnich latach bardzo deformuje rolę samorządów. Przecież niczym innym jak polityczną szopką jest wyjazd prezydent Gdańska Aleksandry Dulciewicz na audiencję środową na placu św. Piotra w Watykanie po to, żeby przez barierki wręczyć rodzaj zaproszenia dla Ojca Świętego na uroczystości z okazji rocznicy powstania Solidarności. Powszechnie wiadomo, że regulacje protokolarne są kompletnie inaczej skonstruowane i państwo Watykan nie utrzymuje żadnych stosunków dyplomatycznych z państwem Gdańsk, ponieważ państwo Gdańsk nie istnieje. W tym szukaniu nowych dekoracji przekraczane są wszelkie granice, nawet śmieszności.

Kolejny przykład. Spotkanie prezydentów Sopotu i Gdańska z sędziami, którzy mają kłopoty z dyscypliną. Mam na myśli bankiet z sędziami Pawłem Juszczyńskim i Igozem Tuleją w jednym z sopockich lokali. Miało miejsce również wręczanie upominków. Jak to się ma do roli samorządów, nie wspominając o niezawisłości sędziowskiej, która jest określona w konstytucji w miarę jasno?

To jest kolejny fragment złych procedur, które trawia środowiska samorządowe. Daleko łatwiej, daleko bardziej wzniośle jest zajmować się sprawami, które nie leżą w kompetencjach i odpowiedzialności zarówno prawnej, jak

i politycznej, ale także i społecznej włodarzy, zwłaszcza dużych gmin. To nie kłopotliwe, a poprawia stan samopoczucia, jednocześnie nie rodząc dużych obowiązków. Odnoszę też wrażenie, że z pola widzenia państwa polskiego umknął spory obszar, w którym samorządy dokonują transferu poważnych środków publicznych z budżetów swoich gmin na tworzenie organizacji, fundacji czy stowarzyszeń, które następnie stają się orężem do walki z władzą publiczną. Np. miliony złotych wydane na Unię Metropolii Polskich. Brzmi to bardzo przyzwoicie i godnie, ale to jest organizacja, której fundatorami są duże miasta, czyli duże budżety. W Gdańsku uzbiera się na to od dwóch do trzech milionów złotych rocznie. Budżet takiej fundacji pozwala na prowadzenie różnych działań o charakterze politycznym, zaczepnym bądź polemicznym wobec polityki rządu. Na uprawianie nie tylko lobbingu samorządowego, ale także na prowadzenie lobbingu politycznego poza kontrolą rad gmin. Środki finansowe wpływają do budżetu takiego stowarzyszenia jako składki pochodzące od różnych organizacji na mocy prawa lokalnego. Przelane do tych instytucji służą do finansowania rozmaitych happeningów czy spotkań. I takim właśnie przykładem jest owo kurozalne spotkanie trójmiejskich samorządowców z sędziami.

Zapraszając głowę Kościoła Katolickiego do Gdańska, prezydent zbyt szybko przejął swoją rolę, myląc przedwojenne państewko zwane Wolnym Miastem z dzisiejszą metropolią należącą do Polski. Również na niwie polityki historycznej samorządy potrafią toczyć wojenki z władzą centralną. Kwestia Westerplatte, bo o niej myślę, skończyła się fatalnie dla włodarzy Gdańska.

Westerplatte jest dobrym przykładem. Tu padły haniebne słowa o kolonizacji, o zawłaszczaniu Westerplatte przez państwo polskie. Przecież państwo polskie nie może zawłaszczać swojego terytorium! Westerplatte było polską eksklawą w Wolnym Mieście, a nie

Wolne Miasto Gdańsk enklawą w Polsce. Nie trzeba być historykiem, żeby to zrozumieć. Każda sprawa, w której można było się spierać z rządem wywodzącym się ze środowiska Prawa i Sprawiedliwości, przez długi czas była traktowana jako poręczny argument walczących z władzą. Samorządy doskonale się w tym odnajdywały. Te trzewia tożsamości liberalnej środowisk samorządowych były silniejsze niż powinności wynikające z ustawy o samorządzie i wobec państwa polskiego. Westerplatte było takim sa-

Pycha wynikająca ze skupienia olbrzymiej władzy na własnym terytorium pcha polityków samorządowych do zmiany hierarchii w swojej działalności. Szukania kolejnych awansów politycznych wynikających ze sprawowanej władzy w regionie. To jest jeden z elementów, który w ostatnich latach bardzo deformuje rolę samorządów

mym argumentem w tej walce, jak praworządność, a praworządność takim samym argumentem, jak węgiel, a węgiel takim samym argumentem, jak sprzedaż Lotosu.

Czy zmienilby pan coś w ustawie o samorządach?

Jeśli chodzi o zakres kompetencji, to są one bardzo dobrze skrojone. Rozważałbym jednak zmianę czasu sprawowania władzy.

Czyli jedna kadencja zamiast obecnie dwóch?

Nie. Dwie kadencje, ale krótsze. Potrzebna jest większa wentylacja

systemu. Jesteśmy młodą demokracją i nie można tolerować sytuacji, kiedy to wielkie grupy obywateli mających inne poglądy będą wykluczane. W Gdańsku w trzech różnych kampaniach wyborczych kapitał społecznej zmiany był zdecydowanie wyższy od kapitału kontynuacji. Nieuwzględnianie takiej amplitudy nastrojów społecznych poprzez mrowienie procedur demokratycznych nie służy lokalnym społecznościom. Do rozważenia jest również przywrócenie zarządów wieloosobowych, które być może byłyby wyłaniane przez parlament lokalny, tak jest np. w sejmikach, gdzie zarząd ma charakter kolegialny. I to wcale nie wpływa źle na sprawność zarządzania, a wręcz przeciwnie. Dlatego, że głos wielu innych środowisk jest słyszany lepiej niż wtedy, kiedy zarządy są całkowicie jednorodne, bo wtedy samorząd rzeczywiście staje się partyjny. Taki kliniczny przypadek samorządu partyjnego mamy na Pomorzu, w Gdańsku, w Sopocie, a wtedy puszczają różne humulce i nikt nie czuje się skrupowany własną zachłannością. Mechanizmy kontroli wpisane obecnie w ustawę o samorządzie są zbyt słabe. Rada jest zbyt słaba wobec widzimisię prezydentów i ich organów wykonawczych. A jednoosobowa władza trwająca zbyt długo staje się głucha na głosy oddolne, za to wplatana w sieć towarzysko-biznesową staje się zbyt

łatwo reprezentantem środowisk gospodarczych, których pomysłem i interesom nie potrafi przeciwstawić racji dobrostanu społecznego.

Spójrzmy choćby na gentryfikację Oliwy. Jej deformację przestrzenną, a powoli i społeczną. To wynik naporu kapitału, powodującego codzienne uciążliwości: wprowadzenie opłaty za parking pod domem w wyniku ekspansji fabryk biurowych, codzienne korki, zmiana klimatu ulic. Nie wystarczy mówić, że samorząd jest blisko ludzi, trzeba ich usłyszeć zanim miasto stanie się spółką prawa handlowego, a nie dobrem wyższego rzędu.

Facet z brzytwą

W 1990 r. Leszek Balcerowicz przyjął błędną strategię wychodzenia z realnego socjalizmu do wolnego rynku. Efekt został osiągnięty za cenę gigantycznych kosztów społecznych i politycznych. Podobne skutki wywołał, schładzając gospodarkę w czasie rządów koalicji AWS-UW, co skończyło się recesją i 20-proc. bezrobociem. Dzisiaj również wzywa do schładzania, rzuca oskarżenia, krytykuje i poucza. Choć jako ekonomista się pomylił

Historię tę warto zacząć od cofnięcia się o 25 lat, gdy Polską rządziła koalicja AWS i Unii Wolności. Wtedy Leszek Balcerowicz ponownie objął stanowisko ministra finansów i wicepremiera. Pokłosiem jego rządów i związanych z nim następów było radykalne spowolnienie wzrostu gospodarczego do 1,2 proc. w 2001 r. i podwojenie stopy bezrobocia – z 10 proc. jesienią 1997 r. do 20 proc. na początku 2002 r. To dziwne, bo w 1997 r. widać było, że gospodarka zaczyna się odbudowywać, wykazując zdolność do skompensowania nawet tak drakońskiej terapii, jakiej poddana została w latach 1990–1993. Skąd więc pomysł, by wcisnąć ją w żelazny uścisk polityki monetarnej, bez względu na konsekwencje gospodarcze i polityczne?

– To była jego ambicja. Wyobrażał siebie jako supermena, że wejdzie w gospodarkę i stłumi inflację, tego – w jego rozumieniu – najgorszego wroga, jaki może stanąć na jej drodze – wspomina Jerzy Kropiwnicki, wtedy szef Rządowego Centrum Studiów Strategicznych, główny oponent i polemista Balcerowicza, dzisiaj doradca prezesa NBP Adama Glapińskiego. Jako jeden z nielicznych posłów ówczesnej koalicji głosował przeciw kandydaturze Balcerowicza na stanowisko szefa banku centralnego. Jak wspomina, właśnie w czasie rządów AWS-UW jednocześnie Ministerstwo Finansów, jak i NBP zostały obsadzone przez zwolenników bardzo ścisłej polityki monetarnej.



MACIEJ WALASZCZYK

Kilkunastoprocentowa inflacja została zduszona, ale kosztem obniżenia wzrostu gospodarczego, który przeobraził się w recesję i w konsekwencji w gwałtowny wzrost bezrobocia.

– Skutkiem politycznym działań Balcerowicza, jak i jego „klonów”, jest to, że po ówczesnym rządzie, partiach tworzących AWS i samej Unii Wolności, nie ma już śladu. Tak zostały rozliczone przez społeczeństwo, że przestały istnieć. Moim zdaniem niestety słusznie – mówi Kropiwnicki. W 1998 r. pojawił się program wprowadzenia podatku liniowego. Balcerowicz uważał, że będzie wspierał chcących pracować, lepiej zarabiać, rozwijać się. Podatek miał być czytelny i tańszy dla aparatu skarbowego i podatników. – Byłby to system dobry dla najlepiej zarabiających, a mniej korzystny dla pozostałej części podatników, w tym dla klasy średniej. A w końcu duszący wzrost gospodarczy – komentuje Kropiwnicki. I o ile udało mu się utracić pomysł wprowadzenia podatku liniowego za cenę perturbacji politycznych, to nie udało się to z forsowaną przez Balcerowicza polityką schładzania gospodarki. Takie były realia polityczne.

UPIORNE WSPOMNIENIA

Dzisiaj Leszek Balcerowicz wraca z tymi samymi pomysłami. Wtórzą mu politycy Platformy Obywatelskiej. W rozmowie m.in. z „Gazetą Wyborczą” zapowiada dużo niższy wzrost gospodarczy, a może i stagnację. Twierdzi, że odpowiedzialnymi za ten stan rzeczy są wyłączenie rząd i NBP. Ani słowa o wysokich cenach energii i wojnie, szaleństwie lockdownów. Balcerowicz wzywa do radykalnych kroków, proponując schłodzenie gospodarki i szybkie zduszenie inflacji. Jednak upiera się, że wiązanie tego ze spowolnieniem gospodarczym i bezrobociem jest absurdalne. To oczywiście reakcja na wypowiedzi lidera Zjednoczonej Prawicy Jarosława Kaczyńskiego, który podczas spotkania z wyborcami zwracał uwagę, że taki sposób walki z inflacją jest rozwiązaniem wszystkim znanym, które automatycznie wywoła wzrost bezrobocia, osłabi siłę nabywczą większej części społeczeństwa i recesję, wieloletni spadek tempa rozwoju. „Druga operacja, to był drugi Balcerowicz. Końcówka lat 90. Znów wzrost bezrobocia do prawie 20 proc. Znów realny spadek poziomu życia w Polsce. No i sytuacja, która wyniosła do władzy SLD” – przypominał lider PiS.

A co kryje się pod hasłem chłodzenia gospodarki? Z pewnością podwyższenie stóp procentowych, zamrożenie płac w budżetówce, być może hamowanie wzrostu płacy minimalnej i cięcia wydatków publicznych, a więc ograniczenie wydatków socjalnych i inwestycji



infrastrukturalnych. – Może chodziłoby o wydatki zbrojeniowe? – zastanawia się Jerzy Kropiwnicki. Zwraca uwagę, że to już nie jest tylko kwestia polityki gospodarczej, bo dotyczy sporych sum, które rosną proporcjonalnie do dochodu narodowego ze względu na nasze zobowiązania w ramach NATO. – Każdą inflację można stłumić, bez względu na to, jakie ma źródła. Wystarczy ludziom zabrać pieniądze. Narzędzia do tego istnieją i swego czasu były w użyciu. Jednak koszt tłumienia inflacji w krótkim okresie i szybkim tempie jest bardzo wysoki. Jeśli tak brutalnie się gospodarkę potraktuje, to zewnętrznych źródeł inflacji, np. wzrostu cen ropy naftowej i gazu ziemnego, nie usuniemy. Na pewno mielibyśmy całkiem spore bezrobocie i obniżenie stopy życiowej. Ale nie będę podsuwał pomysłów facetowi z brzytwą – ucina doradca prezesa Głapińskiego.

DOKTOR Z PZPR

Leszek Balcerowicz to jeden z ostatnich świętych pookragłostołowego panteonu uhonorowany kilka lat temu przez wspomnianą „Wyborczą” tekstem pt. „Balcerowicz spadł nam z nieba”. Wszystko zaczęło się od przemówienia sejmowego

18 grudnia 1989 r., w którym doktor Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR zapowiedział zmiany. „Konieczna jest operacja, głębokie chirurgiczne cięcie, usuwające dewastującą gospodarkę inflację” – mówił. Działal w wyjątkowej sytuacji, w atmosferze powszechnej zgody na wyrzeczenia i oczekiwania na zmiany gospodarcze. W sytuacji zmiany ustroju, poluzowania zależności od ZSRR, kompromitacji socjalizmu. Po prostu robotnicy w 1990 r. wyrażali zgodę nawet na 40-proc. podwyżkę cen wołowiny, gdy wcześniej w sytuacji podwyżek cen mięsa wychodzili na ulice i strajkowali. Wtórowała mu grupa polityków, która dziś wpisuje się raczej w obraz konformistycznego myślenia grupowego. Nikt nie chciał rozważać alternatywnych dróg dojścia do gospodarki rynkowej, robić symulacji kosztów. Zakładano, że powinno być dobrze, nie wiedząc, jak zareaguje gospodarka. Bardzo szybko utracono kontrolę nad sytuacją.

Plan Balcerowicza przywieziono z Banku Światowego, a wicepremier miał sygnować go swoim nazwiskiem. – Jeffrey Sachs, z tego co mi wiadomo, przekonał do swojej metody polskie elity z pomocą amerykańskiej ambasady. Szukano tylko

polskiego wykonawcy tego programu. Pierwszym kandydatem był ówczesny senator dr Cezary Józefiak, który odmówił, sugerując kogoś młodszego. I tak znaleziono Leszka Balcerowicza, który literalnie wdrożył reformę – wspomina Kropiwnicki. Sachs był młodym ekonomistą, nierozumiejącym społecznych skutków swoich koncepcji. Chciał wypróbować antyinflacyjne praktyki rodem z Argentyny i Boliwii, z krajów słabo rozwiniętych, ale rynkowych, w państwie postkomunistycznym. Zastosowano tę koncepcję w kraju, w którym istniał potężny sektor państwowy, a gospodarka była socjalistycznym molochem w kryzysie. Plan był prosty: zamrożenie płac i uwolnienie cen. Inflacja została zdławiona, nawis inflacyjny wchłonięty. Wielu dziwiło się, dlaczego rząd chce dławić popyt, skoro problemem wysokich cen są koszty. A to uderzało w aktywność gospodarczą. Już w styczniu 1990 r. produkcja spadła o 30 proc. Pojawiło się bezrobocie.

Plan stabilizacyjny miał jeszcze inny cel. Chodziło o zbudowanie kapitału finansowego nowo powstałych banków komercyjnych i przyspieszenie, a nawet wymuszenie, bankructw w sektorze państwowym. Robiąc w ten sposób miejsce dla prywatyzacji przez upadłość

i towarów główne z rynków europejskich. Spirala zadłużenia nie wiązała się z mechanizmami rynkowymi, ale narzucanymi ogólnie mechanizmami administracyjnymi: stały kurs dolara, duże koszty kredytów oraz popiwiek.

– Przedsiębiorstwa państwowe stały wobec dylematu prywatyzować się albo bankrutować. Gilotyna popiwku niszczyła finansowe możliwości przedsiębiorstwa. Ale zdejmowano go z nich po przejściu w sferę prywatną. Po dziś dzień trudno jest to zrozumieć w inny sposób niż taki, że Balcerowicz uzyskał błogosławieństwo Lecha Wałęsy, by przeprowadzić politykę, w wyniku której robotnicy, zwycięzcy polskiej rewolucji, stali się żebrakami – ocenia Kropiwnicki. Potwierdza tym samym powszechną opinię, że reforma gospodarcza nie była możliwa bez parasola ochronnego Solidarności i robotników. Tymczasem ciężar transformacji przerzucono na tych ostatnich, a siła wielkiego związku zawodowego została złamana.

Bardzo syntetycznie ujęła ten problem prof. Jadwiga Staniszkis w swojej słynnej pracy „Postkomunizm”, opisując go jako „bolszewicki liberalizm”. Paweł Bożyk używał terminu „komunizacji władzy” narzucającej neoliberalne dogmaty bez woli społecznej. Jednym rozporządzeniem z listopada 1990 r. banki komercyjne, kierowane przez aparat komunistyczny, uzyskały ze strony państwa możliwość refundowania przez NBP kredytów, w tym tzw. złych długów wraz z oprocentowaniem. Natomiast na przedsiębiorstwa państwowe nałożono gorset, który wpędzał je w spiralę zadłużenia. Np. bez względu na ich kondycję finansową nakazano zdobywanie środków obrotowych przez kredyty. Koszt kredytu bankowego raptownie wzrósł z 8 proc. do 120 proc. Zmieniano warunki spłaty pożyczek zaciągniętych wcześniej. Jak pisała znana socjolog, wywołano w ten sposób sztuczną recesję, która pogłębiła naturalne perturbacje wynikające z wychodzenia z socjalizmu do kapitalizmu. Produkowano długi, wymuszano bankructwa, by przez upadłość zdynamizować prywatyzację sektora państwowego i przyspieszyć prace nad ustawą prywatyzacyjną, którą uchwalono w lipcu 1990 r.

Uruchomiony w ten sposób samoregulujący się mechanizm rynkowy jednak nie zadziałał na wszystkich polach. Autorzy programu wierzyli, że produkcja ożywi się sama. Niestety, tak się nie stało. W jednym z wywiadów z początku 1992 r. Henryka Bochniarz przyznawała, że tak ona, jak i Balcerowicz wierzyli, że pod wpływem zastosowania instrumentów finansowych przedsiębiorstwa państwowe przystosują się do wymogów gospodarki rynkowej. Że złe odpadną, a dobre dadzą sobie radę, nastąpi proces samooczyszczenia. „To się nie sprawdziło” – stwierdziła. W rozmowie z tygodnikiem „Przegląd” Zdzisław Sadowski przyznał, że ofiarami stawały się przedsiębiorstwa dobrze działające, ale obciążone kredytem. Rozpoczął się pro-

Balcerowicz jest wyznawcą neoliberalizmu i całkowitej atrofii państwa, liberalizmu schematycznego, moralizatorskiego, mówiącego, jak ludzie mają żyć, który chce ludzi reformować, przekształcać, strofować

ces deindustrializacji kraju. Zniszczeniu uległy zaczątki nowoczesnego przemysłu elektronicznego. Na miejscu zakładów wytwarzających układy scalone pojawiły się hurtownie bielizny damskiej i dojrzewalnie bananów. „To był wielki błąd” – mówił.

Pamięta ktoś historię wrocławskich zakładów ELWRO? Rząd premiera Mazowieckiego, a dokładnie minister Janusz Lewandowski, podjął decyzję o ich sprzedaży niemieckiemu Siemensowi. Efektem tego było zwolnienie ponad 6 tys. pracowników, demontaż urządzeń i wywiezienie do Niemiec zakupionych dopiero linii technologicznych do produkcji komputerów PC nowej generacji. Następnie niemiecki właściciel przystąpił do wyburzania hal produkcyjnych. Warszawskie Zakłady Unitra Cemi – Naukowo-

-Produkcyjne Centrum Półprzewodników produkowały elementy dyskretne, układy scalone, optoelektronikę, monokryształy, mikroprocesory. Przygotowywane były do uruchomienia produkcji twardych dysków. Teraz stoją tam biurowce warszawskiego centrum biznesowego zwanego Mordorem. Dzierżoniowska Diora dobijana była przez 10 lat. Starala sobie dawać radę z konkurencją, jednak banki skutecznie odmawiały kredytowania produkcji. Ostatecznie firmę zamknięto, a hale produkcyjne wyburzono.

W ciągu dwóch lat – jak wyliczał niezający już dzisiaj prof. Stefan Kurowski – dochód narodowy został zmniejszony o ok. 40 mld ówczesnych dolarów. „Są to koszty porównywalne z kosztami wojny”

– tłumaczył. Zwracał uwagę, że brakowało polityki przemysłowej państwa, wskazania, które branże rozwijać, np. elektronikę, przemysł farmaceutyczny, stoczniowy, tracąc tym samym osiągnięty poziom nowoczesności. W Polsce po 1989 r. doszło też do największego spadku zatrudnienia w przemyśle w skali całej powojennej Europy.

ATROFIA PAŃSTWA

Jest jeszcze jeden efekt tych reform. Wspomniana prof. Staniszkis zwracała uwagę na fenomen komercjalizacji państwa, który ograniczał jego sterowność, a więc pole manewru politycznego. Balcerowicz jest wyznawcą neoliberalizmu i całkowitej

atrofii państwa, liberalizmu schematycznego, moralizatorskiego, mówiącego, jak ludzie mają żyć, który chce ludzi reformować, przekształcać, strofować. Biorąc go w nawias wspólnotę, państwo, naród, a ekonomię traktujący jako naukę ścisłą, sferę decyzyjną pozbawioną odniesień społecznych i wartościowania. Filozof prof. Piotr Nowak powiedział kiedyś, że gdy pod koniec lat 80. znalazł „W liście o humanizmie” Heideggera porównanie pędzącego nie wiadomo do jakiego celu liberalizmu z komunizmem, było to dla niego abstrakcją. – Czytałem ten tekst w PRL i nie rozumiałem kompletnie tego rodzaju asocjacji. Natomiast dziś stały się one oczywiste. Obie ideologie hołdują tym samym wartościom: egalitaryzmowi i całkowitej ekonomizacji życia politycznego – przyznaje.

Polacy chcą mieć dzieci

Z badań wynika, że dla Polaków rodzina idealna to rodzice, dwójka dzieci, domek na przedmieściu i pies

Z **Michałem Kotem**, dyrektorem Instytutu Pokolenia, rozmawia Dorota Łosiewicz

Czy rodzina jest jeszcze dla Polaków wartością?

Michał Kot: Zdecydowanie tak. Z badań wynika, że szczęście rodzinne jest dla nas najważniejszą wartością w życiu. Aż 80 proc. Polaków wskazuje, że to rodzina daje szczęście (CBOS 2019). W dalszej kolejności zdrowie (55 proc.), spokój (48 proc.), grono przyjaciół (45 proc.), szacunek innych ludzi (42 proc.). To potwierdza, że człowiek jest istotą relacyjną, potrzebującą innych osób wokół siebie. Relacje, zwłaszcza z najbliższymi, są dla nas ważniejsze niż bogactwo i dobrobyt (9 proc.), wykształcenie (10 proc.) czy praca zawodowa (36 proc.), a rodzina jest szkołą budowania relacji międzyludzkich.

A jak Polacy wyobrażają sobie tę wymarzoną rodzinę?

Ten obraz rodziny jest dość spójny we wszystkich grupach społecznych. Zdaniem prawie połowy Polaków (46 proc.) idealna liczba dzieci w rodzinie to dwoje, a co piąty badany (22 proc.) twierdzi, że chciałby mieć troje dzieci. Prawie

połowa Polaków (41 proc.) ma mniej dzieci niż chciałaby mieć. Jedynie co czternasta osoba (7 proc.) w ogóle nie myśli o rodzicielstwie. Średnio Polacy chcieliby mieć 2,28 dziecka (CBOS 2022). A tak opisowo: rodzina idealna to rodzice, dwójka dzieci, domek na przedmieściu i pies.

Skoro takie są wyniki badań społecznych, obrazujących pewne pragnienia, to dlaczego wskaźnik dzietności w Polsce w 2022 r. wynosi zaledwie 1,38?

Jest wiele czynników, które wpływają na to, że aspiracje Polaków odnośnie do idealnej rodziny pozostają niespełnione. Jesteśmy jednym z krajów w Europie o najwyższym wskaźniku bezdzietności. W Polsce prawie co czwarta kobieta w wieku 40 lat nie posiada dziecka. Gdyby miały one tyle dzieci, ile deklarują, że chciałyby mieć, to wówczas zbliżylibyśmy się do wskaźnika dzietności na poziomie 2,0. W badaniach naukowych podejmowany był temat powodów bezdzietności. Okazuje się, że tylko dla ok. 10 proc. kobiet z tej



grupy to kwestia życiowego wyboru. Większość za powód podawała niemożliwość znalezienia odpowiedniego życiowego partnera i kwestie zdrowotne. I to są główne powody niskiej dzietności w naszym kraju.

Czyli wielkim problemem okazuje się luka edukacyjna między kobietami a mężczyznami?

Luka edukacyjna, czyli różnica w odsetku osób z wyższym wykształceniem wśród kobiet i wśród mężczyzn. Okazuje się, że w Polsce więcej kobiet niż mężczyzn zdobywa wyższe wykształcenie. Jednocześnie wiemy, że w przypadku doboru życiowego partnera kobiety szukają mężczyzn o podobnym lub wyższym statusie społecznym. To zwyczajnie oznacza, że brakuje panów, którzy spełnialiby oczekiwania pań. Z wykształceniem wiąże się sposób spędzania wolnego czasu i określony styl życia. Kobiety, które wyjeżdżają na studia i zostają później w dużych aglomeracjach, mają inne zainteresowania, rozrywki i przyzwyczajenia, niż mężczyźni, którzy zostają w małej miejscowości i kończą edukację na poziomie średnim bądź zawodowym. Mimo że w ostatnich latach różnice zarobków pomiędzy największymi miastami a resztą Polski zmniejszyły się i mężczyźni często osiągają zarobki porównywalne z zarobkami koleżanek z wyższym wykształceniem, to jednak ich status społeczny jest postrzegany jako niższy, a zatem światy młodych kobiet i młodych mężczyzn niejako „rozchodzą się”.

Czy w innych krajach europejskich ta luka też jest tak znacząca?

W Polsce różnica między wykształconymi kobietami i mężczyznami wynosi ok. 20 punktów procentowych. W innych krajach różnica jest mniejsza, np. w Czechach to jest ok. 10 punktów procentowych. Ale także tam ta przepaść się pogłębia.

A jak można zmniejszyć lukę edukacyjną?

To bardzo dobrze, że rośnie poziom wykształcenia Polaków, że chcemy się kształcić. Natomiast problemem jest to, że mężczyźni statystycznie częściej kończą edukację na wcześniejszym etapie. Coś sprawia, że osiągają oni średnio gorsze wyniki na wszystkich etapach edukacji i gorzej radzą sobie również w różnych aspektach życia dorosłego. Przykładowo częściej odczuwają samotność, o czym piszemy w naszym najnowszym raporcie („Poczucie samotności wśród dorosłych Polaków”). Światy kobiet i mężczyzn „rozjeżdżają się” też na płaszczyźnie geograficznej. Poza dużymi miastami więcej jest miejsc pracy dla mężczyzn niż dla kobiet, w szczególności dla kobiet z wyższym wykształceniem.

Czy wpisanie pracy zdalnej do kodeksu pracy nie jest częściowym wyjściem naprzeciw aspiracjom kobiet?

Zdecydowanie tak. Praca zdalna w połączeniu z coraz lepszą siecią drogowo-komunikacyjną w Polsce daje szansę na pracę hybrydową. Jeśli nie musimy codziennie dojeżdżać 100 czy 200 km do pracy, a wystarczy np. raz czy dwa w tygodniu, to wówczas bardzo poszerza się obszar, w którym można mieszkać i założyć rodzinę.

To, o czym mówimy, musi też się wiązać z samotnością.

Z badań, które przeprowadziła Komisja Europejska, wynika, że przed pandemią główną grupą, która doświadczała samotności, były osoby starsze. Dziś są to głównie młodzi ludzie. Także w Polsce wzrosła liczba osób, które odczuwają samotność. Czym jest samotność? To rozpad bliskich więzi, także społecznych, poczucie braku wokół nas osób, które są nam bliskie, z którymi czuliśmy się dobrze, do których mamy zaufanie. Ten brak wprost przekłada się na trudności z tworzeniem związków i zakładaniem rodziny. Co więcej, z badań z innych krajów wynika, że osoby samotne są mniej efektywne w pracy i częściej chorują.

A dlaczego młodzi czują się bardziej samotni?

Jak to bywa w naukach społecznych czynników jest wiele, ale moim zdaniem decydującym punktem jest dostęp do internetu. Wiele aktywności życiowych przeniosło się ze świata rzeczywistego do wirtualnego. Tymczasem relacje budowane w świecie cyfrowym, nawet jeśli jest ich dużo, są znacznie bardziej powierzchowne i rzadko kiedy przechodzą w bliskie kontakty, które mogłyby skutkować przyjaźnią, miłością, a tym bardziej założeniem rodziny. Wzrost tempa rozpadu więzi społecznych wśród ludzi młodych obserwujemy mniej więcej od 2012 r., kiedy to upowszechniły się smartfony pozwalające na nieustające bycie on-line. Dzisiejsze pokolenie 20-latków to osoby, które nie pamiętają świata bez smartfonów, a to się przekłada bezpośrednio na ich życie towarzyskie. Do tego dochodzi automatyzacja życia i możliwości załatwienia wielu spraw przez internet, a więc możliwości zawarcia bezpośrednich znajomości jest po prostu mniej.

Wróćmy jeszcze do powodów niskiej dzietności w Polsce. Często słyszymy od środowisk lewicowych i liberalnych, że powodem niskiej dzietności jest wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji eugenicznej. Czyli kobiety mają się bać zachodzić w ciążę. Realny to argument?

Nie ma badań, które potwierdzałyby związek wyroku TK z dzietnością. Maleje ona w Polsce od lat (z wyjątkiem lat 2015–2017). Spadała również w latach 2020 i 2021, a decyzja TK zapadła w październiku 2020 r. Jeśli więc miałby mieć wpływ na dzietność, to efekty byłyby najwcześniej dziewięć miesięcy później, czyli w drugiej połowie 2021 r.

A co z jakością opieki okołoporodowej? Przekłada się na dzietność?

Są badania, z których wynika, że złe doświadczenia związane z porodem często przekładają się na brak chęci urodzenia drugiego dziecka. Dlatego warto zadbać o opiekę okołoporodową, bo ona przekłada się na kolejne urodzenia.

A dlaczego program 500+ nie zmienił sytuacji, choć przez chwilę odnotowaliśmy wzrost liczby urodzeń?

Program 500+ spowodował duży wzrost urodzeń drugich, trzecich i kolejnych dzieci. Nie wpłynął jednak na liczbę urodzeń pierwszych. A żeby rodziły się w rodzinie kolejne

dzieci, musi się najpierw urodzić to pierwsze. Spadek pierwszych urodzeń jest spowodowany głównie czynnikami społeczno-kulturowymi, a nie ekonomicznymi. Program 500+ zadziałał, bo podniósł dzietność tam, gdzie mieliśmy do czynienia z czynnikami materialnymi, ale nie mógł wpłynąć na inne powody.

Skoro mówimy o pozaekonomicznych czynnikach dzietności, to porozmawiajmy o tzw. czeskim sukcesie. Czechom udało się pokonać negatywny trend dotyczący spadku dzietności i dużą rolę odegrały tam czynniki pozaekonomiczne właśnie.

Przede wszystkim warto zwrócić uwagę, że Czesi nie skupiają się na dzietności, ale na poprawie kondycji rodzin, a wzrost liczby rodzących się dzieci jest efektem istnienia szczęśliwych rodzin. Czesi stworzyli własny, oryginalny model polityki rodzinnej. Mają ciekawe rozwiązania, szczególnie w zakresie tzw. work-life balance. Wiele państw europejskich na przełomie wieków osiągało dobre wyniki demograficzne, które zbudowane były na przeświadczeniu, że urodzenie i wychowanie dziecka nie powinno kolidować z pracą zawodową. Czesi przyjęli inne założenia. Zaczęli się zastanawiać, co zrobić, aby praca zawodowa w jak najmniejszym stopniu kolidowała z budowaniem więzi rodzinnych i wychowaniem dzieci. Inaczej rozłożyli akcenty. Wbrew pozorom rodzina i dzieci są tam bardzo cenione. Niemal połowa Czechów (48 proc.) zgadza się z opinią, że posiadanie i wychowywanie dzieci jest obowiązkiem wobec społeczeństwa. W Polsce zaledwie 22 proc. społeczeństwa wyraża dla tej opinii aprobatę, a aż 55 proc. wyraża przeciwny pogląd (w Czechach jedynie 1/5). Zatem praca rodziców polegająca na wychowaniu dziecka jest dużo bardziej doceniana w Czechach niż w Polsce. Kobiety mają więc tam poczucie, że kiedy zawieszają na kilka lat pracę zawodową, żeby zająć się dzieckiem, to robią coś, co jest tak samo ważne, a może nawet ważniejsze niż praca zawodowa. Poza tym nie spotykają się z negatywnym odbiorem społecznym, z negatywnymi komentarzami, sprawdzającymi się do tego, że rodzice, którzy rezygnują z pracy, by wychowywać dzieci i z tego tytułu dostają świadczenia społeczne, żyją na koszt reszty społeczeństwa. W Czechach takiej narracji po prostu nie ma. W Polsce była szczególnie silna przy wprowadzaniu 500+.

Z czego wynikają te różnice?

Jednoznacznej odpowiedzi nie ma. Jednak jeśli spojrzymy na historię obu państw, to po II wojnie światowej Czechy były znacznie mniej zniszczone niż Polska. W związku z tym mniejszy nacisk położono na odbudowę kraju, na pracę. Czechów w znacznie mniejszym stopniu dotknęła także

transformacja ustrojowa. Nie dotknęło ich aż tak bezrobocie, które w Polsce w 2000 r. wynosiło wśród młodych ludzi ok. 30 proc., gdy w Czechach sięgało maksymalnie 10 proc. Byliśmy i jesteśmy biedniejszym krajem niż Czechy, dlatego praca dla Polaków ma takie znaczenie. Poza tym już ponad pół wieku w Czechach popularny jest tzw. sekwencyjny model opieki nad dzieckiem. Kobiety na kilka lat rezygnują z pracy zawodowej i zajmują się dziećmi. W społeczeństwie zakorzeniona jest więc pamięć takiego stylu opieki nad dziećmi i jest to naturalne, w pełni akceptowane podejście.

Czy to znaczy, że wśród młodych Czechów strach związany z ryzykiem utraty pracy czy trudności ze znalezieniem pracy po powrocie z urlopu macierzyńskiego jest mniejszy?

Tak właśnie jest. Dziś mamy najniższe bezrobocie w historii, ale dzisiejsi 30-latkowie pamiętają obawę związaną z ryzykiem braku pracy, którą mieli ich rodzice. Pamięć społeczna przekłada się na decyzje. O ile w Czechach zawodowo pracuje 22 proc. matek dzieci poniżej drugiego roku życia (i ten wskaźnik należy do najniższych w Europie, w Polsce wynosi 58 proc.), o tyle sytuacja zmienia się radykalnie, kiedy najmłodsze dziecko kończy sześć lat. Aż 92 proc. czeskich matek mających dzieci

w wieku 6–14 lat pracuje zawodowo i jest to najwyższy wskaźnik w Europie (w Polsce wynosi 79 proc.). Taki model jest możliwy m.in. dzięki polityce społecznej sprofilowanej na rodziny wychowujące dzieci do lat trzech. W Czechach rodzice otrzymują zasiłek wychowawczy w wysokości ponad 2 tys. zł miesięcznie do momentu pójścia przez dziecko do przedszkola (łącznie w przeliczeniu ok. 60 tys. zł). Zasiłek rodzicielski przysługuje na każde dziecko bez względu na status rodziców na rynku pracy. Rodzice mogą decydować o wysokości wypłat i długości pobierania środków. Jeśli drugie dziecko urodzi się zanim pierwsze skończy trzy lata, wówczas niewykorzystane środki są wypłacane i można korzystać od początku ze wsparcia na kolejne dziecko. Rodzina jest zatem zabezpieczona finansowo przez pierwsze trzy lata życia dziecka, a do tego kulturowo akceptowalny jest fakt, że jeden z rodziców (najczęściej kobiety) zawieszają pracę zawodową, opiekując się dziećmi w domu. A ponieważ bezrobocie jest niskie, nie ma problemu z powrotem do pracy.

Dlaczego państwu powinno zależeć na tym, by Polacy mieli dzieci?

Polacy chcą mieć dzieci i to wynika ze wszystkich badań. Dobra, szczęśliwa rodzina to jest coś, co jest wskazywane jako istotny element szczęśliwego życia. A państwu powinno zależeć na tym, by obywatele byli szczęśliwi, bo to wpływa na ogólną kondycję życia społecznego.



Sukces na

Na grę biało-czerwonych na mundialu w Katarze momentami trudno było patrzeć i tej rzeczywistości zapudrować się nie da. Jednak krytyka, która spadła na piłkarzy i selekcjonera, bardzo często nie miała nic wspólnego z aspektem sportowym

Nie jest łatwo rozprawiać o naszej kadrze w takim momencie. Pisaliśmy bowiem te słowa przed meczem z Francją, a państwo przeczytacie je już po rozstrzygnięciu 1/8 finału. Nie wiemy, czy nasi piłkarze dotrzymali słowa i zagrali „zupełnie inaczej” z mistrzami świata. Zostawiamy to na boku, a zajmujemy się tym, na co wszyscy czekali 36 lat – że do takiego meczu w ogóle doszło. Że wyszliśmy z grupy!

To знаmienne, że mówimy o „osiągnięciach” naszej drużyny na etapie,



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

który dla wielu reprezentacji jest dopiero początkiem drogi. Ale w takim miejscu jest nasz futbol. Świetny

bramkarz, grający z przeblaskami pomocnik i światowej klasy napastnik to za mało, by mówić o wybitnym teamie. Na turniej w Katarze pojechaliśmy po latach zmarnowanych szans i kompromitujących występów na mundialach w XXI w. Mieliliśmy tego tak bardzo dość, że potrzebowaliśmy przełamania jak powietrza. I ono przyszło. W jakich okolicznościach? Niezbyt chwalebnych. Pokazaliśmy piłkę siermiężną, skrajnie defensywną, a wręcz bojaźliwą, pod niemal każdym kątem brzydką dla

miare



oka. Ale warto na chłodno spojrzeć, co osiągnęliśmy i przypomnieć sobie, o co chodzi w naszym narodowym sporcie.

SZCZĘŚCIE SZCZĘŚNEGO

A chodzi o wyniki. Czyli w pojedynkowych meczach – o zwycięstwa, zaś w turniejach – o pokonywanie kolejnych ich etapów.

Dlatego tak nieznośne są pojękiwania, według których wyszliśmy z grupy tylko dzięki litującej się nad nami Argentynie, szczęściu, Szczęsnemu. To tylko wycinki prawdy. Bo przede wszystkim stało się to dzięki temu, że przez pierwsze 180 minut mundialu nie daliśmy sobie strzelić bramki. Taka była strategia Czesława Michniewicza, krajowej federacji i samych piłkarzy. Z każdej strony byliśmy uprzedzani, że to będzie brzydki futbol, ale cel

uświęca środki. Że będzie walka, która może położyć kres złej passie i sprawić, że zapomnimy o mistrzostwach z 1986 r.

Porażka z Argentyńczykami była wkalkulowana w scenariusz zmagani grupowych. Zakładał on, że trzeba zdobyć co najmniej cztery punkty z wcześniejszymi rywalami, by być w grze o 1/8 finału. Udało się. Wygraliśmy z drużyną, która cztery dni wcześniej pokonała Argentynę. Zremisowaliśmy z Meksykańkami, wyrzucając ich z turnieju. O to właśnie chodziło!

Owszem, w naszym ostatnim spotkaniu grupowym rywale po strzeleniu drugiej bramki i informacji, że Meksyk prowadzi 2:0 z Arabią Saudyjską, mocno zaciągnęli ręczny hamulec i zaczęli truchtać po boisku, jakby nie chcieli zrobić Polakom krzywdy. Nasi także już wtedy tylko pozorowali grę w piłkę.

Kibiców bolały oczy, zęby, serca, ale to, co wywalczyli biało-czerwoni na boisku, wystarczyło.

Nigdy się już nie dowiemy, czy rację mieli ci, którzy wzywali do otwartej gry i wymiany ciosów w każdym meczu. Ale czy mielibyśmy jakiegokolwiek powody do radości po trzech przegranych „w pięknym stylu”?

HUZIA NA CZESŁAWA

Wręcz szokująca jest skala pretensji do trenera reprezentacji. Jakby te wszystkie błędy, niedokładności, spóźnienia w wykonaniu naszych zawodników obciążały konto selekcjonera. A przecież nie jest winą Czesława Michniewicza, że Krystian Bielik nie potrafił wyprowadzić piłki z własnej połowy. Ani to, że Robert Lewandowski nie strzelił karnego Meksykowi. To się zdarza,

natomiast forma naszej gwiazdy w meczach grupowych pozostawiała wiele więcej do życzenia. Kapitan nie potrafił przytrzymać dłużej piłki i skutecznie cofnąć się do rozegrania, gdy nie szło kolegom.

W trzech pierwszych meczach oddaliśmy tylko cztery strzały. Gdy odnotowało to jakieś francuskie konto na Twitterze, ktoś z Polski dopowiedział, że to wciąż więcej niż oddali Francuzi we wrześniu 1939 r. W mediach społecznościowych jakoś się bronimy, ale na murawie wyglądamy fatalnie.

Dlaczego? Czy na pewno brak okazji podbramkowych wynikał z taktyki przyjętej przez trenera? Przecież nie zabronił on Piotrowi Zielińskiemu celnie podawać i popisywać się techniką, a ten znów zagrał tak jak zdecydowaną większość meczów w kadrze – na poziomie dużo niższym niż w klubie. Michniewicza na pewno nie można też winić za powolność decyzji podejmowanych przez Grzegorza Krychowiaka. Owszem, można było próbować posadzić go na ławce. Lecz raz, że jego doświadczenie wydawało się na wagę złota (i parokrotnie się przydało w spotkaniach z Meksykanami czy Saudyjczykami), a dwa, że alternatywą dla niego był wspomniany Bielik (z Meksykiem zagrał nieźle, z Argentyną koszmarnie).

Można też zapytać o nastawienie mentalne naszych zawodników. Czy ten mundial ich nie przerósł? Na pewno nie Wojciecha Szczęsnego, ale nie można tego powiedzieć o wielu jego kolegach. Sebastian Szymański po meczu z Meksykiem cieszył się ze spełnienia marzenia, jakim był występ na mundialu. Jakub Kamiński po meczu z Albicelestes powiedział, że chciałby grać w piłkę jak Argentyńczycy, a samo przebywanie na boisku z Messim jest dla niego wielkim wydarzeniem. Od chłopaków występujących z orłem na piersi można oczekiwać większych ambicji.

Stanowisko trenera polskiej reprezentacji piłkarskiej to zawsze gorący fotel. Selekcjoner musi potrafić komunikować się z dziennikarzami i kibicami, chwilami być wręcz impregnowanym na krytykę. Michniewicz miewa

z tym problemy. Ale też jest zbyt ostro traktowany przez sportowych żurnalistów, z których wielu uważa się za najwybitniejszych taktyków na świecie. A także za wzorce moralne – zupełnie bezpodstawnie.

KTO BARDZIEJ DOWALI

Mistrzostwa świata to impreza, podczas której sporo mówimy o wspólnocie, poczuciu jedności, trzymaniu kciuków za naszych. Wydawałoby się, że znajdzie to odzwierciedlenie w mediach, które dziś są kreatorem emocji.

A pierwsza strona portalu wp.pl po meczach biało-czerwonych to zawsze kondensacja polskich nieszczęść oraz deficytów i to nie tylko piłkarskich.

Nigdy się już nie dowiemy, czy rację mieli ci, którzy wzywali do otwartej gry i wymiany ciosów w każdym meczu. Ale czy mielibyśmy jakiegokolwiek powody do radości po trzech przegranych „w pięknym stylu”?

Niezależnie od naszych wyników. Po meczu z Argentyną na górze strony znalazł się co prawda mało widoczny napis: „Udało się! Mamy awans!”, ale już eksponowane tytuły artykułów miały nas sprowadzić na ziemię. „Lewandowski powinien się wstydzić! Przecież widział to cały świat”.

Chodzi o analizę Dariusza Tuzimka. Trudno nie zgodzić się z jego opinią, że „awans do fazy pucharowej mistrzostw świata w Katarze nie jest osiągnięty w euforii całego narodu”, ale już dalsze psychologizowanie sprawia wrażenie tekstu napisanego na zlecenie, byle obsobaczyć Polskę, Polaków i selekcjonera naszej drużyny. „Ten awans ma twarz Czesława Michniewicza i zo-

stanie nazwany imieniem tego trenera. Jest dokładnie taki jak on. A on ma – w mojej ocenie – mocno przesunięte poczucie wstydu” – pisze Tuzimek. Później jest jeszcze ostrzej, świat się wybiera na piłkarskie święto, a my do tego towarzystwa nie pasujemy: „My na ten bal pakujemy się w gumofilcach, pikowanej kufajce i wieśniackim berecie. [...] Udało nam się zgrabnie wpisać w złośliwy stereotyp Polaka-kombinatora, który – zamiast grać – kombinuje. Bo inaczej nie potrafi” – czy to wciąż jeszcze o piłce nożnej? Nawet jeśli tak, to autorowi zależy bardzo na tym, byśmy (my, Polacy) wypadli jak najgorzej. „Świat przyjeżdża na mundial, żeby się bawić w futbol. Ale nie my. [...] Pamiętacie np. Duńczyków z Euro 1992? Mieli swój styl, kibice kochali ten »duński dynamit«. A my, kim jesteśmy teraz w Katarze? Trudno się w tym zakochać. A nawet docenić”.

No, to po kolei. Pięknie grająca – jak zgodnie twierdzą eksperci – Kanada pojechała już do domu (trzy porażki, bilans bramek 2:7), a i wspomniana Dania po dwóch przegranych i remisie jest poza turniejem. Nie mówiąc o reprezentacji Niemiec, która jedzie do domu, bo... miała gorszy bilans bramkowy niż Hiszpania. Ciekawe czy te zespoły zamieniłyby się na miejsca z tą okropną i grającą bez stylu Polską? Ponadto nasza reprezentacja nie ma potencjału ani talentów, by grać jak tamta Dania z 1992 r. Nie jesteśmy Brazylią czy Hiszpanią. Dlaczego

nie pada tu więc porównanie np. do Grecji, która pod wodzą Ottona Rehhagela w 2004 r. zdobyła mistrzostwo Europy, grając, by nie użyć mocniejszych słów, mało efektownie?

HEJT ZARAŻLIWY

Wygląda na to, że wieszanie psów na polskiej kadrze to choroba zaraźliwa. Pochwała wyjścia z grupy, jeśli się już zdarzy, musi być zniuansowana: „Jako Polak cieszę się z awansu. Trzeba sobie jednak zadać pytanie, czy awans musi być za wszelką cenę. [...] Wolę przegrać, odpaść jak Dania, ale widzę tam perspektywę rozwoju i to, że w przyszłości ten zespół będzie robił awanse”

– powiedział w Polsat Sport Tomasz Hajto, należący do klubu wybitnego reprezentanta (62 występy w kadrze, w tym na mundialu w 2002 r.). Pasuje do schematu jak ulał. A jeśli ktoś nie pasuje, to się go dopasuje.

Były kapitan kadry Jacek Bąk w rozmowie z portalem Agory sport.pl chciał przede wszystkim mówić, że „cieszy się z wyjścia z grupy” i że „selekcjoner miał plan i go wykonał”. Co więcej, cieszy się, że „już nie jesteśmy takimi chłopcami do bicia, jakimi przez lata byliśmy na wielkich turniejach”, choć uczciwie ocenia, że na Francję to może być za mało. Dziennikarz jednak zadbał o to, by czytelnik dowiedział się przede wszystkim o „kłopotach kadry”, „takyce, która zawiodła” i „drużynie, której nie da się polubić”. Czy naprawdę piłkarscy eksperci muszą być przeświadczeni, że tylko krytyka (i to jak najostrzejsza) będzie zauważona i doceniona przez środowisko? Że ujmą byłoby znalezienie pozytywów, że byłoby to oznaką poddania się emocjom, a przecież czytać to będą także podobni do nich „profesjoniści”?

Wracamy do portalu wp.pl. Od początku turnieju miało być tam tak, że z polskich osiągnięć cieszyć się nie wolno. Po zwycięstwie z Arabią Saudyjską widzieliśmy schemat, który znamy. Na górze: „Wielki dzień polskiego sportu”, ale już tytuł głównego komentarza: „Brutalne słowa po meczu. Jesteśmy dziadami? Trudno, mi się to podoba”, a później: „Wyglądaliśmy piłkarsko prymitywnie”. Taka zonglerka wypowiedziami wyrwanymi z rozmów dla portalu zdradza intencje sprowadzania nas do parteru.

Podobnie jak konsekwentnie krytyczne wobec Polaków, a szczególnie Roberta Lewandowskiego, komentarze byłego niemieckiego (podkreślmy, że naprawdę wybitnego) reprezentanta Lothara Matthäusa dla „Przeglądu Sportowego” (wydawca – Ringier Axel Springer Polska). „Jak chcecie cokolwiek wygrać z taką grą?” – to po remisie 0:0 z Meksykiem. „Nie rozumiem Lewandowskiego i jego wypowiedzi” – to po tym, jak nasz kapitan ucieszył się ze spełnienia osobistego marzenia, jakim było strzelenie bramki na mistrzostwach świata.



START POD GÓRĘ

Czesław Michniewicz od początku pracy z kadrą nie miał łatwo z dziennikarzami, szczególnie z mediów nieprzychylnych obecnemu rządowi. Tak, wciąż mówimy o piłce nożnej, ale trudno tej prawidłowości nie widzieć. Bo Michniewicz objął kadrę z woli nowego zarządu PZPN i prezesa Cezarego Kuleszy, któremu osobiście daleko do poglądów liberalnych i lewackich. Onet z pasją wyciągał więc rzekomy udział trenera w aferze korupcyjnej. Nigdy nie udowodniono mu żadnych grzechów, prokuratura nie chciała nawet stawiać żadnych zarzutów, a przecież skazano w tej sprawie ponad 400 osób. Selekcjoner groził więc dziennikarzom sądem, jeśli nie przestaną drążyć zamkniętego według niego tematu. „Przegląd Sportowy” pisał wówczas o selekcjonerze, który „podzielił Polskę”. Późniejsze publikacje to tylko potwierdzanie postawionej przez siebie i siostrzane media tezy.

Zbyt łatwo zapomnieliśmy, czym dysponował Michniewicz na starcie. W XXI w. żaden trener polskiej reprezentacji nie miał tak trudnych przygotowań do wielkiego turnieju. Objął kadrę na kilka miesięcy przed mundialem. W tym czasie wygrał ciężki baraż ze Szwecją (po którym niektórzy też za-

rzucali mu, iż zawodnicy nie wiedzieli, jak mają grać), utrzymał drużynę w najwyższej dywizji Ligi Narodów (i nie dlatego, że zmieniły się przepisy, jak za jednego z jego poprzedników) oraz zagrał 1 (słownie: jeden) mecz sparingowy. Po wyjątkowo krótkim obozie przed mundialem szybko trzeba było wychodzić na starcie z Meksykiem. I tego meczu nie przegraliśmy, co okazało się kluczowe dla dalszych losów kadry.

Czy to wystarczy, by pisać o Michniewiczu uczciwie? Niestety nie. Jest na celowniku, byle bzdura wystarczy, by wyprowadzić cios. Pokutuje niestety internetowa rzeczywistość, w której dla zebrania kliknięć i lajków dochodzi do wielu nieprzyjemnych manipulacji.

Po przegranej z Argentyną, która nie przeszkodziła nam jednak w awansie do fazy pucharowej mistrzostw, automatycznie została aktywowana klauzula gwarantująca przedłużenie kontraktu selekcjonera polskiej kadry. Czesław Michniewicz zostaje na stanowisku przynajmniej do końca eliminacji do Euro 2024. Dlaczego? Bo zrealizował stawiany przed nim cel. Nie była nim piękna gra na mundialu, tylko wyjście z grupy. A budowanie tej reprezentacji, nadawanie jej charakteru i zarysowywanie jej stylu dopiero się zaczyna. Taką przynajmniej mamy nadzieję.

Polska wypełniła obowiązek

4 listopada 2022 r. odbył się uroczysty pogrzeb polskich żołnierzy – obrońców Westerplatte. Pochówek bohaterów stał się dopełnieniem powinności ojczyzny wobec tych, którzy w jej obronie zginęli

Dziewięciu poległych obrońców odnalazł w 2019 r. zespół archeologów z Muzeum II Wojny Światowej z Filipem Kuczmą na czele. Razem z ich szczątkami na nowo otwartym cmentarzu Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte pochowano także ekshumowane w 2021 r. szczątki mjr. Henryka Sucharskiego – komendanta Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Ciało zmarłego we Włoszech w 1946 r. dowódcy WST sprowadzono do kraju i uroczystie pochowano już w 1971 r., jednak dopiero tegoroczne uroczystości pogrzebowe na Westerplatte były pierwszymi zachowującymi pełen ceremoniał kościelny.

TRUDNA HISTORIA

Pierwszymi orędownikami popularyzacji oraz badań historii Westerplatte byli żołnierze wchodzący w skład załogi dawnej WST. W latach 60. ubiegłego wieku z inicjatywy obrońców w wartowni nr 1 powstała niewielka izba pamięci, która przez lata była jedynym miejscem ekspozycji przekazywanych przez nich pamiątek. Ówczesne władze zdecydowały o poszerzeniu kanału portowego oraz o budowie na półwyspie kopca z pomnikiem Obrońców Wybrzeża (nie Westerplatte!) i nowej drogi prowadzącej do niego z parkingu. Przy realizacji tych inwestycji nie przejmowano się głębokimi przemianami zacierającymi ślady wrześnieowych walk. Nie dostrzegano także potrzeby przeprowadzenia badań na głęboko przekształcanym terenie dawnej WST.



Pierwsze Muzeum Westerplatte zostało powołane dopiero w 2007 r. Tego czasu dożyło zaledwie sześciu obrońców WST. Rozpoczęto wówczas działania zmierzające do zlokalizowania i uczynienia relikwów składnicy. Wkrótce jednak projekt muzeum poświęconego dziejom obrony półwyspu porzucono na rzecz instytucji budowanej w Gdańsku zajmującej się całościowo historią II wojny światowej. Do projektu utworzenia placówki muzealnej poświęconej Westerplatte powrócono dopiero w 2015 r. W Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 (od kwietnia 2017 r. – oddziału Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku) powstał Dział Archeologiczny, którego zadaniem było opra-

cowanie założeń misji archeologicznej na półwyspie i rozpoczęcie pierwszych w historii dawnej składnicy kompleksowych badań wykopaliskowych.

Badania terenowe rozpoczęto jesienią 2016 r. od potwierdzenia lokalizacji willi oficerskiej oraz wartowni nr 5, w której 2 września 1939 r. zginęło co najmniej siedmiu polskich żołnierzy. W kolejnych sezonach – realizując prace zarówno w ramach dotacji celowych, jak i korzystając ze środków własnych muzeum – misją archeologiczną obejmowano coraz większe obszary dawnej WST, odkrywając i dokumentując relikty najważniejszych budynków składnicy.

Do 2022 r. archeolodzy szczegółowo przebadali obszar o powierzchni niemal

6 tys. m², pozyskując ponad 60 tys. artefaktów obrazujących burzliwą historię półwyspu. Sporą część z tego zbioru stanowią unikatowe pamiątki związane ze służbą polskich żołnierzy z Westerplatte. Osiągnięcia te były możliwe dzięki zaufaniu ówczesnego dyrektora muzeum dr. Karola Nawrockiego, który otworzył archeologom drogę do możliwości samodzielnego typowania kolejnych obszarów badawczych.

ZAGADKA WESTERPLATTE

Jednym z podstawowych celów archeologów była próba wyjaśnienia nierozwiązanej od kilkudziesięciu lat tajemnicy – co stało się z ciałami poległych obrońców Westerplatte? Temat ten nie był szerzej opisywany. Zespół archeologów już w 2016 r. rozpoczął wnikliwą analizę dostępnego materiału archiwalnego, przede wszystkim wspomnień uczestników walk – Polaków i Niemców – oraz relacji jeńców cywilnych, którzy pod niemieckim nadzorem porządkowali teren półwyspu zaraz po zakończeniu bitwy. Wszystkie źródła wskazywały, że ok. 10 września 1939 r. poległych polskich żołnierzy pogrzebano na zachód od willi oficerskiej i wartowni nr 5. Przez krótki czas miejsce to było zaznaczone niewielkimi kopczykami ziemnymi i krzyżami zbitymi z desek, jednak wkrótce Niemcy nakazali ich usunięcie. Pamięć o lokalizacji grobów polskich bohaterów została zatarta na ponad 80 lat. W celu potwierdzenia zebranych informacji powzięto kolejne kroki.

W czerwcu 2018 r. wykonano pierwsze badania geofizyczne na terenie dawnej WST. Pracami objęto obszar 22 tys. m². Szczegółowo przebadano także wytypowany na podstawie relacji teren, na którym spodziewano się odnaleźć miejsce pierwotnego pochówku poległych westerplatczyków. Analiza wyników badań nie przyniosła jednak spodziewanych efektów. Ujawniono wiele anomalii, jednak ich lokalizacje wskazywały na związek z budynkami wyburzonymi jeszcze przed powstaniem WST.

Ostatecznie mogiły zlokalizowano na podstawie archiwalnych fotografii, na których niemieccy żołnierze odwie-



dzający teren niedawnych walk utrwalili groby Polaków. Analiza widocznych na starych zdjęciach elementów krajobrazu, tj. ukształtowania terenu, charakterystycznych budynków czy układu drzew, z obecnym wyglądem Westerplatte wskazała miejsce przyszłych badań. Istotną okazała się także wiedza o dokładnym położeniu nieistniejących obecnie budynków WST, nabyta dzięki

Pamięć o lokalizacji grobów polskich bohaterów została zatarta na ponad 80 lat

wcześniejszym badaniom archeologicznym. Wszystko to pozwoliło na zawężenie obszaru poszukiwań do 110 m². Nie było jednak pewności, czy szczątki polskich żołnierzy wciąż się tam znajdują. Jedynie prace wykopaliskowe mogły zweryfikować zebrane informacje.

Badania archeologiczne prowadzone od września do listopada 2019 r. wreszcie doprowadziły do odnalezienia pięciu dołów, do których niemal 80 lat wcześniej – bez najmniejszego szacunku – wrzucono zmasakrowane ciała dziewięciu polskich bohaterów. Na podstawie widocznych urazów – powstałych wskutek działania fali uderzeniowej, wysokiej temperatury i uderzeń odłamków – postawiono hipotezę, że większość odnalezionych obrońców zginęła 2 września 1939 r. w rozbitej niemieckimi bombami wartowni nr 5. Założenie to potwierdziły badania genetyczne wykonane na zlecenie IPN w szczecińskim PUM. Spośród siedmiu dotych-

czas zidentyfikowanych obrońców sześciu poległo w wartowni.

NARESZCIE GODNIE

Potrzeba godnego pochowania odnalezionych po ponad 80 latach obrońców stała u podstaw ogłoszenia międzynarodowego konkursu na aranżację architektoniczną nowego cmentarza na Westerplatte. W jego wyniku wyłoniono propozycję uwspółcześnienia tego miejsca

pamięci za pomocą przeorganizowania dotychczasowej przestrzeni. Nowe założenie, wkomponowane w naturalny las, tworzy 18 steli wyznaczających miejsca spoczynku odnalezionych i zweryfikowanych obrońców, skupionych wokół najistotniejszego w tym miejscu symbolu – krzyża. Minimalistyczna forma cmentarza eksponuje jednocześnie krajobraz półwyspu – nośnika pamięci i dramatu, który rozegrał się w 1939 r. na Westerplatte.

Osobami odpowiedzialnymi za wskazanie prawdopodobnego miejsca ukrycia, a następnie podjęcie z niego szczątków bohaterskich obrońców Westerplatte byli archeolodzy zatrudnieni w MIIWŚ: Adam Dziewanowski, Piotr Kalka, Filip Kuczma i Wojciech Samół. Wraz z antropologiem Aleksandrą Pudło oraz zespołami prok. Toma-

sza Jankowskiego z Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (IPN-KŚZpNP) i dr. hab. Andrzeja Ossowskiego, prof. Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego (PUM) w Szczecinie, stworzyli oni interdyscyplinarny zespół, którego wspólna praca doprowadziła do odnalezienia, identyfikacji oraz uroczystego państwowego pochówku polskich żołnierzy zakopanych wcześniej w anonimowych dołach śmierci.

Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku pod dyktando dr. hab. Grzegorza Berendta kontynuuje misję archeologiczną na Westerplatte. Trwają poszukiwania kolejnych mogił bohaterskich obrońców WST. Będą one prowadzone do skutku. Ojczyzna dopełni swojego obowiązku względem tych, którzy w Gdańsku służyli Polsce. ➤

Adam Dziewanowski, Piotr Kalka, Filip Kuczma, Wojciech Samół
(Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku)



MAREK BUDZISZ

Nasz trójkąt bezpieczeństwa

Jeśli elementem rosyjskiego planu zwycięstwa jest inkorporacja Białorusi lub osadzenie w Mińsku polityka całkowicie bezwolnego, to trzeba zadać pytanie: jak tego rodzaju rozwój wydarzeń wpłynie na stabilność Europy Środkowej? Wtedy nawet jeśli Ukrainie uda się wygrać wojnę, Rosja nadal będzie groźna

Siergiej Naryszkin, szef rosyjskiego wywiadu zagranicznego, mówi w rozmowie dla RIA-Nowosti, że Polska ma zamiar anektować część zachodniej Ukrainy. W świetle jego wypowiedzi przygotowywane są nawet referenda w obwodach lwowskim, iwanofrankińskim i tarnopolskim, które chcielibyśmy rzekomo polknąć. To nie pierwszy raz, kiedy wysoki rangą rosyjski polityk wypowiada poważnie oczywiste banialuki i zmyślenia. Przedstawiciele administracji Zełenskiego wyśmiali te urojenia. Podobnie zresztą jak tezy Ramzana Kadyrowa o tysiącach pol-

skich najemników walczących po stronie Kijowa, którzy dla niepoznaki przebrani są w mundury sił zbrojnych Ukrainy. Tak na wiasem mówiąc, rosyjska propaganda nie troszczy się o spójność swojego przekazu, bo równolegle w mediach oficjalnych eksploatowana jest teza, że Polacy mają już dość pomagania sąsiedniemu państwu, incydent w Przewodowie doprowadził do ochłodzenia relacji, nasi najemnicy, którzy tysiącami zasilili ukraińskie siły zbrojne, zbuntowali się i nie chcą być traktowani jak mięso armatnie, a na dodatek społeczeństwo polskie, o czym nie wiedziałem,

oburzone jest wystąpieniem Ołeny Zełenskiej w Izbie Gmin, bo nie dość gorliwie przepraszała nas tam za ukraińskie winy.

Dmitrij Miedwiediew, były rosyjski prezydent, dziś zastępca szefa Rady Bezpieczeństwa, niestrudzony w mnożeniu pogroźek, napisał niedawno ironicznie na swoim koncie w mediach społecznościowych, że „Ukraina wygra tę wojnę w mocno okrojonym kształcie terytorialnym”, a w innym wpisie dodawał, że „Kijów jest starym rosyjskim miastem”, które musi wrócić do macierzy. Można oczywiście traktować tego rodzaju twór-

czość w kategoriach aberracji czy fantazji mającego problemy z alkoholem polityka odsuniętego na boczny tor, ale warto zastanowić się, czy Rosjanie nie przygotowują swojego politycznego planu zakończenia wojny i swojej definicji zwycięstwa.

CENA POKOJU

Oficjalne stanowisko rosyjskiej dyplomacji, formułowane wprost przez wiceministra Rudenko i powtórzone przez rzecznikę MSZ Marię Zacharową, mówi o tym, że Kijów „musi uznać realia”, co rozumieć należy jako zgodę na oderwanie części swych terenów. W gruncie rzeczy o takiej cenie pokoju myśli też niemała część polityków Zachodu, proponujących Ukrainie mediację i pośrednictwo w zorganizowaniu rozmów z Kremlm. Kwestią otwartą jest ostateczny kształt porozumienia, ale to, że Ukraina będzie musiała „coś oddać”, wydaje się być milcząco akceptowane.

Dziennik „Ukraińska Prawda” napisał, po tym jak jego dziennikarze przeprowadzili dochodzenie w tej sprawie, że jedna z najbardziej zaawansowanych propozycji pokojowych, jaką administracja Zelenkiego otrzymała niedawno od „jednego z wiodących państw europejskich”, przewidywała oddanie przez Rosję anektowanych po 24 lutego obszarów, ale kwestia przyszłości Krymu miała być zawieszona na 7 lat. Dopiero po tym czasie społeczność międzynarodowa miałaby podjąć próbę rozwiązania tej kwestii. Na podobny czas miała też zostać oddalona perspektywa członkostwa Ukrainy w NATO. Problemem jest tylko to, że Putin w odpowiedzi na te koncepcje dał rozkaz przeprowadzenia największego od początku agresji ataku rakietowego na ukraińskie cele. Oznacza to, że Rosjanie nie mają zamiaru niczego Ukrainie oddawać i nadal dążą do uznania przez Kijów terytorialnego *status quo*.

NIE TAKA SŁABA ROSJA

Jednak pytaniem zasadniczym jest nie tyle to, czego na Kremlu chcą, ile jakie mają możliwości. Zacznijmy od gospodarki. W tym roku Rosję dotknie recesja, ale nie tak wielką jak prognozowano to jeszcze na początku wojny. W świetle ostatnich prognoz zachodnich instytucji finansowych wyniesie ona od 3,2 do 3,4 proc., podczas gdy ukraińska, o wiele przecież mniejsza,

skurczy się o 34,7 proc. Nowa strategia gen. Surowikina, polegająca na systematycznym niszczeniu ukraińskiego systemu energetycznego, który już w 50 proc. jest zdestruowany, jeszcze tę nierównowagę pogłębi. Oznacza to, że jeśli wojna będzie się przedłużać, to Rosjanie mogą powiększyć swoją przewagę w sprzęcie i amunicji nad Ukrainą, a z czasem nawet ci wykpiwani zmobilizowani rezerwiści, którzy cały czas się szkolą, osiągną większą sprawność. Co więcej, jak szacują eksperci dwóch renomowanych amerykańskich think tanków strategicznych, CNA, będącego intelektualnym zapleczem marynarki wojennej, i CNAS, z którego wywodzi się wielu wysokiej rangi urzędników Pentagonu, Rosjanie stracili na Ukrainie bardzo dużo sprzętu – przede wszystkim starego, takiego, który wszedł do służby w 2/3 przed 2011 r. Mimo to mają nadal spore rezerwy nowoczesnych systemów – w przypadku lotnictwa stracili nie więcej niż 10 proc. swego potencjału – i będą w stanie nadgonić straty w czasie od 3 do 5 lat. Rozwiązać to zagrożenie można tylko w jeden sposób – pozbawiając Moskalów pieniędzy niezbędnych na finansowanie zbrojeń i uruchamiania przemysłu Zachodu, aby ten pracował na potrzeby Ukrainy. To dlatego Janet Yellen, amerykańska sekretarz skarbu, powiedziała niedawno, że zasadnicze sankcje nałożone na Moskwę winny pozostać w mocy jeszcze długo po zakończeniu wojny, a koncern zbrojeniowy Raytheon, produkujący systemy rakietowe NASAM, otrzymał właśnie od Waszyngtonu kolejne, warte 2,1 mld dol. zamówienie, aby mógł zbudować niezbędne Ukrainie rakiety.

Antony Blinken opowiedział też dziennikowi „The New York Times” o planach wznowienia produkcji w Czechach, na Słowacji i w Bułgarii amunicji i broni wytwarzanych jeszcze w czasach, kiedy kraje te wchodziły w skład Układu Warszawskiego. Oczywiście odbiorcą tych systemów jest Ukraina, której siły zbrojne przygotowują się do kolejnej, tym razem zimowej operacji zaczepnej, która miałaby zacząć się w perspektywie najdalej dwóch miesięcy, kiedy ziemia zamarznie. W opinii ukraińskich ekspertów jej celem miało być zadanie Rosjanom decydującego ciosu – odniesienie znaczącego sukcesu na Zaporozżu lub na Charkowszczyźnie po to, aby Moskale zrozumieli, że wojny nie wygrają i żeby usiedli do negocjacyjnego stołu.

NIE DRAŻNIĆ LUDZI

Tylko że Rosjanie, jak się wydaje, myślą podobnie. Też chcieliby negocjacji, na co wskazują ostatnie tajne badania opinii publicznej zamówione przez „blok polityczny” Kremla. Wynika z nich, jak napisał dobrze poinformowany portal Meduza, że obecnie 55 proc. ankieterowanych chciałoby rozmów pokojowych, a jedynie 25 proc. opowiada się za kontynuowaniem wojny. Podobnie nastroje opinii publicznej ocenia Centrum Lewady, którego eksperci podają, że nawet 57 proc. Rosjan z ulgą przyjąłoby zawieszenie broni i rozpoczęcie rozmów o pokoju. Grigorij Judin, rosyjski socjolog, komentujący te wyniki, mówi, że mamy do czynienia raczej z wyrazem apatii czy poczuciem osobistego zagrożenia, co jest związane z ogłoszoną mobilizacją, a nie narastaniem nastrojów antywojennych. Poparcie dla polityki Kremla nadal jest istotne, a trendy te mogą ulec zmianie, jeśli Rosja zacznie wojnę wygrywać. Informatorzy Meduzy na Kremlu mówią dziennikarzom, że władze raczej nie obawiają się masowych wystąpień antywojennych w najbliższym czasie, ale zrozumieli, że lepiej „nie drażnić ludzi” ponad potrzebę, co już przełożyło się na instrukcje, które otrzymały media, aby nie eksploatować ponad miarę kwestii długotrwałości wojny i zacząć przygotowywać widownię na scenariusz jej zakończenia, oczywiście na rosyjskich warunkach. Może to oznaczać, że Moskwa chce doprowadzić do pauzy strategicznej i jednocześnie zakończyć wojnę na warunkach, które będzie można uznać za zwycięstwo. W przypadku Ukrainy może to być trudne, choć niepowodzenie spodziewanej ofensywy sił ukraińskich uprawdopodobnia tego rodzaju scenariusz. To dlatego gen. Surowikin „uszczelnił” i skrócił rosyjskie linie obrony oraz rozbudowuje system bunkrów, zapór i okopów. Chodzi o to, aby udało się powstrzymać ofensywę, co mogłoby przekonać wspierające Ukrainę państwa Zachodu, że kontynuowanie wojny jest niecelowe i lepiej zacząć negocjacje. W ich wyniku Rosjanom najprawdopodobniej udałooby się coś z dotychczasowych zdobyczy terytorialnych utrzymać i to można byłoby przedstawić jako trofeum zwycięzców. Ale równolegle w Moskwie przygotowują sobie kolejną „zdobycz”, trofeum

polityczne, które w oczywisty sposób mogłoby przekonać obywateli Federacji Rosyjskiej, że Putin wojnę, mimo trudności, wygrał. Chodzi o Białoruś, wokół której w ostatnich dniach sporo się dzieje.

CO Z BIAŁORUSIĄ

Przede wszystkim mamy do czynienia z zagadkową śmiercią Władimira Makieja, młodego jak na polityka (64 lata) i nie uskarżającego się wcześniej na problemy ze zdrowiem ministra spraw zagranicznych Białorusi. Pojawiły się spekulacje, że być może został nawet otruty przez specjalną jednostkę FSB, zwłaszcza że zmarł dzień po spotkaniu z Ante Joziciem, chorwackim arcybiskupem, nuncjuszem apostolskim w Mińsku, sprawnym dyplomatą, któremu udało się już raz, zimą 2020 r., zażegnać jeden z kryzysów i umożliwić powrót na Białoruś bp. Kondrusiewicza. Nie wiadomo o czym rozmawiano, ale dyplomacja watykańska może odgrywać rolę jednego z kanałów kontaktu między przedstawicielami reżimu a Amerykanami. Dociekania co do przyczyny śmierci ministra, uchodzącego za jednego z głównych zwolenników prowadzenia przez Białoruś polityki szukania *modus vivendi* z Zachodem, pobudza zarówno to, że w tydzień po jego zgonie nie było jeszcze oficjalnego komunikatu władz na ten temat, ale również dziwne zachowanie Łukaszenki, który na wieść o śmierci Makieja natychmiast wzmocnił swoją ochronę, wymienił dotychczasowych kucharzy i pracowników obsługi.

Piotr Rudkowski, białoruski politolog, jest zdania, że w istocie Rosjanie mogą zastanawiać się, czy nie nadszedł już czas na zmiany i odejście Łukaszenki, który nie jest dla Moskwy komfortowym partnerem. Kiedy Rosja miała nadzieję na zwycięstwo w wojnie z Ukrainą, wyraźną niechęć dyktatora do czynnego zaangażowania się w konflikt można było tolerować, ale teraz sytuacja jest trudniejsza. Rudkowski jest zdania, że w grę wchodzić może też inny wariant, i wciągnięcie Białorusi do wojny wcale nie musi być strategicznym celem Rosjan. W jego opinii, jeśli wojna będzie zbliżała się do końca i na Kremlu będą sobie zdawać sprawę, że możliwy do osiągnięcia przy stole

rokowań pokój daleki będzie od oczekiwania i rosyjskich aspiracji, to wówczas w ramach kompensacji mogą rozpocząć przyspieszony proces połykania Białorusi, włączenia jej do Federacji Rosyjskiej po to, aby swej opinii publicznej starać się udowodnić, iż per saldo wojna jest zwycięska. Jednak aby sprawnie realizować ten scenariusz, trzeba mieć w Mińsku polityka znacznie bardziej spolegliwego, który sprawnie przeprowadzi proces integracji.

Walery Kowalewski, były białoruski dyplomata, który po 2020 r. przeszedł na stronę opozycji i obecnie w rządzie tymczasowym powołanym latem przez Swiełanę Cichanowską odpowiada za politykę zagraniczną, mówił w jednym z wywiadów, że scenariusza rosyjskiej aneksji nie można wykluczyć. Jego zdaniem wskazuje na to

Wszystko wskazuje na to, że Kreml nadal chce wycofania się NATO i Amerykanów z Europy Środkowej, by obszar ten przekształcić w rosyjską strefę buforową, w której dyktowałby warunki

choćby to, w jaki sposób Rosjanie rozmieścili swe siły wojskowe na terenie Białorusi. Nie są one skoncentrowane na południu, co byłoby logiczne, jeśli w grę wchodziłaby powtórka z lutego i Moskwa chciałaby ponownie uderzyć na Kijów z północy. W takim wariantcie rosyjscy wojskowi zajęci byliby przygotowaniem logistyki, baz materiałowych czy koncentrowali swe siły w niewielkiej odległości od granicy. Ale nic takiego nie ma miejsca, a rosyjski kontyngent wojskowy jest rozmieszczony w miarę równomiernie na terenie całego kraju, tak jakby było kontrolowanie sytuacji.

PLAN PUTINA

Jeśli zatem elementem rosyjskiego planu zwycięstwa jest inkorporacja Białorusi lub osadzenie w Mińsku polityka całkowicie

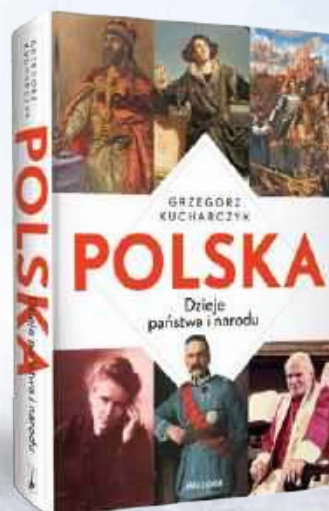
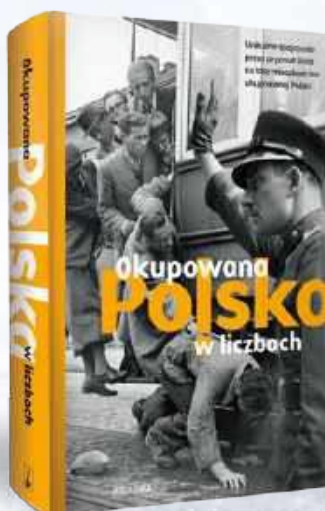
bezwolnego, który realizować będzie scenariusz nakreślony ręką ambasadora Gryzłowa, to trzeba zadać pytanie: jak tego rodzaju rozwój wydarzeń wpłynie na stabilność Europy Środkowej? W Kijowie zdają sobie sprawę, że wówczas powojenny system bezpieczeństwa będzie kruchy, jeśli Moskwa zechce kontrolować wojskowo Mińsk. Tym bardziej że jednym z ewentualnych następców Łukaszenki może być, jak się spekuluje, Wiktor Chrenin, obecny minister obrony, który znany jest z prorosyjskich posunięć. Dla Polski tego rodzaju rozwój wydarzeń też nie jest korzystny. Rosja kończąc wojnę na Ukrainie, uzyskałaby to, na czym najbardziej jej obecnie zależy, czyli pauzę strategiczną, czas na odpoczynek, odbudowę swego potencjału militarnego i rozpoczęcie przygotowań do dogrywki. Kontrolując Białoruś, uzyskałaby możliwość szachowania również Polski i państw bałtyckich. Jest to być może scenariusz groźny dopiero za kilka lat, ale niewiele wskazuje na to, aby w Moskwie myśłano o rewizji swego wielkiego planu geostrategicznego, który doprowadził do wybuchu wojny na Ukrainie.

Putin występując na posiedzeniu Klubu Władajskiego, oficjalnie podtrzymał swoje „propozycje pokojowe” z 19 grudnia ub.r. W przedstawionych wówczas traktatach zawarte było żądanie i zgoda sygnatariuszy, bo i my mielibyśmy podpisać te dokumenty, na wycofanie się NATO i Amerykanów z Europy Środkowej, która w wyniku tego przekształcałaby się w rosyjską strefę buforową – obszar, w którym Moskwa dyktowałaby warunki. Czy na Kremlu zrezygnowano z realizacji tego rodzaju wizji? Wydaje się, że nie. Nawet jeśli teraz myślą, iż nie uda się to tak szybko jak planowali, to cel nadal pozostaje aktualny. A to oznacza, że zagrożona jest również Polska, bez wsparcia której Ukraina nie byłaby w stanie wytrzymać tak długo.

Kluczowa dla naszego bezpieczeństwa jest też Białoruś, o czym zdajemy się zapominać. Jeśli pozostawimy ją w rękach Putina, to nie będziemy bezpieczni jeszcze przez długie lata i to nawet jeśli Ukraina uda się wojnę wygrać. A to oznacza, że nasze bezpieczeństwo rozstrzygnie się w trójkącie Polska–Ukraina–Białoruś, bo Rosja nadal będzie groźna.

Najlepsze książkowe prezenty

tylko na www.ksiazki.pl



BELLONA

W poszukiwaniu kolaborantów

Małe miasteczko niedaleko Chersonia było okupowane przez Rosjan prawie osiem miesięcy. Gdy Ukraińcy przegnali najeźdźcę, cała okolica zamarta w oczekiwaniu na dalszy los. Kiedy podłączą prąd i gaz? Czy wypłacą zaległe emerytury? Jak będzie wyglądała dostawa pomocy humanitarnej? I najważniejsze – jaki los spotka tych, którzy skorzystali na krwawej obecności żołnierzy Putina?



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Zajeżdżamy przed dom jednego z mieszkańców – specjalny oddział policji i polski dziennikarz, o którego obecności ukraińscy cywile nie wiedzą. Z budynku wychodzi ok. 70-letni, ale krzepki i energiczny mężczyzna, który sam wzywał mundurowych. To Nikita, który przez osiem miesięcy ukrywał w piwnicy ukraińskiego oficera poszukiwanego przez rosyjskie władze okupacyjne. Dał schronienie mundurowemu, za co groziło rozstrzelanie i jego, i oficera. Czyż nie brzmi to podobnie do polskich historii dawnej okupacji, gdy i polskie domy ukrywały partyzantów lub żołnierzy AK?

Dziarski staruszek nie jest w stanie normalnie mówić, cały się trzęsie w nerwach, nie mówi a krzyczy, połowa jego wyrazów to przekleństwa. – Nie mogę tego wytrzymać, dajcie mi broń, ja sam się z nimi, k...a, rozprawię! – wrzeszczy, pokazując dom na przeciw. – Tamte sk...y na mnie donosiły, a tamte ku...y sprowadziły ruskich żołdatów – wymachuje rękami, czerwienieje na twarzy, major próbuje go uspokoić. – Ale tylko ja wiedziałem, tylko ja i jego żona – opowiada mężczyzna. Po ponad 250 dniach



Policjanci odwiedzają każdy dom i zbierają informacje dotyczące okupacji: kto zginął, kto uciekł, kto przechowuje broń, wreszcie, kto handlował z Rosjanami, kto im się wysługiwał

permanentnego napięcia i strachu o życie własne i ukrywanego żołnierza wychodzi z człowieka zdenerwowanie, stres, bezsilność ostatniego półroczka. – Teraz te ku...y chodzą i mówią, że się cieszą z wyzwolenia, a jeszcze trzy dni temu, k..., k..., k...! – krzyczy i znowu się trzęsie. Oficer pozwala mu się wywrzeszczyć, potem mówi życzliwym, ale stanowczym głosem: – Nic nie róbcie, Nikito Siergiejowiczu, obiecuję, że nikomu kolaboracja nie ujdzie płazem.

Policja odjeżdża, robiąc notatki w protokołach, by następnego dnia ruszyć na „zaczystkę”, czyli drobiazgowo wizyty i przeszukania w domach wszystkich mieszkańców, które są wstępem do procedur w poszukiwaniach kolaborantów.

Policjanci odwiedzają każdy dom i zbierają informacje dotyczące okupacji: kto zginął, kto uciekł, kto przechowuje broń, wreszcie, kto handlował z Rosjanami, kto im się wysługiwał, kto razem z nimi wyjechał na Wschód. Prawo jest tutaj precyzyjne: kolaboranci mają zostać postawieni przed sądem, za współpracę z okupantem grozi do 15 lat więzienia.

Co ciekawe Rada Najwyższa i prezydent Wołodymyr Zełenski opracowali nowe ustawy już w pierwszej połowie marca, gdy wydawało się, że odbicie terenów zagarniętych przez Rosję będzie trwało lata, jeśli w ogóle będzie możliwe. Gdy jednak latem Ukraińcy odbili obwód charkowski, przeszli do ofensywy w Donbasie, a teraz



odbili prawobrzeżną część obwodu chersońskiego, aparat państwa został zaangażowany do rozliczenia się ze zdrajcami. Zazwyczaj prawo jest mniej surowe niż potencjalne samosądy. Ludność ukraińska, która cierpiała upokorzenia ze strony okupanta, która straciła swój dobytek, była świadkami morderstw, rabunków i gwałtów, zazwyczaj rozszarpałaby kolaborantów własnymi rękami. Tymczasem policja jedynie przekazuje ich prokuraturze, która uzupełnia zeznania i kieruje sprawę do sądu.

TRZY TYPY ZDRAJCÓW

Jak pokazuje ukraińska praktyka, kolaborantów można podzielić na trzy typy. Jedni z nich to wpływa agentura rosyjska, najbardziej szkodliwy element, który świadomie i dla znacznych korzyści materialnych i politycznych sprzedawał informacje Rosjanom, a następnie zajmował wysokie stanowiska w administracji okupacyjnej. Synonimem zdrady w obwodzie chersońskim zostali Wołodymyr Saldo i Kiril Stremousow. Ten pierwszy doczekał się nawet uznania przez Putina głową samozwańczej „Chersońskiej Republiki Ludowej”, już od lat 80. służył interesom sowieckiej armii, a w latach 90., prowadząc działalność na styku polityki, biznesu i mafii, stał się długoterminową inwestycją prorosyjskiej Partii Regionów na Chersońszczyźnie. To on *de facto* poddał Chersoń Rosjanom. 30 września podpisał z Putinem bezprawne przekazanie obwodu Federacji Rosyjskiej, po czym wstąpił do partii Jedna Rosja.

Z kolei Stremousow już w połowie marca stanął na czele kolaboracyjnego Komitetu Wyzwolenia, który zajął się rusyfikowaniem obwodu chersońskiego, np. wprowadzaniem rosyjskiej waluty i symboliki państwowej. Choć szanse na osądzenie Saldo są niewielkie, to Stremousowa ukraiński wymiar sprawiedliwości na pewno nie dopadnie – 9 listopada, a więc tuż przed wyzwoleniem Chersonia przez

Ukraińców, kolaborant zginął w tajemniczym wypadku samochodowym w Geniczsku, tymczasowej stolicy samozwańczej republiki. Czy dosięgła go sprawiedliwość ze strony ukraińskich partyzantów, czy to rosyjskie służby pozbyły się coraz bardziej skompromitowanego koniunkturalisty?

Ale tacy kolaboranci to typy ze świecznika. Większą grupę zdrajców stanowili urzędnicy niższego szczebla, którzy po prostu nienawidzili swojego kraju, a wierzyli w potęgę Rosji. Gdy imperium przyszło, poczuł wiatr w żaglach. Jeden z mężczyzn snigurowskiego rejonu w obwodzie miko-

Jak pokazuje ukraińska praktyka, zdrajców można podzielić na trzy typy

łajowskim porzucił nawet żonę i dzieci, by ewakuować się z rosyjską administracją. „Zostań” – mówiła żona. – „Twoja hańba spadnie na nasze dzieci” – przekonywała. Trudno jednak po prorosyjskich kolaborantach spodziewać się jakiegokolwiek honoru. Do grupy kolaborantów „średniego szczebla” należą ludzie różnych profesji, a którzy po wejściu Rosjan uczestniczyli w politycznych mitingach, pomagali instalować nową władzę i donosili na patriotów (jak np. na wspomnianego na początku tekstu mężczyznę ukrywającego ukraińskiego żołnierza).

W Chersoniu jedna z atrakcyjnych instruktorek fitness agitowała za głosowaniem na „tak” w pseudoreferendum o przyłączeniu obwodu do Rosji. Później zresztą uciekła z rosyjskimi żołnierzami na Wschód, trudno się dziwić mieszkańcom, że nazywają ją „raszystowska prostytutką”. 24 listopada SBU zatrzymała mężczyznę, właściciela łodzi wycieczkowych na Dnieprze w Chersoniu, który udostępniał swoje

statki ewakuowanym rosyjskim żołnierzom, pomagał w ucieczce władzy okupacyjnej. Armii Putina miał zaproponować sześć jednostek pływających, sam nie zdążył uciec i ukrywał się w mieście przez dwa tygodnie – aż do złapania. Jego los nie jest jeszcze przesądzony, ale jeśli sprawę potwierdzą nagrania, świadkowie i dokumenty, to i on może trafić do więzienia na 15 lat, a także stracić prawa wyborcze w kraju.

Trzecim typem kolaborantów są ludzie ocierający się o definicję marginesu społecznego, którzy powitali „ruski mir” jako nadzieję na zarobienie pieniędzy na nielegalnym handlu kradzioną żywnością, otrzymywaniu benefitów (np. żywnościowych) za donosy czy po prostu za wykonywanie drobnych usług dla władzy okupacyjnej, np. naprawy samochodów, pranie ubrań czy gotowanie. Prawo ukraińskie obliuguje sądy do zbadania, czy dana osoba współpracowała pod przymusem, czy dobrowolnie, na ochotnika. Wbrew pozorom nie jest to trudne do ustalenia: na kolaborację jest wielu świadków, a takie typy z pogranicza marginesu płaczą się w swoich zeznaniach, zaprzeczają sami albo nieświadomie się przyznają (np. mówiąc, że danej ofierze donosu należała się śmierć).

PRAWO PRZED SAMOSĄDEM

Rozprawienie się z kolaboracją na wyzwolonych ziemiach już zmienia strukturę zdrady na okupowanych terenach. Ukraińscy obywatele będący na TOT (Tymczasowo Okupowane Terytoria) zaczęli skrupulatniej dokumentować zdradę, a sami zdrajcy częściej deklarują wolę wyjazdu do Rosji – odnotowano to np. w Nowej Kachowce, która wedle obiegowej opinii ma być kolejnym wyzwolonym miasteczkiem. Poszukiwania przez policję, prokuraturę, sądy i ewentualnie więzienie to tak naprawdę łagodny scenariusz dla kolaborantów, w rękach wściekłych ofiar okupacji kara dla nich byłaby na pewno bardziej dramatyczna.

*Kto wykreował
amerykańskiego
maklersanta
na finansowego
geniusza?*

*Kto zbudował
jego publiczną
wiarygodność?
To niewygodne
pytania, na które
będą musieli
odpowiedzieć
demokraci*

Imperium zbudowane
przez Sama Bankmana-
Frieda upadło w ciągu
tygodnia. Jeszcze miesiąc
temu agencja Bloomberg
szacowała jego wartość
na 16 mld dolarów

Polityka, seks i kryptowaluty



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Jeździł do pracy toyotą corollą, mieszkał w penthousie z grupą współlokatorów oraz psem mod-

nej rasy goldendoodle. Gości przyjmował w szortach i pomiętonych koszulkach, czasami sypiał pod swoim biurkiem na pufie. Miesiąc temu był jeszcze wart dziesiątki miliardów dolarów. Dziś 30-letni Sam Bankman-Fried (w skrócie: SBF) ma jeszcze 100 tys. dol. na koncie po bankructwie FTX, trzeciej pod względem wielkości giełdy kryptowalutowej na świecie, którą założył zaledwie trzy lata temu.

Bajka o grupie postępowych milionistów rodem z Silicon Valley, umo-

cowanych politycznie i koszących miliardy na kryptowalutach skończyła się skandalem. Tysiące inwestorów, tych dużych i tych małych, zostały na lodzie, bo ich pieniędzy raczej nie da się już odzyskać. Natomiast rządzący w USA demokraci będą musieli odpowiedzieć na szereg niewygodnych pytań, choćby takich, dlaczego działalność SBF wymykała się wszelkim kontrolom. Może dlatego, że był on jednym z najbardziej hojnych darczyńców partii Joe Bidena i przekazał na kampanię wyborczą

demokratów do Kongresu miliony dolarów?

PUSTE PIENIĄDZE

Imperium zbudowane przez Bankmana-Frieda, którego porównywano do wielkich inwestorów, jak J.P. Morgan czy Warren Buffet, upadło na przestrzeni zaledwie tygodnia. Wystarczyła informacja w mediach o braku zabezpieczeń środków użytkowników – kolportowana zresztą także przez głównego konkurenta SBF, giełdę kryptowalut Binance, należąca do chińsko-kanadyjskiego biznesmena Changpeng Zhao – by spowodować typową panikę bankową. Ludzie zaczęli wycofywać swoje depozyty. FTX okazała się być kolosem na glinianych nogach, a jej jedynym majątkiem token o nazwie FTT, którego sama emitowała. Do tego doszły doniesienia, że większość aktywów Alameda Research, funduszu blisko powiązanego z FTX, stanowią owe bezwartościowe tokeny. Temu funduszowi SBF miał przekazać środki w wysokości 10 mld dol. z funduszy klientów. Bez żadnych zabezpieczeń. Binance początkowo chciała ratować FTX, w zamian za przejęcie jej aktywów, ale ostatecznie Zhao wycofał się z transakcji, uznając, że nie ma ona sensu. W rezultacie spółka była zmuszona złożyć wniosek o upadłość, a Bankman-Fried ustąpił ze stanowiska.

FTX stała się przedmiotem śledztwa Komisji Giełdy Papierów Wartościowych oraz Departamentu Sprawiedliwości. Mechanizmów kontroli wewnętrznej w spółce – jak twierdzi główny likwidator i nowy prezes FTX John Ray III – zwyczajnie nie było. A SBF, który założył przez ostatnie lata ponad 130 firm w różnych krajach i różnych branżach, „ignorował” ostrzeżenia, że „przekracza swoje możliwości”. „Nigdy w mojej karierze nie widziałem tak kompletnej porażki kontroli korporacyjnej i całkowitego braku wiarygodnych informacji finansowych jak tutaj” – zeznał Ray III w sądzie.

Jeszcze miesiąc temu agencja Bloomberg szacowała wartość FTX na 16 mld dol. Dziś oscyluje ona w okolicy 1 dol. Firma jest winna swoim wierzycielom ponad 3 mld dol., a ponad 300 mln dol.

zostało wydanych przez Bankmana-Frieda, jego rodzinę i współników na nieruchomości na Bahamach, gdzie firma miała swoją główną siedzibę – w Albany na wyspie New Providence. Tam żyli jak królowie. Bankman-Fried dzielił luksusowe mieszkanie oraz firmę z małą grupką znajomych poznanych w czasie studiów w Massachusetts Institute of Technology (MIT) lub w jego pierwszym miejscu pracy, w firmie Jane Street, obracającej instrumentami finansowymi, gdzie pracował w latach 2013–2017.

ODRZUTOWCE I POLIAMORIA

Są to Caroline Ellison, szefowa Alameda Research, czy Nishad Singh, dyrektor techniczny FTX, oraz siedmiu innych osób. „Gang dzieciaków”, pozbawiony doświadczenia zawodowego, jak nazwał go „New York Times”, zarządzał spółką wartą w swoim szczytowym momencie ponad 32 mld dol.

Wszyscy oni, jak twierdzi CoinDesk, portal poświęcony kryptowalutom, utrzymywali ze sobą romantyczne relacje, a byli pracownicy giełdy mówią o „nepotyzmie i konfliktach interesów”. Niektórzy z nich zainwestowali oszczędności życia w spółce i zostali z niczym.

Póki kryptowalutowa hossa trwała, bawili się jednak podobnie jak ich szefowie. Ellison pisała bloga na portalu Tumblr o swoim zamilowaniu do poliamorii, masochizmu i marzyła o byciu częścią chińskiego haremu, gdzie „miałaby walczyć o swoje miejsce w hierarchii”. „Jestem mniej hedonistką, a bardziej masochistką. Czerpię dużo przyjemności z robienia rzeczy, które są trudne, nieprzyjemne, obciążające fizycznie lub bolesne emocjonalnie” – pisała. W mężczyznach natomiast pociągała ją siła fizyczna oraz „zdolność do kontrolowania większości światowych rządów”. O kryptowalutach wyrażała się równie szczerze. Jej zdaniem to „w większości oszustwa i memy”. W 2021 r. wywołała skandal, gdy napisała na Twitterze, że życie bez amfetamin jest „głupie”. Również Bankman-Fried przyznał w 2020 r., że zażywa Adderall, popularny lek na ADHD z grupy amfetamin.

Szefowie FTX wydawali pieniądze garściami. Zatrudnieni w spółce pracownicy (było ich ok. 300) mogli liczyć na darmowe posiłki oraz masaż (co dwa tygodnie) obok samochodów służbowych i benzyny – jak informuje „New York Post”, a także opłacane przez pracodawcę wizyty w barber shopie. Jeśli chcieli coś zamówić w Amazonie, który nie dostarcza towarów na Bahamy, Bankman-Fried charterował odrzutowce, by przywozić paczki na wyspę. „Cała operacja była idiotycznie nieefektywna, ale jednocześnie wysoce fascynująca. Nigdy w życiu nie widziałem takiego bogactwa i rozrzutności” – powiedział jeden z byłych pracowników gazecie.

Była także mowa o orgiach, bowiem SBF i jego współlokatorzy mieli żyć ze sobą okresowo w tzw. polikule – poliamorycznej wspólnoty. „Penthouse SBF, tzw. apartament V, jest prawdopodobnie najdroższym mieszkaniem na całych Bahamach. Mieszka on tam z rodziną i przyjaciółmi. To mały zespół poświęcony naprawianiu świata – za pomocą magii liczb i przytłaczającej siły dobrej woli. Wszystkich ich łączy misja” – pisał niedługo Adam Fisher, zachwycony autor z San Francisco.

PIESZCZOSZEK LIBERALNYCH ELIT

Podał on też mimowolnie jeden z powodów, dlaczego Bankman-Fried i jego grupa znajomych, mimo iż kierowali piramidą finansową, mogli naginać prawo bezkarnie. Byli bowiem pieszczochemi liberalnych, politycznych elit. Rodzice założyciela FTX, Joseph Bankman i Barbara Fried, są profesorami prawa na uniwersytecie Stanforda. To oni mieli „ukształtować jego zasady etyczne”. Są znani z lewicowych poglądów i powiązań z Partią Demokratyczną. Matka jest ekspertem podatkowym, w swojej pracy akademickiej koncentruje się na filozofii moralnej i „kwestiach sprawiedliwości społecznej”. Zbierała w przeszłości fundusze dla demokratów. Ojciec Bankmana-Frieda pomagał senatorowi demokratów Elizabeth Warren z Massachusetts w kształtowaniu przepisów podatkowych. Jest także psychologiem klinicznym. To z ich inspiracji Bankman-Fried zaangażował

się w organizację charytatywną, która promuje ideę „efektywnego altruizmu”, czyli wykorzystywania rozumowania naukowego, aby dowiedzieć się, jak zrobić najwięcej dobrego dla największej liczby ludzi. Jest to ideologia wyznawana przez znanych miliarderów, takich jak George Soros czy Bill Gates, którzy obiecali przekazać większą część swojego majątku potrzebującym. Jeszcze w kwietniu Bankman-Fried chwalił się, że rok wcześniej przekazał ponad 50 mln dol. na pomoc w walce z pandemią w Indiach i inicjatywy przeciwdziałające globalnemu ociepleniu. W tym roku miał przekazać kilkaset milionów, ale nie zdążył.

Jego rodzice zresztą okazali się mniej odporni na uroki pieniędzy, niż sugerowałyby ich „zasady etyczne”. Nie odmówili sobie zakupu z kryptowalutowych zysków syna 19 nieruchomości na Bahamach w doskonałej lokalizacji.

Powstaje pytanie: czy całe to gadanie o sprawiedliwości społecznej było tylko zasłoną dymną? „Ach, te głupoty, który wygadawałem” – zwierzył się Bankman-Fried jednemu z reporterów. Głupoty czy nie, jak widać okazały się skuteczne. Podobnie jak zręczny PR króla kryptowalut oraz jego polityczne koneksje. Wrażliwy społecznie pyzaty młodzieniec zręcznie kulturował wizerunek „roztrzępanego” nerda, który chodzi w szortach i z rozwianym włosiem, bo z powodu rozmyślenia nad losem mniej zamożnych i liczeniu tokenów nie ma czasu zajmować się swoją aparycją. Na zewnątrz nie wykazywał żadnych oznak bogactwa, sprawnie odgrywając rolę niezdarnego Robina Hooda finansjery.

„Bankman-Fried stał się akceptowalną twarzą sektora, postrzeganego z głęboką podejrzliwością przez organy regulacyjne jako schronienie dla przestępców, osób zajmujących się praniem brudnych pieniędzy i łamiących sankcje” – skwitował „The Guardian”. Nikt nie interesował się jego biznesem, także regulatorzy. W końcu stanął po właściwej stronie w amerykańskiej wojnie kulturowej.

BRANŻOWA ZEMSTA?

Był ulubieńcem Partii Demokratów, którą hojnie finansował. Podczas ostatniej kampanii wyborczej do Kongresu przekazał temu ugrupowaniu kwotę 40 mln dol., stając się jego największym darczyńcą po Sorosie. Na kolejne wybory prezydenckie w 2024 r. obiecał przeznaczyć co najmniej 100 mln dol., by wesprzeć fundusz Joe Bidena. Po wybuchu skandalu wokół FTX kandydat demokratów na gubernatora

„Bankman-Fried stał się akceptowalną twarzą sektora, postrzeganego z głęboką podejrzliwością przez organy regulacyjne jako schronienie dla przestępców, osób zajmujących się praniem brudnych pieniędzy i łamiących sankcje” – skwitował „The Guardian”. Nikt nie interesował się jego biznesem, także regulatorzy. W końcu stanął po właściwej stronie w amerykańskiej wojnie kulturowej

Teksasu Beto O'Rourke zdecydował się oddać darowiznę w wysokości 1 mln dol., którą otrzymał od Bankmana-Frieda. Była to darowizna, o którą, jak twierdzi, nie zabiegał. Teraz zainteresowała się nią Teksaska Komisja Etyki.

Założyciel FTX starał się zdobyć względy innych liberalnych i lewicowych polityków oraz otaczać się celebrytami. W kwietniu na Bahamach zorganizował konferencję, na którą zaprosił byłego prezydenta USA Billa

Clintona i byłego premiera Wielkiej Brytanii Tony'ego Blaira, którzy chętnie pozowali z nim do zdjęć. Umieszczał filmy na Twitterze z gwiazdą amerykańskiego futbolu, rozgrywającym Tomem Bradym, jadł kolację z aktorem Orlando Bloomem i piosenkarką Katy Perry.

Angażował się także na rzecz regulacji sektora kryptowalut w celu rozwinięcia własnego biznesu i uczynienia branży akceptowalnej dla amerykańskich organów nadzoru bankowego. To ostatnie okazało się zresztą początkiem jego końca. W celu uwiarygodnienia siebie postanowił bowiem skierować uwagę regulatorów na Binance, spółkę jego konkurenta Zhao, która już od dawna uchodzi za pralnię brudnych pieniędzy (w Wielkiej Brytanii jej działalność została zakazana) i instrument omijania sankcji, m.in. tych nałożonych przez USA na Iran. Zhao posiadał jednak sporą ilość tokenu FTT emitowanego przez FTX. Gdy postanowił wymienić te tokeny na tradycyjną walutę, okazało się, że spółka Bankmana-Frieda nie posiada wymaganych 580 mln dol., by go spłacić. Gdy Zhao poinformował o tym na Twitterze, klienci zaczęli wycofywać swoje inwestycje. „Nie będziemy udawać, że kochamy się po rozwodzie” – napisał Zhao na Twitterze. „Nie będziemy wspierać ludzi, którzy lobbują przeciwko innym graczom z branży” – dodał. Jeden król kryptowalut pograżył drugiego.

Bankman-Fried siedzi obecnie zamknięty w swoim penthousie na Bahamach i gra – jak wyznał reporterom „New York Timesa” – w gry komputerowe, rozmyślając nad „popełnionymi błędami”. „Ludzie mogą mówić o mnie w internecie wszystkie złe rzeczy, jakie chcą” – dodał. „Ostatecznie liczy się dla mnie to, co zrobiłem i co mogę jeszcze zrobić”.

Upadek FTX odbił się na całej branży kryptowalut. Zhao podkreślił w nocy wysłanej pracownikom Binance, że upadek giełdy kryptowalut „poważnie wstrząsnął” zaufaniem do branży i ostatecznie spowoduje większą kontrolę regulacyjną.

12 grudnia

w tygodniku **SIECI**

dodatek *Idą święta*

- ✦ Prezentowy niezbędnik
- ✦ Choinka pisarzy, poetów, papieży
- ✦ Relacje Kościoła i młodych ludzi
- ✦ Miłość i upokorzenie – opowieść o życiu wnuczki króla Jana III Sobieskiego



Partner dodatku



Wojna i dziedzictwo

„Nieprzyjaciele nasi, gdy mówią: pokój, pokój, pokój, tam się najbardziej upadku bójmy. Na zabicie było dobrze karmią, ale dobrą strawę śmiercią przypłacają. [...] Nie dajmyż sobie tym czartom ust zamykać: póki woda do gęby nie dojdzie, nadzieja jest wypłynienia: ale gdy usta napełni, musimy na dno. Póki kto wołać na złodzieja może, łącznie pomocy dowoła. Najszkodliwiej, gdy za gardło uchwyciwszy dlarwi, jako chytry wilk owcom czyni, aby z wołania ratunek nie przychodził”.

ks. Piotr Skarga, Kazania na niedziele i święta, Kraków 1595



Wybitny polski historyk **prof. Andrzej Nowak** napisał nową, fascynującą książkę. „Wojna i dziedzictwo. Historia najnowsza” ukazała się w tych dniach nakładem wydawnictwa „Biały Kruk”. Publikujemy jej fragment

Wojna i dziedzictwo: najnowsza historia. Co to znaczy? O co tu chodzi? Wojnę, niestety, zaczynamy sobie wyobrażać na nowo nie jako metaforę, ale bardzo konkretnie. Toczy się tuż obok – w starym, można powiedzieć, stylu: z nalotami, czołgami, tysiącami zabitych, spaloną ziemią, strachem i cierpieniem milionów. Imperium najjeżdża na sąsiedni kraj. Choćbyśmy udawali, że tak nie jest – nas ta wojna także dotyczy. I nie powinniśmy zapominać, że możemy być następni...

A dziedzictwo? To coś bliskiego pojęcia ojczyzny. Łukasz Górnicki w XVI wieku tak właśnie ją definiował w swoim „Dworzaninie”: „to, co gruntu komu ociec jego zostawił”. Oczywiście dziedzictwo to nie tylko ziemia ani spadek w ma-

terialnej formie, choć tych aspektów lekceważyć naturalnie nie wolno. Dziedzictwo (podobnie jak ojczyzna) to również niematerialne, ale jakże ważne elementy tego, co otrzymujemy po przodkach i kontynuujemy, albo też – możemy zmarnować, wyrzec się tego. To na przykład język, całe bogactwo jego wyrazu, literatury, która powiększała to bogactwo przez wieki, aż – w naszym przypadku – do „Pana Tadeusza” czy do „Łąki” Leśmiana. To również dziedzictwo cywilizacyjne. Można się o jego granice czy najistotniejsze zasady spierać, ale trudno powiedzieć, że go nie ma: że nie ma znaczenia to, co pokolenia dostały w spadku po tradycji grecko-rzymskiej i po tradycji Biblii, a zwłaszcza chrześcijaństwa. Każda wspólnota historyczna dokłada coś od siebie i tworzy partykularne dziedzictwo duchowe, złączone z cywilizacyjnym i ogólnoludzkim. Żołnierze rosyjskiego imperium niszczą teraz dziedzictwo kulturalne Ukrainy – to jest także bardzo ważna część wojny, którą prowadzą.

* * *

Wojna z dziedzictwem toczy się jednak nie tylko za naszą wschodnią granicą. Jej areną jest również nasz dom, Polska, Europa, cała cywilizacja, która już cywilizacją być nie chce. W XVIII wieku rozgorzała u nas ta wojna pod hasłem cywilizowania peryferyjnych niedouków z Ciemnogrodu. Tak było



Fot. Andrzej Wiktor

w czasie Oświecenia, kiedy Wolter – francuski mistrz intelektualistów – usprawiedliwiał, a nawet sławił „cywilizatorskie” wysiłki Katarzyny II i Fryderyka II, wspólnie niosących na bagnietach swoich żołnierzy postęp do „ciemnej” Polski.

Od razu też wtedy – trzeba to przypomnieć, kiedy mówimy o naszym dziedzictwie – myśl polska udzieliła jakże mądrej odpowiedzi na tę ideologię. Ksiądz Wincenty Skrzetuski, w swym niezwykle wówczas popularnym dziele, wydanym w roku 1773 w Warszawie, „Mowy o główniejszych materyach politycznych” akceptował oświeceniowe zasady pomocy wzajemnej w podnoszeniu poziomu nauk i ogólnej cywilizacji. Odrzucił wszakże występujący łącznie z ową zasadą (nie tylko w XVIII, ale również w XIX, a nawet jeszcze w XXI wieku...) nowy sposób usprawiedliwienia imperialnej ekspansji i podporządkowania jednych państw (jako „dzikich”) przez inne („cywilizowane”). Pisał: „żaden Naród nie ma prawa przymuszać drugich do przyjęcia tego, co ku ich doskonaleniu chce czynić. Byłoby to albowiem gwałt czynić przyrodzonej wolności. Aby przyniewalać kogo do przyjęcia łaski, potrzeba mieć nad nim Zwierzchność; Narody zaś są zupełnie wolne y niepodlegające nikomu. Nauka przeciwna otworzyłaby bramę wszystkim zaślepienia szalonego wściekłościom, y niewyliczonemu nienasyconemu chciwości pozorom. [...] Jest więc dla Narodów powinność, aby się przykładały do doskonałości innych, ale mocy przyniewalania nie mają y mieć nie mogą. Podbijanie dzikich Narodów dla onych polerowania, jest pozor równie niesprawiedliwy iak śmieszny”. Każdy naród ma zatem prawo do niepodległości.

W drugiej połowie XVIII wieku profesorowie szkół Komisji Edukacji Narodowej bronili tego samego prawa przeciw uroszczeniom oświeceniowej racjonalizacji imperialnego panowania i nadzoru. Była ona stosowana, jak wiemy, nie tylko przy podbojach (rosyjskich, francuskich, holenderskich czy brytyjskich) w Azji, Afryce czy w Ameryce. Była także obecna w próbach uzasadniania przez Katarzynę II i Fryderyka II i ich zachodnich służalców ograniczenia suwerenności Rzeczpospolitej – jako „ciemnej dziury” na mapie europejskiego postępu, która ze względu na swój „katolicki fanatyzm” i „przyrodzoną anarchię” musi być poskromiona, a nawet okrojona przez światłych sąsiadów. „Anarchia” (czyli wolność, a także uporczywe trzymanie się zasady niepodległości od potężniejszych i „lepiej wiedzących” sąsiadów) oraz „katolicki fanatyzm” (czyli wierność tradycji duchowej Polski i Europy) – to do dziś najważniejsze elementy naszego dziedzictwa, które są wytykane i piętnowane w wojnie kulturowej, niszczącej polską wspólnotę i europejską różnorodność.

Owa wojna trwała przez cały wiek XIX, kiedy imperialnym sąsiadom udało się Polskę usunąć z mapy, ale zmagali się nadal z jej duchowym dziedzictwem, z polską siłą kulturową, której nie mogli złamać. Nazwę tym zmaganiom zaborców nadał kanclerz Otto von Bismarck w swej kampanii przeciwko polskości i katolicyzmowi jako głównym wrogom odnowionej przez niego Rzeszy: to Kulturkampf. Taka „walka o kulturę” nie była prowadzona tylko pod pruskim zaborem, ale także w rosyjskim, a właściwie wszędzie tam, gdzie udało się stworzyć wrażenie, że istnieje nieprzezwyciężona alternatywa: albo polskość (dziedzictwo), albo modernizacja (postęp, czyli

wyzwolenie od łańcuchów „starej tradycji”). Opisał to zjawisko doskonale jeden z tych pisarzy, którzy starali się właśnie tę rzekomą alternatywę przezwyciężyć: Bolesław Prus. Autor „Lalki” precyzyjnie analizuje, co się działo, kiedy Polska na mapie nie było, a zaborcy i „modernizatorzy” prowadzili razem swój Kulturkampf: „Obok walki z religią katolicką biurokracja toczyła jeszcze zacieklejszy bój z narodowością i patriotyzmem polskim. Nasi szanowni cywilizatorowie zbyt mało posiadali wykształcenia, ażeby zrozumieć, iż jakkolwiek patriotyzm jest lepszy od politycznego nihilizmu. [...] Patriotyzm jest specjalną formą uczuć społecznych, które ludzi spajają ze sobą, każą im zapomnieć o własnym egoizmie, czasem popychają do poświęceń, a w każdym wypadku nieco hamują dzikość i okrucieństwo człowieka, nieco wynoszą go ponad ciasny zakres jego osobistych interesów. [...] Takie to uczucie tępiło u nas za pomocą drwin z historii albo jej fałszowania i za pomocą wreszcie machiny cenzuralnej” (B. Prus, „Kronika Tygodniowa”, 3 marca 1906).

W tej książce nie wracam jednak do historii XVIII czy XIX wieku. Nie piszę również o dziejach komunistycznej przemocy, która pod wspólnym hasłem „modernizacji”, przezwyciężania „zacofanego” dziedzictwa i „emancypacji” połączyła w XX stuleciu potęgę CzK, NKWD, KGB, UB i SB (kto nie zna tych skrótów, niech sprawdzi w Wikipedii...) z pracą wspierających ją intelektualistów. Tu chcę jedynie przypomnieć, że bój, w którym uczestniczymy świadomie, albo jesteśmy tylko jego nieświadomymi ofiarami, toczy się od dawna.

* * *

Do dwóch tytułowych pojęć: „wojna” i „dziedzictwo” dodaje w tym tomie ograniczenie chronologiczne: „historia najnowsza”. To nie jest oczywiście precyzyjne ograniczenie, bo dla każdego historia najnowsza może zaczynać się w innym punkcie – to zależy od czasu i miejsca urodzenia. Dla kogoś urodzonego w roku 2000 w Paryżu historia najnowsza może się zaczynać od serii gwałtownych protestów ulicznych („żółtych kamizelek”) albo od spalenia katedry Notre Dame w kwietniu 2019 r. Dla młodych Ukraińców, choć na pewno nie tylko dla nich – historia najnowsza zaczyna się od ostrej cezury zbrojnej napaści rosyjskiej 24 lutego 2022 r.

Dla mojego pokolenia, rocznik 1960, dwudziestolatków w czasie „wybuchu” Solidarności, historię najnowszą oznacza czas wyjścia z imperialno-partyjnego systemu ZSRR-PRL-PZPR. Nie tyle częściowo wolne wybory po okrągłym stole w Polsce, 4 czerwca 1989 r., ale formalne rozwiązanie ZSRR w grudniu 1991 r. jest tu cezura najważniejszą. Zbiega się ona ze sformowaniem w Polsce rządu Jana Olszewskiego po pierwszych od czasu II Rzeczypospolitej w pełni wolnych wyborach parlamentarnych. W mojej osobistej historii łączy

się ten moment z objęciem zaszczytnej funkcji redaktora naczelnego dwumiesięcznika „Arka” (ukazującego się w podziemiu od roku 1983 pod redakcją Jana Polkowskiego, a już „naziemnie” od 1989 r. pod redakcją Ryszarda Legutki).

To był gorący czas debaty nad tempem i zakresem wychodzenia z sowieckiej strefy dominacji, ale również okres „wojny na górze” i sporu o dekomunizację i lustrację. Przepłatały się one z nie mniej gorącym sporem o znaczenie (lub bezsens) polskiego dziedzictwa politycznego i kulturowego w zachodnim świecie, do którego jak najśluszniej chcieliśmy znowu dołączyć. Znowu stawały naprzeciw siebie dziedzictwo (nazywane wtedy przez część polityków i intelektualistów po prostu „polskim piekłem” albo – łagodniej – „nienormalnością”) i modernizacja, znajdująca swój wzór i normę w jednoczącej się Europie.

Czy imperium – od 1991 r. znowu oficjalnie nazywające się Rosją – już się naprawdę skończyło? Czy puści tak łatwo nas i swoje wewnętrzne peryferie (republiki ZSRR)? To pierwsze pytanie (geo)polityczne, które się nasuwało wtedy. Mnie przynajmniej, bo akurat sprawy rosyjskiego imperializmu badałem już wtedy od pewnego czasu zawodowo jako historyk. Czy Polska ma tutaj, w swoim położeniu, jakąś szansę samodzielnej roli do odegrania, ja-

kąś misję może nawet? Czy po wyjściu z cienia imperium stać nas na niepodległość? Czy też powinniśmy raczej zrzucić co prędzej z naszych barków to niebezpieczne brzemię niepodległości i znaleźć wreszcie ukojenie w nowym wspaniałym świecie po końcu Historii, pod opieką starszych i mądrzejszych od nas patronów tego świata?

Sięgam do numeru 39–40 „Arki” z wiosny 1992 r., by przypomnieć pytania, jakie wtedy stawialiśmy i zarazem uświadomić sobie, jak blisko są one naszych współczesnych dyskusji i problemów z końca roku 2022. Pytaliśmy wtedy Zbigniewa Brzezińskiego o jego ocenę sytuacji za naszą wschodnią granicą. Odpowiedź (z 29 kwietnia 1992 r.) uderzała w sedno: „Niepodległa Ukraina oznacza faktycznie koniec imperialnego statusu Rosji. Ten status Rosja posiadała od rozejmu w Andruszowie (1667) – zmiana, jakiej jesteśmy świadkami, ma istotnie wielki wymiar historyczny i geopolityczne znaczenie”. Były doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego dodawał do swej trafnej diagnozy nowe „realistyczne” rady: nie powinniśmy opowiadać się ani po stronie Ukrainy, ani Rosji, ani też liczyć na swoje siły czy poparcie Ameryki. W Europie trzeba praktycznie podporządkować się Niemcom.

Na przeciwnym biegunie opinii znajdowała się śmiała wizja, jaką w tym samym numerze „Arki” rysował Jacek Bartyzel, odpowiadając również na pytanie o szansę, jakie ewentualnie przed polską polityką wschodnią otwiera rozpad ZSRR. Nawiązywał wprost do wielkiego dziedzictwa jagiellońskiego. Konserwatywny filozof pisał w 1992 r. tak:

„Cesarstwo Bałto-Ugro-Słowiańskie ze stolicą w mieście leżącym na skrzyżowaniu historii – we Lwowie, to pomysł na pewno nie gorszy od zgłazszachtowanej i kosmopolitycznej Europy biurokratów z Brukseli i Strasburga, a z pewnością o wiele lepszy sposób takiego »rozmycia linii granicznych«, które nie zatraci niczego, co zatraconym być nie powinno. [...] Pamiętajmy: nie my, to inni”. Dodawał jednak trzeźwo Jacek Bartyzel, że „musimy wpięć mieć kanonierki”, czyli zbudować realną siłę militarną, która pozwoli bronić takiej śmiałej konstrukcji przed jej wrogami...

W tym samym numerze inny mistrz konserwatyzmu, profesor London School of Economics, Kenneth Minogue, przestrzegał przed „widmem federalnej Europy”. Nie było jeszcze wówczas Unii Europejskiej, komisarzy Timmermansa, Jourovej, ani von der Leyen, ale uważne spojrzenie filozofa polityki dopatrywało się już tendencji, które dziś dostrzegamy łatwiej, choć równie bezradnie. Pozwólcie Państwo, że zacytuję obszerniejszy fragment tekstu Minogue’a z „Arki” sprzed trzydziestu lat, byśmy przekonali się raz jeszcze, jak ta historia jest rzeczywiście aktualna: „Próby stworzenia zjednoczonej Europy wiążą się z dobrze znanym paradoksem. Najważniejszym zadaniem jest przecież zniesienie przeszkód w handlu, cel, całego szeregu zarządzeń, praktyk ograniczających konkurencję, rutynowo działających karteli, być może, w pewnych wypadkach także różnic w oznaczeniach, miarach, opisach etc. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że jest to praca jednorazowa. Każda instytucja, która otrzyma tego typu zadania, powinna zostać rozwiązana wraz z ich wykonaniem. Ale wiadomo, że biurokracja nie zwykły same siebie rozwiązywać. [...] Kto rozbroi rozbijającego? Podstawowy problem polega na tym, czy pozwoli się ludziom dbać o swe własne sprawy, usuwając liczne przeszkody, które niszczyły europejską współpracę, czy też owa współpraca będzie za nich w przyszłości organizowana. [...] Peter Mandelson [brytyjski polityk, w młodości członek Ligi Młodych Komunistów, a w późniejszych latach minister w rządach labourzystów oraz komisarz Unii Europejskiej ds. handlu – AN] powiedział: »Europa... to sposób na wprowadzenie socjalizmu tylnymi drzwiami«. [...] Nie jest łatwa dyskusja z ludźmi, którzy oddali się jednej idei, tym bardziej, jeśli jest to idea wielka. Tonu historycznego debacie nadaje »teoria rowerowa«: jeśli integracja nie będzie posuwać się naprzód – wszystko upadnie”.

W tym samym numerze „Arki” Jeane Kirkpatrick, nominowana przez Ronalda Reagana ambasador USA przy ONZ, reagując na moje pytania o sytuację kulturową w jej ojczyźnie, o stosunek amerykańskich elit intelektualnych do własnego dziedzictwa, wypowiedziała słowa również kuszące, by je przywołać dziś, w tomie opowiadającym naszą najnowszą historię: „W świecie kontrkultury rozgrywa się ciągle czarno-

-biały spektakl, moralitet, na którego przebieg ekonomiczne i polityczne fiasko kapitalizmu nie ma wielkiego wpływu, liczy się tylko wieczny bunt przeciw kapitalizmowi, przeciw Ameryce przeciętnych Amerykanów”. Wtórował swej koleżance inny ambasador nominowany przez Reagana (do Komisji Praw Człowieka przy ONZ), a przede wszystkim wielki obrońca wolności, Michael Novak. Przestrzegał: „Źródła lewicowej postawy nie wyczerpały się – mimo erozji samego socjalizmu – tworzy je bowiem wspólnie orientacja utopijna oraz klasowa arogancja intelektualistów. Zawsze będą oni pragnąć i bronić systemu, w którym będą mogli zarządzać i kontrolować go w pełni, powołując się na swoje »lepsze kwalifikacje«. Zawsze będą uznawać (niezależnie od tego, jak wiele nagromadzi się dowodów fałszywości tego ich przekonania), że lepiej potrafią kierować sprawami publicznymi i organizować je niż tzw. zwykli ludzie. Ich stała, głęboka nieufność wobec zwykłych ludzi, wobec ich zdrowego rozsądku, wobec ich jednostkowych decyzji, oznacza ostatecznie fundamentalną nieufność wobec wolności”.

Novak, Kirkpatrick, a także inni uczestnicy ankiety „Arki” z lutego 1992 r. zgodnie stwierdzali, że koniec tzw. zimnej wojny, upadek ZSRR, nie oznacza bynajmniej zamknięcia zmagania o kulturę, o wolność, o dziedzictwo. Żadnego liberalnego happy endu, żadnego końca Historii nie ma i nie będzie – w dającej się przewidzieć przyszłości. Czeka nas nadal twarda walka. Niezależnie od tego, czy ktoś podziela poglądy przedsta-

wione przez tych autorów, trudno uniknąć wniosku, że ta walka rzeczywiście trwa nadal, a nawet się nasila.

* * *

W Polsce po 1989 r. jej temperaturę podnosił jeszcze jeden element sporu o dziedzictwo – zatrute, postkomunistyczne. W 39–40 numerze „Arki”, który tu wybrałem jako swoisty przewodnik po tematach, które wciąż animują nasze spory, pojawiło się na ostatniej stronie „Oświadczenie” redakcji. Datowane 8 czerwca 1992 r., było odpowiedzią na przeprowadzoną trzy dni wcześniej na nocnej sesji Sejmu operację obalenia rządu Jana Olszewskiego po próbie wykonania ustawy lustracyjnej. Nasze stanowisko wyglądało tak: „[...] Dziś prowadzona jest gigantyczna akcja propagandowa zniesławiania inicjatorów i wykonawców ustawy sejmowej o ujawnieniu byłych współpracowników UB i SB. Możemy przeciwstawić jej tylko nasze pełne poparcie dla idei odsłonięcia prawdy, którą – wbrew demagogii jej przeciwników – da się ustalić. Domagamy się konsekwentnego wykonania uchwały lustracyjnej oraz podania do wiadomości publicznej wszelkich i wszelkich okoliczności związanych z tą sprawą. Elementarne zasady bezpieczeństwa państwa i reguły życia publicznego wymagają, aby agenci odeszli z zajmowanych stanowisk. Żądamy również objęcia procesem lustracji byłych agentów

Jakim złudzeniem była i jest wizja końca Historii, odesłania do lamusa kwestii niepodległości, bezpieczeństwa granic, potrzeby ich obrony

Informacji Wojskowej (organizacji nie mniej zbrodniczej niż UB i SB). Ponadto oczekujemy podania do publicznej wiadomości nazwisk agentów ze środowisk ponoszących szczególną odpowiedzialność za kształtowanie świadomości społeczeństwa: dziennikarzy i nauczycieli – zwłaszcza akademickich. Dla każdego obywatela domagamy się prawa wglądu do jego osobistejteczki w archiwach komunistycznej bezpieki. Zgodnie z podstawowym nakazem państwa prawa, uważamy wreszcie, że sprawcy niszczenia dokumentacji działalności UB, SB i PZPR nie mogą pozostać bezkarni”.

Dlaczego przypominam tutaj tekst tego „Oświadczenia”? Otóż wydaje mi się, że odegrało ono pewną rolę w historii najnowszej wojny o dziedzictwo. Ujawniło mianowicie, że ona się toczy, że się nie skończyła bezapelacyjnym zwycięstwem tych, którzy ogłosili koniec Historii i swoje ostateczne panowanie nad umysłami w „tym kraju”. Do naszego apelu dołączyło się bowiem błyskawicznie kilkuset wybitnych przedstawicieli środowisk akademickich i kulturalnych. Wśród nich Zbigniew Herbert, Jarosław Marek Rymkiewicz, Marek Nowakowski, Przemysław Gintrowski, Leszek Elektorowicz, Stefania Woytowicz, Jakub Karpiński, Jerzy Łoś, Maria Rzepińska, Jerzy Michalski... Okazało się nagle, jak to ujął jeden z publicystów wszechwładnie panującej wtedy nad umysłami gazety, że „polska czaszka została rozłupana”. Jednak nie wszyscy myślą tak samo. Jednak podział w Polsce i w Europie nie wygląda tak, że po jednej stronie są szlachetni i mądrzy zwolennicy modernizacji i emancypacji od „złej przeszłości”, a po drugiej tylko ludzie „starsi, niewykształceni, mieszkający na wsi”, jak to podkreślano wówczas (i dziś właściwie) z charakterystyczną pogardą.

* * *

W tej książce przedstawiam aktualny raport z podwójnego pola walki: o bezpieczeństwo i niepodległość naszej części Europy, zagrożone już wprost, otwarcie, agresją rosyjskiego imperializmu, ale również walki o Polskę, Europę, Zachód, o człowieczeństwo – o to, co znaczą i co będą znaczyły te pojęcia? Czy wypełni je utopia „Nowego Wspaniałego Świata”, w którym całe nasze dotychczasowe nie tylko polskie, ale ludzkie po prostu dziedzictwo zostanie zamknięte w rezerwacie dla „dzikusów”? Czy też bunt owych „dzikusów”, czyli nasz bunt, nie da się zatrzymać w granicach rezerwatu wyznaczonego dla spraw przebrzmiałych i przeklętych, dla „byłych ludzi”?

Ponieważ publikowałem już wcześniej takie zbiorcze „raporty”, zebrane w czterech tomach, obejmujących okres do 2014 r. („Powrót do Polski. Szkice o patriotyzmie po »końcu historii« 1989–2005” – ARCANA 2005; „Od Polski do post-polityki. Intelktualna historia zapaści RP” – ARCANA 2010; „Strachy i Lachy. Przemiany polskiej pamięci” – Biały Kruk 2012; „Uległość czy niepodległość”, Biały Kruk 2014), tu skupiam się przede wszystkim na ostatnim ośmioleciu: 2015–2022. Przedstawiam ten czas, zapisany w felietonach pisanych głównie dla „Gościa Niedzielnego” i tygodnika „Do Rzeczy”, jakby w kalejdoskopie reakcji na aktualne wydarzenia polityczne i kulturalne impulsy. Celowo uwypuklam te drugie, przychodzące zarówno ze świata tzw. kultury wy-

sokiej – poezji, filozofii, teatru, malarstwa – jak też, częściej z tej dziś popularnej: rapu, seriali Netfliksa, nowych produkcji hollywoodzkich. W tej sferze decydują się sprawy naszej i naszych dzieci przyszłości – nie mniej niż w politycznych zmaganiach, wyborach i zmianach rządu, w Warszawie czy Berlinie.

Zdecydowałem się poprzedzić ten wybór przypomnieniem tekstów, opisujących nieco głębiej historycznie dwa wymiary interesującej nas tutaj rzeczywistości. Najpierw nadzieje i zawody związane z oczekiwaniami na odnowienie polskiej tożsamości politycznej między odwołaniem rządu Jana Olszewskiego w 1992 r. a podwójnym zwycięstwem wyborczym prezydenta Andrzeja Dudy i PiS w roku 2015. Dwa momenty krystalizacji owych nadziei, obaw i rozczarowań to rok 1997 – zwycięstwa Akcji Wyborczej „Solidarność”, a potem lata 2005–2007, czas „pierwszego” PiS – tworzą ważny, jak sądzę, układ porównania dla współczesnych naszych debat. Dlatego też wracam do nich tutaj.

Drugi blok tekstów stanowi ciąg analiz rosyjskiego imperializmu i przestróg przed jego agresywnymi zamiarami. Przywołuję je dlatego, by pokazać, że w czasie, kiedy powstawały, to jest w latach 2002 – (luty) 2010, można było już zobaczyć, jakim złudzeniem była i jest wizja końca Historii, odesłania do lamusa kwestii niepodległości, bezpieczeństwa granic, potrzeby ich obrony. Przypominam te uwagi sprzed lat także po to, by pokazać, jak niektórzy zaciskali oczy na rzeczywistość i wmawiali, że wszystko mają „pod serdeczną kontrolą”, że również z Władimirem Putinem można budować „Nowy Wspaniały Świat”, w którym jedynym wrogiem pozostanie już tylko „polski zaścianek”. Teraz można zastanowić się nad ceną tego złudzenia.

Wracam do tych kwestii raz jeszcze na końcu tomu, by na trzech przykładach wskazać na możliwe znaczenie pamięci o historycznych doświadczeniach, o dziedzictwie – dobrym i złym.

A po co to wszystko? Ośmielę się powtórzyć za Wacławem Potockim, największym między Kochanowskim i Mickiewiczem poetą polskiego dziedzictwa obywatelskiego:

*„Stary pies, gospodarzu, czuj o sobie! szczeka,
Dosypiasz li? Szkoda cię, bo zginienie czeka:
Podkopują złodzieje, zbójcy na przemiany
Do komór, domu twego rozbierają ściany.
Porwi się biały orle! Radź o sobie Lachu!
Cnotę wprzód, męstwo za nią postaw na sztyldwachu.
Domowi, co rzecz gorsza, żeby cicho kradli,
Złodzieje i postronni zbójcy cię opadli.
[...]
Już kat gotowy czeka; gdy czas minie krótki,
Każdy nagrodę swojej odniesie robótki”
(Czuj! stary pies szczeka)*

Na tym jednym przypomnieniu zależy mi najbardziej.

Kraków, wrzesień 2022

Andrzej Nowak

K

ULTURY

*O twórczej działalności,
która aż furczy;
aktorskich kostiumach,
inspirujących ojcach
i pięknie polskiej
poezji; o młodości,
która rozpiera 77-latkę
i najważniejszej życiowej
inwestycji rozmawiamy
z Jerzym Zelnikiem*

Wciąż od nowa
zaczynam

żyć



„Faraon”

Z aktorem i reżyserem **Jerzym Zelnikiem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jesienią 1962 r. powstała w Łodzi pracownia scenograficzna. Jej zadaniem było przygotowanie kostiumów i scenografii związanych ze starożytnym Egiptem. Trzy lata później pewien 20-latek dostał rolę życia?

Jerzy Zelnik: Kiedy Jerzy Kawalerowicz zaproponował mi zagranie Ramzesa XIII nie byłem jeszcze aktorem tylko amatorem, studentem pierwszego roku warszawskiej PWST. Zawodu, zdecydowanie, uczyłem się na planie „Faraona”. To były moje dodatkowe studia.

Miał pan dług wobec reżysera, który panu zaufał?

Wciąż mam dług wobec paru osób, które mnie ukierunkowały w życiu. Jurek Kawalerowicz (którego 100-lecie urodzin i 15-lecie śmierci obchodzimy w tym roku) był moim ojcem filmowym. Zygmunt Hübner – ojcem teatralnym, Jan Zelnik – reżyser radiowy, który mnie rozkochał w polszczyźnie, to mój ojciec prywatnie (zaczynał w filmie z Hasem i Munkiem, ale stalinowski czas wygonił go do radia). Natomiast osobą, która niedawno zmarła, w wieku prawie stu lat, a dała mi bardzo wiele, gdy miałem lat 30, był Peter Brook – „Peter”, bo kazał do siebie mówić per „ty”. Brook nauczył mnie improwizacji i resetu, czyli tego, że siedząc za kulisami niczego przed wyjściem na scenę nie planuję. Jestem jak niezapisana tablica. Wychodzę na scenę i po raz kolejny rozpoczynam życie w roli. Dzięki temu daną postać mogę grać setki razy i spektakl wciąż

żyje. Jakby od nowa się rodził. Tego nauczył mnie Peter Brook.

Nadal pan z jego nauk korzysta?

Ludzie dziwią się, że 80 proc. zawodowego życia spędziłem na estradzie, że przez 50 lat piszę scenariusze dla małych form teatralnych – muzyka, poezja. Do dziś to robię. Z tym że nie wychodzę w krawaciku, by mówić wierszyki, tylko z poezji układam życiorysy wspaniałych – a moich ukochanych – poetów: Mickiewicza, Norwida (który towarzyszy mi od 1983 r., od setnej rocznicy śmierci), Herberta. W „Arii pożegnalnej” sięgnąłem po muzykę Przemka Gintrowskiego. Użyłem jej do paru wierszy. Tu taka ciekawostka: gdy spytali kiedyś Herberta: „Mistrzu, czym się pan teraz zajmuje?” odpowiedział: „Jestem tekściarzem Gintrowskiego”, bo jak wiadomo Gintrowski używał tekstów Herberta do swoich pieśni. Wspaniałych pieśni.

Jeździłem też z programem „Uwiedziony” Jeremiego Przybory... (to przepiękny wysiłek wykonawczy – człowiek sam na sam z widownią). Od dawna chwałę się również, że dostałem od Rity Gombrowicz – jako jeden z pierwszych, a może pierwszy w Polsce – zezwolenie na zagranie „Chłystka podwójnie przyłapanego” według „Ferdydurke”. Mimo klauzuli Gombrowicz, że nie można grać w Polsce jego tekstów, dopóki nie wydane zostaną wszystkie jego dzieła, ja tę zgodę dostałem. Pani Gombrowicz odpisała mi na czterech stronach. „Chłystka podwójnie przyłapanego” zagrałem pew-

nie z tysiąc razy w szkołach, na estradach przeróżnych przestrzeni.

Czy teraz też można pana spotkać w trasie?

Teraz podróżuję z Norwidem (i poezją innych naszych romantycznych wieszczów) do muzyki Chopina, którą gra na żywo Maria Silva. Z Wojtkiem Konikiewiczem, sięgając po jazz, zrobiliśmy Tyrmanda „Dziennik 1954”. Tak więc twórczość aż furczy.

Wrócił pan do telewizji?

Wróciłem do zawodu aktora. Po dłuższej przerwie, gdy zdecydowałem się przestać grać, bo miałem wrażenie, że już wszystko zagrałem. Rzeczywiście dużo tych ról było. Natomiast od paru lat znów „aktorze”. Młodość mnie rozpiera, 80-tka dopiero za trzy lata. Stawiałem sobie kiedyś taką granicę swojej aktywności zawodowej – „do 80-tki”. To było dawno temu. Teraz przesuwam ją do 90-tki. Jeśli opatrność będzie czuwała nad moim zdrowiem.

Czego życzyłby pan TVP z okazji jej 70. urodzin?

Przede wszystkim, tej młodszej ode mnie o siedem lat „kolezance”, życzyłbym utrzymania, jak najlepszej formy. I dbania o to, co wynika z jej misji. W tym docierania z tzw. kulturą wyższą w miejsce, gdzie jej dostęp jest ograniczony. Jako Polak szczerzę się tym, że mamy Teatr Telewizji, jedyną tego typu scenę na świecie. Marzy mi się, żeby przy obecnych

możliwościach technicznych odtworzyć i oczyścić cyfrowo dawne spektakle.

Ma pan swoją listę tytułów, na których odrestaurowaną wersję pan czeka?

Skupię się na swoich dokonaniach. Robiliśmy „Tragedię amerykańską” Dreisera (reż. Zbigniew Kuźmowski, 1971). Był to mój duży debiut telewizyjny, tuż po studiach ukończonych w 1968 r. Grałem w parze z Ewą Wiśniewską, co jej wspominałem po latach, kiedy odbieraliśmy wspólnie nagrodę za tzw. całokształt. Ale jest jeszcze „Cyd” w telewizji krakowskiej, „Mindowe” w poznańskiej czy „Muzyka II” Marguerite Duras i sporo innych, które naprawione cyfrowo chętnie bym zobaczył.

Nie mogę narzekać – najważniejsze moje role w Teatrze Telewizji są dostępne dla widzów. To Razumow w telewizyjnej wersji (1987) spektaklu „Spiskowcy” (premiera na deskach Teatru Powszechnego, 1980) w reżyserii nieodżałowanego Zygmunta Hübnera. I jedna z ważniejszych ról całego mojego życia, czyli hrabia Henryk w „Nie-Boskiej komedii” Krasinśkiego, również w reżyserii Hübnera. Z Markiem Walczewskim, Anią Dymną, Jurkiem Trelą. To są spektakle podstawowe. Ale jest też np. „Rozmowa” (1988) z Adamem Ferencym (reż. Paweł Trzaska). Z Teatrem Telewizji właściwie się nie rozstawałem, najpierw jako wykonawca, a ostatnio reżyser.

W 2002 r. wyreżyserowałem „Makbeta” w Białymstoku. Później trochę reżyserowałem jako dyrektor Teatru Nowego w Łodzi (np. „Rozbity dzban” Kleista). Reżyseria, a zwłaszcza robienie adaptacji dla Teatru Telewizji, to moja pasja. Była „Cena” Waldemara Łysiaka i „Bliźni pamięci” Sebastiana Rysia. Ostatnio Teatr Telewizji uwodzi mnie również jako wykonawcę. Wspominałem już, że wróciłem do zawodu aktora.

A jak się pan odnalazł na planie seriali?

Bardzo dobrze. W „Koronie królów. Jagiellonach” [emisja od stycznia 2023 r. – przyp. red.] gram legata papieskiego, który na zjeździe w Konstancji ułatwia Polsce odzyskanie niesłusznie odebranych przez krzyżaków ziem. Doceniam kostium. Jedną z moich ukochanych ról jest Zygmunt August, któremu poświę-

cilem trzy lata życia. Najpierw w serialu „Królowa Bona” (1980), potem w filmie „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny” (1982; oba w reż. Janusza Majewskiego). W kostiumie bardzo dobrze się czuję. Klasyka jest dla mnie wygodnym, atrakcyjnym miejscem działania.

A współczesna „Leśniczówka”?

To była uroczą i bardzo miłą przygodą – grałem chirurga, specjalistę od przeszczepu nerek. To był też powrót do Ani Seniuk, z którą zaczynaliśmy (ona troszkę wcześniej) w Teatrze Starym w Krakowie, moim macierzystym.



„Epitafium dla królowej”

Urodziłem się w Krakowie, potem szmat życia spędziłem w Warszawie. Jestem rówieśnikiem Polski powojennej. Mam to szczęście, że żyję w jednym z najdłuższych okresów bez wojny w naszej historii. Choć niejedno zagrożenie tu przeżyliśmy. Teraz jako kraj przyfrontowy... Przerazające byłoby, gdyby po tym jak od kilkunastu lat przebyliśmy drogę od szarości i niedostatku do widocznego szybkiego rozwoju na różnych polach, mielibyśmy znów oglądać kraj w ruinie. Jako Polacy już wielu nieszczęść doświadczyliśmy. Wystarczy.

Z jakim nastawieniem patrzy pan w przyszłość?

Mimo wszystko jestem optymistą. Moją główną inwestycją są: Helenka, Klara i Franek, moje wnuki. Franio ma już 16 lat i wygląda na to, że będzie artystą, bo się wspaniale zapowiada. Od dziewięciu lat

uprawia tu i ówdzie aktorskie harce, ale też komponuje, pisze i reżyseruje, więc zobaczymy. Mam dobrą przestrzeń do towarzyszenia mu i obserwacji, bo mieszkamy w jednym domu. Uwielbiam dziecięcą wyobraźnię, świat dzieci. Szczerść sposobu bycia dziecka jest dla mnie ogromnie inspirująca.



„Leśniczówka”

Może w tym tkwi tajemnica pana vitalności – zachować w sobie dziecko?

Jedno z najważniejszych *credo* mojego życia dostale od Jana Kreczmara, który puścił mnie i Daniela Olbrychskiego – po raz pierwszy w historii szkoły, po pierwszym roku – do filmu. Dostaliśmy wtedy potężne role – Daniel w „Popiołach”, ja w „Faraonie”. Kreczmar zgodził się na mój udział w produkcji, ale zapowiedział, że skoro mam dwie dwójki – z głosu i z dykcji – muszę bardzo mocno pracować, żeby to poprawić. I te dwie dwójki mnie ustawiły w życiu, dały impuls do rozwoju: używania głosu, dykcji, piękna mowy polskiej itd. Ale druga rzecz, bardzo ważna, nawiązująca do tego, co pani powiedziała: – Kreczmar powiedział mi tak: „Jurek, pamiętaj: aktor musi do końca życia mieć w sobie coś z dziecka, umieć się zachwycać, dziwić się i nieustannie uczyć się”. Być dzieckiem nie w sensie infantylnym, ale w tym, że ma się oczy i uszy szeroko otwarte, że potrafi się całym sobą chłonać, nieraz groźny, ale też wspaniały świat.

Wrocław tonie! O „Wielkiej wodzie”

Byłem we Wrocławiu na promocji swojej książki. Skończyło się kolacją z ludźmi, z których część coś znaczy we wrocławskim życiu publicznym od lat. I dyskusją na temat serialu Netfliksa „Wielka woda”. Który opowiada o wielkiej powodzi, jaka załaziła tenże Wrocław w 1997 r. Znajomi uznali historię za oddaną względnie wiernie. Zarazem te zdania są wciąż dla nich ważne – po tylu latach.

Mój wrocławski przyjaciel Krzysztof Turkowski uważa, że dla tożsamości tamtej społeczności, tworzonej sztucznie w poniemieckim mieście od 1945 r., największe znaczenie miała Solidarność. Prawda, Wrocław bronił się przed jaruzelską normalizacją najmocniej. Kiedy tam pojechałem w 1983 r. za pielgrzymującym papieżem, miałem wrażenie wizyty w mieście okupowanym przez obce siły. Ale w finale „Wielkiej wody” pisze nam się, że powódź kilkanaście lat później też dołożyła do tej tożsamości cegiełkę.

Serial ma dwóch reżyserów: Jana Holoubka i Bartłomieja Ignaciuka. Ale to ten pierwszy jest koordynatorem projektu (scenariusz Kacper Bajon). Pamiętacie, jak wychwalałem dwie serie „Rojsta” autorstwa Holoubka. Że tchną autentyzmem, że buduje się go poprzez wiele sytuacji nieoczywistych, przez drobne nieraz obserwacje i dygresje, przez galerię charakterystycznych, a świetnie zagranych postaci drugoplanowych. Tu jest tak samo. Kataklizm nadciąga. Wiemy, jak się to skończy, a jednak obserwujemy akcję z narastającym napięciem.

Niektórzy komentatorzy z prawej strony mają wrażenie, że polskość została tu potraktowana z pewną złośliwością, przeciwstawiona niemieckiej solidności. Ja odniosłem wrażenie dużej empatii wobec zbiorowego bohatera, jakim są Polacy. Owszem, kiepsko sprawdza się państwo. Wojskowi posługują się nieaktualnymi mapami, a SLD-owski wiceminister Leszek Lichota) zatrzymuje konieczne działania antypowodziowe, bo chce się wyborczo popisywać na nieodwołanych regatach. Tak było, i tak wciąż bywa.

Zarazem twórcy serialu próbują zrozumieć. Mieszkańcy wsi broniący jej przed zalaniem koniecznym, aby ratować Wrocław, tylko pozornie prezentują się jak gromada warcholów. Oni po prostu nie wierzą w obietnicę rekompensat, bo historia wypisała im nieufność wobec każdej władzy na własnych skórkach. Dlatego technokratyzm reprezentowany przez oschłą panią hydrolog okazuje się w tym przypadku jałowy. Choć w innych momentach, w sporze z mało kompetentnymi ekspertami, to ona ma rację. Tu akurat lokalny watażka (świecący Ireneusz Czop) broni ojcowizny, co w jego przypadku wiąże się z życiowym wyborem: być jednak Polakiem, nie Niemcem.

Przesłaniem tej opowieści jest apel o wnikliwe wzajemne słuchanie racji. Choć w niektórych momentach brakuje na to czasu, a nie wszystkie węzły gordyjskie da się rozplątać. Mniej entuzjazmu wzbudził we mnie główny wątek osobisty: pani hydrolog ma z lokalnym wrocławskim politykiem córkę, ale właściwie jej się wyrzekła z powodu własnych nałogów. Wydał mi się nieprzekonujący i zwińczony błędym happy endem. Sytuację ratuje dobre aktorstwo Agnieszki Żulewskiej i To-



masza Schuchardta, który ma swój świetny czas. Anna Dymna wypada poruszająco jako monstrualnie roztyta dawna gwiazda. Mamy tu też ostatnią filmową rolę Jerzego Trela.

Nawet jeśli sytuacje stają się zbyt przewidywalne, służące emocjonalnym szantażom, ratuje je dar obserwacji. Nie zapomnimy surrealistycznego wesela w widmowym, już zalanym Wrocławiu.

Jest w takich spostrzeżeniach pochwała polskich sił vitalnych. Dlatego nie krzywię się z powodu jednej czy drugiej uwagi, jak to Niemcy są lepiej zorganizowani.

Piotr Zaremba

Najlepsze prezenty pod choinkę

Na Święta Bożego Narodzenia czekamy z utęsknieniem cały rok. To rodzinny czas, kiedy spotykamy się z najbliższymi, ubieramy choinkę, przygotowujemy potrawy wigilijne, śpiewamy kolędy, dzielimy się opłatkiem i składamy sobie piękne życzenia. No i oczywiście wręczamy prezenty

W zeszłym roku z badań pracowni Social Changes dla tygodnika „Sieci” wynikało, że – zaraz po gotówce – książka jest wymarzoną prezentem Polaków. Większość z nas – jak pokazała sondaż – obdarowuje upominkami troje, czworo najbliższych, wydając 50–100 zł na osobę. W tym roku sytuacja finansowa w polskich domach będzie z pewnością trudniejsza. Jak przy szalejącej drożyznie za 300 zł obdarować trzy, a nawet cztery osoby?

Dla czytelników tygodnika „Sieci” mamy propozycję prenumeraty z dodatkowymi upominkami za 295 zł (to aż 37 proc. taniej niż przy kupowaniu gazety w kiosku). Warto już teraz zaplanować świąteczne prezenty tak, by cieszyły obdarowanych, ale jednocześnie nie zrujnowały domowego budżetu.

Zachęcamy naszych czytelników, żeby w tym roku pod choinkę wybrali dla swoich bliskich upominki książkowe. Do prenumeraty rocznej tygodnika „Sieci” i magazynu „wSieci Historii” zaproponowaliśmy aż trzy mądre i piękne książki w prezencie: historyczną powieść Stanisława Rembeka o polskich żołnierzach walczących z bolszewikami, poetycką prozę Aleksandra Jurewicza o raju utraconym oraz piękną wierszowaną opowieść wigilijną dla dzieci.

Roczna prenumerata z książkami gratis to doskonały pomysł na prezent pod choinkę. Można zamówić całość dla jednej bliskiej osoby lub obdarować prenumeratą wybranego krewnego, a książkami trzy inne osoby z rodziny. Prenumeratę można również kupić po prostu dla siebie, a książki przekazać najbliższym jako gwiazdkowe upominki. Nie mamy wątpliwości, że takie podarunki sprawią radość, a sama prenumerata to prezent, który będzie cieszyć jeszcze długo po świątach, nawet przez cały rok.

Jak zamówić prenumeratę z prezentami na święta?

1. Na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata zamów roczną prenumeratę pakietu: tygodnik „Sieci” i magazyn „wSieci Historii” (za 295 zł), a otrzymasz trzy książki w prezencie.
2. Wykonaj przelew, wpisując w tytule pełne dane adresowe do wysyłki (swoje lub osoby, którą chcesz obdarować prenumeratą). Wpłaty dokonaj na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia.
3. W razie pytań skontaktuj się z nami e-mailowo: prenumerata@fratria.pl lub telefonicznie: **22 616 36 00** (w godzinach 9–16).



Książka dla dzieci
„Kolejna noc wigilijna” to opowieść pełna ciepła i uroku. Najmłodszych zachwycą piękne ilustracje i rymowana

historia autorstwa Carol Ann Duffy, nadwornej poetki królowej Elżbiety II.



Książka dla kobiet
„Lida” Aleksandra Jurewicza to zbiór wspomnień, przedstawionych z punktu widzenia małego chłopca, który nie chce opuszczać rodzinnego domu. Dramatyczny moment pożegnania i trudne początki

w obcym kraju, wyobcowanie i niewyobrażalna tęsknota to uniwersalne przeżycia emigrantów, tak aktualne dziś. Książka uhonorowana nagrodą Czesława Miłosza.



Książka dla mężczyzn
Powieść „W polu” przedstawia dzieje kompanii Wojska Polskiego w czasie wojny polsko-bolszewickiej: krwawe walki, grozę, brutalność i chaos oraz ich niszczący wpływ na ludzką psychikę. Autentyzm

utworów Rembeka znalazł uznanie filmowców: Juliusza Machulskiego („Szwadron” z 1992 r.) i Andrzeja Wajdy („Wyrok na Franciszka Kłosa” z 2000 r.).

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1076. Zakres czasowy badania 10–13 grudnia 2021 r.

Jacy tacy, Unijczycy i Polacy

Oferujemy: koszulka damska na ramiączkach »Jestem Unijczykiem polskiego pochodzenia«. Maksymalne wymiary nadruku to 30 cm (szerokość) na 40 cm (wysokość). Kolor: czarny. Gramatura: 200 g/m² bawełna czesana ringspun. A w mediach społecznościowych wysyp wpisów ludzi identyfikujących się jako Unijczycy.

Było już takie plemię. W schyłkowej Jugosławii, oprócz kilkudziesięciu procent Serbów, Chorwatów, Słoweńców, w badaniach społecznych grupa licząca niewiele ponad 1 proc. mieszkańców tego kraju identyfikowała się jako Jugosłowianie. Wykorzenienie postępuje najszybciej, gdy od wyboru systemu wartości zależą życiowe kariery. Ale w wyzbywaniu się tożsamości jest też komponent duchowy.

Chrześcijanie stali się w Europie mniejszością. W Anglii i Walii po raz pierwszy w historii mniej niż połowa mieszkańców identyfikuje się jako chrześcijanie, a czterech na dziesięciu Anglików i Walijczyków deklaruje się jako osoby niewyznające żadnej religii.

Dzisiejsze zeświecczenie Europy wbrew powszechnym mniemaniom nie wynika z jakiegś konieczności dziejowej, z jakiegoś bezosobowego procesu kulturowego. Sekularyzacja to „zespół działań zmierzający do znacznego ograniczenia lub wręcz całkowitego wyeliminowania roli religii w społeczeństwie”; jest ona celowym działaniem, efektem wcielania w życie przez europejskie elity antychrześcijańskich idei od czasów oświecenia i rewolucji francuskiej. Unijczycy są tylko kolejnym pokoleniem oświeconych, wyemancypowanych, wyzbytych korzeni, ale być może pierwszym zwycięskim.

Zachodnia cywilizacja przegrywa dziś bowiem konfrontację z neomarksistow-

ską tęczowo-zieloną cywilizacją śmierci. Nic dziwnego. Kiedy dochodzi do starcia, dominującą staje się ta cywilizacja, która nakłada mniejsze obowiązki moralne.

Zachodnia cywilizacja śmierci oparta jest na wierze w nieistnienie Boga. Nie można być cywilizowanym na dwa sposoby, a etyki chrześcijańskiej nie da się pogodzić z systemem moralnym zezwalającym na aborcję i eutanazję. Jest albo, albo.

Dla nas ma to najdalej idące konsekwencje. Nie można uczestniczyć w polskości, jeśli się nie szanuje chrześ-

*Wykorzenienie postępuje
najszybciej, gdy od
wyboru systemu wartości
zależą życiowe kariery.
Ale w wyzbywaniu
się tożsamości jest też
komponent duchowy*

cijaństwa i tego, co chrześcijaństwo zrobiło z naszą tożsamością. Wykorzenienie wiąże się zawsze z utratą wiary.

Ani jeden ze znanych mi Unijczyków nie jest człowiekiem wierzącym. Unijczycy pogardzają wiarą, a sama Unia Europejska stała się groźnym narzędziem walki cywilizacyjnej. W Brukseli plany, idee i cele zamierzone na dekady i stulecia przekuwane są w polityczne dyrektywy.

Toczy się więc dziś walka o nadrzędność unijnych trybunałów nad krajowymi systemami sprawiedliwości oraz o zniesienie weta w najważniejszych dla Unii Europejskiej kwestiach. Unijczycy w togach nie uznają wyższości polskiej Konstytucji nad unijnym prawem. Ich stolicą jest Bruksela. I nie zatrzymają się w pół drogi.



ROBERT TEKIELI

Polityczni bankruci, Miedwiediew, Sikorski, są używani do testowania opinii publicznej. Mówią wprost to, co realnie rządzącym mówić jeszcze nie wypada. Były rosyjski prezydent zapowiada rychłe wchłonięcie Polski do rosyjskiej strefy wpływów, niedoszły szef NATO straszy, że są rzeczy jeszcze gorsze niż „współdzielenie przez Polskę niektórych aspektów suwerenności”.

Bez wątpienia gorsze jest „współdzielenie” z Unią Europejską WSZYSTKICH aspektów suwerenności. A taki jest jawnie głoszony cel; trwa budowa europejskiego superpaństwa.

Dziś mamy do wyboru dwa scenariusze. Przez rok, w najlepszym przypadku przez pięć lat, powolne oddawanie suwerenności w nierównej walce z gwałcącymi traktatowe prawo władzami instytucji, która czuje się wobec Polski w każdej sferze nadrzędna, gdy my nie potrafimy wyegzekwować postanowień podpisanych przez nas traktatów. I druga opcja: za rok w kraju zaczną rządzić Unijczycy i natychmiast oddadzą Polskę pod unijną kuratelę.

Jeśli mając patriotyczny rząd, powoli tracimy suwerenność, to co będzie, kiedy władzę przejmą chcący zarządzać przywiślańską kolonią euroentuzjaści?

Jaki jest plan? W jaki sposób patriotyczne elity chcą utrzymać suwerenność Polski? Pytam o sprawę najważniejszą dla naszej wspólnoty.

Warte

Przetaina to miejsce, na którym lód lub śnieg stał aż do ziemi, a utrzymuje się dookoła. Jest więc przetaina symbolem nadziei w beznadziei. Nowa powieść Andrzeja Pilipiuka o tym właśnie tytule to pochwała czystości, jasności, normalności.

Świat „*Przetainy*” jest naszą rzeczywistością: moralność, fizyka, grawitacja są identyczne, inna jest jedynie metafizyka. Bóg – Stworzyciel ma Córkę, kociogłową Nefem, newszechmogącą opiekunkę ludzkości. Ale identycznie jak nasz Bóg, ingeruje ona w rzeczywistość tak, by zostawić ludziom pełnię wolności. Choć czasami wchodzi w nasz świat w sposób bardzo zdecydowany, z pełną mocą.

Proza Pilipiuka zatem nieomal w ogóle nie jest fantastyką, raczej przygodową książką drogi nie tylko dla młodego czytelnika. Mamy w niej ciekawość świata, przygodę, walkę o przetrwanie. Ale najistotniejsze jest klarowne widzenie hierarchii wartości.

Pilipiuk tak pisze o cywilizacji i barbarzyństwie: „Podstawowa różnica polega na tym, że barbarzyńcy w pierwszej kolejności chronią najważniejsze zasoby plemienia: zdrowych, silnych mężczyzn zdolnych do walki i polowań oraz ewentualnie ich nałożnice. My zaś nie poświęcamy nawet najsłabszych jednostek dla dobra ludu. Chronimy dzieci, kobiety w ciąży, starców, kaleki. Tych, którzy nie obronią się sami”. W czas wojny warto pamiętać, że na tym właśnie polega cywilizacyjna różnica między nami a Rosjanami. Taka sama przepaść dzieli nas od liberalno-marksistowskich heroldów i funkcjonariuszy cywilizacji śmierci; tych od usypiania zbędnych staruszków i zabijania nienarodzonych dzieci.



prymitywny jak cios młotkiem w głowę bezbronnej ofiary. Komu potrzebna jest „prawda true crime” opowiadającego historię nekrofila, kanibala i gwałciciela, który zabił młodego mężczyznę, bo „nie chciał, aby sobie poszedł”? Tylko ludziom chcącym na złu zarobić. „Dahmer Potwór: Historia Jeffreya Dahmery” jest produkcją zbędną. Po prostu.

Warte

W piątek można było obejrzeć ostatni odcinek pierwszego sezonu serialu „*Peryferal*” opartego na prozie twórcy cyberpunka Williama Gibsona. „Peryferal” to dramat, thriller, science fiction i film akcji. Na ekranie wielki Londyn końca XXI wieku i prowincjonalna Ameryka końca lat 20. XXI wieku. Małe miasteczko, prawie nikt nie ma pracy, ex-marine do renty dorabia, grając w gry, bezpieczeństwo społeczności zapewnia miejscowy samiec alfa, producent oraz dealer narkotyków.

I cały ten mikrokosmos mieszkańców przyczep, weteranów, barów staje się nagle elementem fabuły SF. A punkt wyjścia jest znany od zawsze: bohaterka, jej rodzina, przyjaciele i cały świat znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jest zatem „drużyna Pierścienia”, jest zły demiurg, są niedosiężni wydawałoby się półbógowie z przyszłości. Ale jest na szczęście wspólnota przyjaciół i jest o co walczyć. I wróg nie byłby taki, bo w świecie przyszłości poza bogaczami na Ziemi nie został prawie nikt.

W głównej roli Chloë Grace Moretz, 25-letnia

aktorka, która ma na koncie ponad czterdzieści ról (m.in. „Carrie”, „Kick-Ass”, „Piąta fala”). Chloë Moretz niesie ten serial, bardzo przyzwoite jest również aktorstwo drugoplanowe.

Powala cyberpunkowa architektura wielkiego Londynu. Niezła jest choreografia walk, fabuła toczy się wartko, w dość przejrzysty sposób jesteśmy wprowadzani w meandry wielopiętrowej intrygi.

Serial jest wolny od ideologicznego balastu. Williama Gibsona, autora „*Neuromancera*”, wizjonera, który stworzył słowo „cyberprzestrzeń” i opisał koncepcję internetu oraz wirtualnej rzeczywistości na długo przed powstaniem tych technologii, zajmuje zupełnie inną problematykę. Kiedy trzydzieści lat temu publikowaliśmy jego opowiadania w „*bruLionie*” były jak fantasmagoria. Dziś wirtualna rzeczywistość, to twarda rzeczywistość, ba, dla milionów uzależnionych twarda jak narkotyk.

Robert Tekieli, Polskie Radio



Niewarte

Nie wiem czy mogę pisać o serialu, który prześlałem oglądać po pięciu minutach. Potem podchodziłem do „*Dahmery*” jeszcze przez sześć tygodni, ale w końcu zrezygnowałem. Odpychająca brzydota bohatera i świata, w którym toczy się ta opowieść, zapowiada zło mogące widza ubrudzić. Nie ma powodu zanurzać się w psychikę kolejnego i kolejnego seryjnego przestępcy. To świat jednowymiarowy,



Wojciech Stanisławski

Dzień Kiszcza

Kto ciekaw jest naprawdę odważnego myślenia o polskiej polityce, rządzących nią siłach sprawczych, nieoczywistych sojuszach, powinien koniecznie przeczytać tę powieść, nawet jeśli nie lubi wartkiej akcji, ścichapek humoru ani podszczypywania stetryczalnych nieco autorytetów

Kto miał w liceum dobrego nauczyciela matematyki, zna zapewne anegdotę – wyborną, pouczającą, choć nieco już brodatą – jak to geometrze, inżynierowi i topologowi wręczono po kawalku liny, kilka palików i polecono oznaczyć jak największy kawałek terenu. Tak, dobrze się państwo domyślają: geometra wygrodził elegancki prostokąt, inżynier, pomny, że najlepszy stosunek powierzchni do obwodu ma koło, wytyczył, jak się dało, okrąg, zaś topolog wbił byle jak połączone liną kolki – aby się trzymały – wszedł w tak wyznaczony obszar, po czym zadeklarował, że stoi NA ZEWNĄTRZ.

Przytaczam tę historyjkę, będącą tak naprawdę apologią myślenia niezależnego, talentu do stawiania spraw na głowie, odwrócenia potocznego myślenia, ukazania nieoczywistości, ponieważ talent taki przydaje się nie tylko przy uprawianiu topologii czy filozofii, lecz także przy pisaniu powieści z kategorii (jeśli musimy uciekać się do kategorii) political fiction. A dowodem na to jest „Plan Kiszcza”, niesłychanie błyskotliwy debiut literacki Wojciecha Czabanowskiego, z wykształcenia notabene ontologa (Przypadek? Nie sądzę).

Zdarzyło mi się, choć nie jest to mój ulubiony gatunek, czytać kilka political fiction, traktujących o najnowszych dziejach Polski. Zdarzyło mi się też sięgnąć po kilka, pretendujących do naukowości, a rezygnujących ze sztafażu płaszcza i szpady, „historii alternatywnych PRL”. Jedne i drugie nie nadałyby się na pulpę drzewną, z której można sporządzać papier na ulotki reklamowe „Planu Kiszcza”.

Political fiction o PRL i jego upadku? Zwykle jest to jakaś z wielkim mozolem pisana historia o tajnym stowarzyszeniu byłych AK-owców, byłych PAX-owców bądź byłych KPP-owców, którzy usiłują dojść do władzy albo pomścić kolegów. W tle pojawiają się czasem aluzje do Tyrmanda (dowód erudycji autora), tajemniczy krakowski kardynał W., do tego dodać trzeba trochę erotyki z rajstopami z elanobawełny oraz designu z Instytutu Wzornictwa Przemysłowego – ot, i macie typową powieść sensacyjną o PRL (zdarzają się również podobne historie o byłych SB-kach – to już jednak inny gatunek, nie political fiction, lecz reportaż, względnie akta niedoszłych procesów). Historia alternatywna? To samo, tylko nudniej: „Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby gen. Jaruzelski postanowił nie wprowadzić stanu wojennego”.

Phi! Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby – tyle wolności zdradzić bez obawy spoilerowania, bowiem zapowiedź ta i tak znalazła się na okładce – generał postanowił 13 grudnia 1981 r. wypowiedzieć wojnę Związkowi Sowieckiemu. Wojnę skuteczną, doprowadzającą zagony Rzeczypospolitej – jak w dwudziestym roku – do bram Kijowa. A to dopiero, proszę mi wierzyć, pierwsze oczko dzianiny, która rozciąga się od stolicy NRD po Watykan, Słowację i Bułgarię...

Nie rzecz w rozmachu geograficznym – na to potrafi się zdobyć byle kawiarniany geopolityk. Rzecz w tym, że

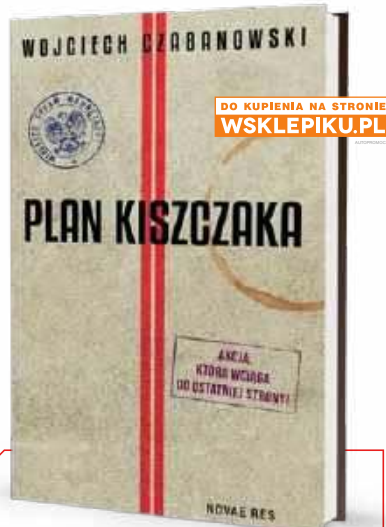
– porzucając na chwilę żartobliwy ton – Czabanowski potrafi nie tylko przenieść ład polityczny, jaki – wydawało się – znaliśmy, postawić na głowie znane hierarchie i zagrzecotać puszką Międzymorza, zarysować szaloną, niemożliwą perspektywę „Rzeczypospolitej Ludowej wszystkich narodów” tak sugestywnie, że przez chwilę niemal zaczynamy w nią wierzyć. Rzecz w tym, że robi to po coś, nie tylko dla płochy zabawy czy publicity (choć czytelnikom zapewnia to pierwsze, a sobie to drugie).

„Plan Kiszcza” to – pod wszystkimi brawurowymi zwrotami akcji (śa snajperzy, zagony czołgowe i zajazdy konne, pojedynki na szable, dekapitacje i dekomunizacje, jest śnieg i wódka) oraz całymi piętrami uszczypliwości, paradoksów i purnonsensów – pytanie o kwestie zupełnie podstawowe: o głębokie znaczenie pojęcia „Rzeczpospolita” (a szczególnie członu „pospolita”: czy znaczyć to ma powszechna, czy ludowa?), o wizję narodu, sporne od czasów romantyzmu, a tak świetnie scharakteryzowane przez Andrzeja Walickiego w eseju o „Trzech tradycjach polskiego patriotyzmu”. O zasadnicze opozycje, biegnące głębiej niż tradycyjne linie podziału (szlachta vs. „lud”, pilsudczycy vs. endecy, czerwoni vs. „czarni”, „chamy” vs. „Żydy”) – i to, czy istnieje możliwość ich przezwyciężenia. I dalej jeszcze o szanse na uniwersalizm, o różne perspektywy „związku

narodów” – polską (rzeczpospolitą) i inne, konkurencyjne, którymi autor bawi się niczym podrzucanym w dłoni, migoczącym szklanym pryzmatem.

O tym jest tak naprawdę ta książka. Ale nie trzeba sięgać tak głęboko, jest ona również po prostu owocem musującej, wyczuwalnej przez kartki radości pisania, jakby szekspirowskiego Puka dopadł *furor scribendi*. Po tonach kwaśnej i poważnej literatury traktującej o stanie wojennym (ważne i poważne rzeczy o nim już napisano, mamy wiersze Polkowskiego i Jastruna, a teraz pozostaje terkot spiżowych bębenków) trafić na scenę, gdzie dwóch milicjantów, owszem, obficie rzucając mięsem (bo to realistyczna proza), spiera się o różnicę między metonimią a metaforą – to jest duża przyjemność. Ta książka została napisana (ech, Kraków!) tak, jak szkiwował swoje pastele Wyspiański – najdalszy plan to niczym Kopiec Kościuszki, ledwie kilka maźnięć, o pancernym Blitzkriegu na Ukrainie wiemy tyle, że kończy

się defiladą, żywa akcja toczy się między Gorlicami, Krosnem a Tarnopolem – i tu wyraziste postacie nakreślone są jednym pociągnięciem kreski. Ale jakim!



Wojciech Czabanowski, „Plan Kiszczaka”,
Novae Res, 2022

I jeszcze jedno: Czabanowskiemu (te filozoficzne korzenie...) udało się to, za co od blisko już 100 lat chwalony jest Władysław Tatarkiewicz. Jak powszechnie wiadomo, pogodny mędrzec napisał swą „Historię filozofii” tak, jakby każdy z opisywanych przezeń filozofów był jego ulubionym.

Otóż autor „Planu Kiszczaka” napisał swą political fiction w podobnym duchu, i jest to kolejny dowód jego talentu. Że można z przymrużeniem oka opisać na prawach fikcji jako „swojego chłopaka” inteligentnego sierżanta Milicji Obywatelskiej – w to byłem w stanie uwierzyć, wielka jest potęgą słowa pisanego. Ale że, czytając „Plan Kiszczaka”, poczuje coś jakby cień sympatii do Edwarda Ochaba – nie, to przecież niemożliwe. A jednak stało się.

Czekam na scenariusz filmu napisany na podstawie „Planu Kiszczaka” i na zapowiedzianą kolejną książkę Czabanowskiego. Doprawdy nie wiem, na co bardziej.

Skalary i piranie

To książka obiecująco nieoczywista – a podtytuł nie tylko tłumaczy nam dokładnie, o czym jest, ale slowem „Opowieść...” rozbraja oczekiwania zarówno na monografię z dziejów instytucji, jak i na prosty zbiór anegdot o tych, którzy przez 40 lat PRL rządili wyobraźnią narodu. Rządzili nie tylko tak, jak zwykle zdarza się to pisarzom, lecz również jako „persony”, których zachowanie było komentowane niezależnie od tego, czy podpisują kolejny list otwarty, czy w malowniczy sposób upijają się w Kameralnej. Persony kuszone, ale i karcone przez władze, które nawet po upadku stalinizmu zachowały przekonanie, że „pisarze są inżynierami dusz” i obawiały się ich wpływów.

Autor miał wszelkie kwalifikacje, by opisać strukturę i tryb funkcjonowania Związku Literatów Polskich, wpisując się przy tym w nurt współczesnej historiografii, traktującej o przemianach instytucji. Byłaby to praca bardziej może szczegółowa, lecz mniej poczytna. Tymczasem

„Akwarium...” owszem, zdaje sprawę z nieznanych właściwie aspektów działania ZLP – działania sekcji literackich z lat 50., systemu przydziałów mieszkań i delegacji, działalności lokalnych oddziałów – opowiadając jednak przede wszystkim historię gęstych, napiętych, nużących relacji kilkuset osób, w zdecydowanej większości obdarowanych zarówno talentami, jak potężnym ego, napędzanych pragnieniem zachowania godności – i zdobycia delegacji do Obór...

Tomasz Potkaj opisał to kłębówisko przekonań, ambicji, interesów i uczuć z równą sympatią i zdrowym dystansem, co przed trzema laty w swej najwybitniejszej dotąd książce redakcję „Przekroju”. Szukając tytułu, sięgnął po cytat z gromowładnego Herberta („Oni byli w akwarium, mieli swoje kluby, samochody, żyli po prostu w izolacji”), ale nie przesądza, czy ZLP był bardziej retortą, w której dojrzewała wolność, czy szklaną kulką, w której podgryzały się wzajemnie złote rybki (lub piranie). Bo też był jednym i drugim – a na schodach

kamienicy przy pl. Zamkowym mijali się w kłębach dymu ostrożny Zeus – Iwaszkiewicz z Illakowiczówną, Kijowskim, Stachurą, Ratoniem, Słonimskim, Hillar, Kamińską, Lipską, Herbertem (tak!), Kisielem i setkami tych, którzy rodzą się „bezczelni i bezradni/spragnieni grzechu i spowiedzi”. Potkaj ożywia ich, sięgając po całą bibliotekę relacji i wspomnień. Że część z nich znamy? Nie szkodzi: posłuchajmy.



Tomasz Potkaj, „Akwarium. Opowieść o Związku
Literatów Polskich w PRL-u”



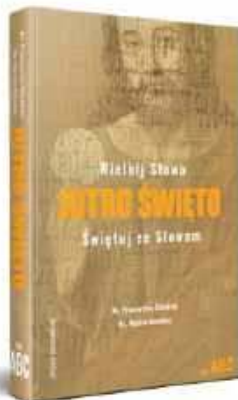
Przygotować się na święta

Kolejny Adwent u progu. Kolejne święta za rogiem. Czy znowu skupimy uwagę na przedświątecznych porządkach i wypiekach? Czy pochłonie nas szaleństwo gwiazdkowych zakupów? Może tym razem nie! Spójrzmy na nadchodzące Boże Narodzenie inaczej niż dotychczas. Świadomie, z refleksją – dzięki nowej książce pt. „Jutro Święto”

To kolejne wydawnictwo z dobrze znanego nam cyklu „Jutro Niedziela”, które odsłania nam głębię słowa czekającego na nas w Kościele. Jak rozumieć, jak poczuć Święta Bożego Narodzenia – Anna Niczyperowicz pyta współautora serii ks. Marcina Kowalskiego

„Jutro Święto”. Ale może warto nie czekać z czytaniem dopiero w Wigilię Bożego Narodzenia? Czy znajdziemy tu słowo do rozważania przez cztery tygodnie Adwentu?

Ks. Marcin Kowalski: Tytuł „Jutro Święto” nawiązuje do serii „Jutro Niedziela” – to już jej kolejny, czwarty tom i nie sugeruję, aby po tę książkę sięgać dopiero w dzień przed niedzielą albo świętem. Kiedy byłem jeszcze klerykiem w seminarium, nasi profesorzy od homiletyki i Biblii zachęcali nas, abyśmy pracowali nad naszymi kazaniem przez cały tydzień. Mówili nam o tym, aby czytać i nosić w sobie Słowo Boże, myśleć nad nim, czego efektem będzie wreszcie niedzielna homilia. „Jutro Niedziela” i „Jutro Święto” zachęcają nas do podobnego procesu czytania Słowa Bożego, przez które będziemy się przygotowywać do niedzielnej czy świątecznej liturgii. Żeby była ona owocna, warto wcześniej



zajrzeć do czytań biblijnych. Warto pozwolić im pracować w nas. W kolejnym tomie serii „Jutro Święto” nie znajdziemy komentarzy do czterech niedziel Adwentu, bo te znajdują się już w tomach A, B i C „Jutro Niedziela”. Znajdziemy natomiast komentarze do tak ważnych uroczystości w okresie Adwentu jak Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny (8 grudnia), które ukazuje, w jaki sposób Maryja została kobietą „od zadań specjalnych”, jak łaska przygotowała ją do bycia Matką Boga. Znajdziemy także szczegółowe omówienie wszystkich czytań, które pojawiają się w liturgii Bożego Narodzenia, zarówno podczas mszy w nocy (tj. Pasterki), jak i w dzień.

Czy ten, kto znajdzie książkę w prezencie pod choinką, zdąży zaczytać się i naszykować do lepszego świętowania jeszcze w tym roku?

Książka będzie dostępna na Mikołajki. Temu służyła intensywna praca autorów i wysiłek całego wspaniałego zespołu Stacji7, który zrobił wszystko, aby pozycja „Jutro Święto” dotarła do nas jeszcze w czasie Adwentu, przed świętami. Książka pod choinką oznacza, że na przygotowanie do Bożego Narodzenia będzie już mało czasu – to bardzo głęboka i bogata liturgia. Innymi słowy, zachęcamy serdecznie, aby książkę zacząć czytać wcześniej, może jako prezent mikołajkowy, ale kto znajdzie ją pod choinką, na pewno będzie miał szansę głębszego przeżycia całego okresu Bożego Narodzenia włącznie z Nowym Rokiem i uroczystością Świętej Bożej Rodzicielki Maryi, podczas której czytamy jeden z najpiękniejszych tekstów Biblii – błogosławieństwo synów Aarona (Lb 6).

Święta i po świętach... A zaraz idą kolejne. Nasz rok liturgiczny prowadzi nie tylko przez niedziele, lecz także stawia nam na drodze codzienności pamiątki wydarzeń, postaci – mniej znane okazje do celebrowania. Żeby świętowanie się udało, trzeba wiedzieć, co i dla czego świętujemy?

Po pierwsze, świętowanie ma w sobie pewien walor terapeutyczny. Leczy ze stresu i ciągłej pogoni, pozwala nam zatrzymać się pośrodku naszego zabieganego życia i odpocząć przy Panu. Po drugie, dzięki świętowaniu możemy spojrzeć na naszą codzienność z Bożej perspektywy, odczytać nasze życie jako dar oraz dziękować Bogu za trudne i wspaniałe doświadczenia, które nas spotykają. Wreszcie świętowanie to wchodzenie w Boży czas, w historię zbawienia, której dajemy się ogarnąć. Dzięki niemu wielkie wydarzenia historii zbawienia promieniają na nasze życie. Dla opisanie tego fenomenu Biblia używa hebr. terminu „zikkaron” albo gr. „anamnesis”, które oznaczają pamiątkę. Święto to taka pamiątka albo upamiętnienie wydarzeń Bożej historii, która sprawia, że stajemy się ich świadkami, wchodzimy w nie jak przez czasoprzestrzenny portal. Ogarnia nas ta sama Boża łaska i miłość, które wylewają się na świat np. podczas Bożego Narodzenia. Otrzymujemy tę samą siłę, którą otrzymywali wielcy męczennicy. Dzięki świętowaniu uświęcamy nasz czas i nasze ziemskie życie, sprawiamy, że stają się coraz bardziej Boże i pozwalamy im wkraczać w wieczność.

Dlaczego właśnie taki wybór świąt w książce?

Nasz wybór odzwierciedla najważniejsze momenty roku liturgicznego. „Jutro Święto” ilustruje przede wszystkim życie Jezusa – celem chrześcijanina jest wchodzenie w życie Pana i upodabnianie się do Niego. A zatem będziemy mieli okazję głęboko przeżyć liturgię słowa uroczystości, takich jak: Boże Narodzenie, Ofiarowanie Pańskie, Objawienie Pańskie, Święto Chrystusa Najwyższego Kapłana, Bożego Ciała, Serca Jezusowego, Podwyższenia Krzyża. Oczywiście punktem centralnym będzie tu Triduum Paschalne i Zmartwychwstanie Pana, które analizujemy szczegółowo. Dalej towarzyszymy życiu Maryi, Matki Boga i naszej matki. Przeżywamy Jej narodzenie, zwiastowanie, wniebowzięcie oraz przypatrujemy się Jej więzi z naszym narodem i tytułom

Królowej Polski czy Matki Bożej Częstochowskiej. Wreszcie poznajemy wielkich świętych historii zbawienia, jak Józef, Jan Chrzciciel, Piotr i Paweł, a także wielkie postaci historii Polski, tj. św. Wojciech i św. Stanisław. Kończymy chwałą nieba – liturgią uroczystości Wszystkich Świętych i wspomnienia wszystkich wiernych zmarłych. Dobrze mieć przewodnik na drogę, jakim jest to wydawnictwo.

Czy ten jeden dzień przed to dość czasu, aby jutrzejsze słowo w nasросло? Jak czytać, aby zakiełkowało i trwało w nas dłużej niż do nadchodzącej niedzieli czy święta?

Przewodnik po tej szczególnej Ziemi Obiecanej, którą jest Biblia, jest konieczny, ponieważ jest to księga ksiąg, ale także biblioteka ksiąg. Jej teksty powstawały na przestrzeni setek lat i są od nas oddalone o tysiąclecia. „Jutro Niedziela” i „Jutro Święto” pozwalają zrozumieć Słowo Boże w jego kontekście historyczno-kulturowym, dają nam wgląd w język hebrajski i grecki, wreszcie otwierają przed nami sens duchowy Biblii. Jesteśmy szczęśliwi, mogąc dostarczyć czytelnikom taki przewodnik, ale nikt nie zastąpi tu wysiłku samego czytającego, który musi sięgnąć po Biblię i po prostu zacząć ją czytać. Im więcej da sobie na to czasu, tym lepiej, aby, jak wspominałem na początku, słowo mogło w nas i z nami rosnąć. A zatem jak usłyszał św. Augustyn: *tolle et lege* – bierz i czytaj.

Kupuj SIECI na swojej Pocztce!



Sprawdź, czy jesteśmy na Twojej Pocztce:

www.poczta.pl/Sieci

Autopromocja

A portrait of Prof. Władysław Mielczarski, an older man with glasses, wearing a dark suit and a red patterned tie. He is looking slightly to the side with a serious expression.

Węgiel to być albo nie być naszej gospodarki

Skoro Niemcy nie mieli oporów przed rozbudową wielkiej odkrywki Hambach, i to bardzo głębokiej – na 450 m, i nie zasypują kopalń węgla kamiennego, tylko je konserwują, by móc w dowolnym momencie je uruchomić, to dlaczego my mamy zasypywać własne?!

Z prof. Władysławem Mielczarskim

z Politechniki Łódzkiej

rozmawia

Agnieszka Łakoma

Powiało optymizmem. Ceny hurtowe na Towarowej Gieldzie Energii w naszym kraju spadły – megawatogodzina wyceniana jest na ponad 900 zł, a nie jak to było latem – 1,5 tys. zł. Jak długo będzie tak dobrze?

Władysław Mielczarski: Spadek cen to efekt zmian prawnych i *de facto* ingerencji w rynek. Notowania na rynku bilansującym spadły dzięki zawieszeniu tzw. obliga giełdowego, które zobowiązywało producentów energii do sprzedaży na TGE. Zatem, gdy mieliśmy sytuację taką, że np. dziesięciu sprzedawców oferowało energię po 700 zł za 1 MWh, a jeden po 1,5 tys. zł, to na parkiecie RDN niestety była ustalana ta ostatnia, czyli krańcowa cena. Decyzja rządu o zawieszeniu obliga była konieczna, miała na celu ustabilizowanie ceny i uspokojenie sytuacji na rynku. Taki czas oddechu od wysokich cen po

Fot. Paweł Pawłowski/PAP

prostu jest konieczny. Ale nie powinniśmy mieć złudzeń, ingerencja w rynek nie będzie i nie może trwać zbyt długo.

Ingerencja objęła nie tylko rynek hurtowy, lecz także ceny energii elektrycznej dla odbiorców będą zamrożone. Czy to znaczy, że przez kilkanaście miesięcy będziemy płacić niskie rachunki, a potem – np. od 2024 r. ceny poszybują?

Kolejne skoki cen energii i gazu na przykład za rok wcale nie są przesądzone. Możliwy jest pozytywny scenariusz i stabilizacja rynkowa. Zwróćmy uwagę na to, co stało się z cenami gazu w Europie – jeszcze latem notowania przekraczały 350 euro za 1 MWh, a dziś – gdy niemal pewne jest, że gazu w Europie nie zabraknie na zimę i magazyny zostały zapełnione – spadły do ok. 100 euro. Na ceny wpływają nie tylko realia, lecz także nastroje rynkowe. O panikę nie jest trudno, zwłaszcza w sytuacji wojny.

Czy nie ma powodów do obaw i tej zimy nie grozi nam blackout, czyli wyłączenia prądu?

Możliwe, że popyt na energię tej zimy wzrośnie, bo mamy kłopoty z dostawami węgla dla ludzi, zatem część rodzin może dogrzewać się piecykami elektrycznymi.

Ale nie spodziewam się blackoutów, o ile nie wystąpią nadzwyczajnie skrajne warunki pogodowe. Dla naszego kraju problemem nie jest ta zima, ale kolejne oraz zapewnienie paliwa elektrowniom, gdy polityka klimatyczna Unii Europejskiej zakłada dekarbonizację, czyli odejście od węgla. W efekcie mamy program likwidacji górnictwa, a budowa elektrowni atomowych czy rozwój odnawialnych źródeł nie zapewni luki po elektrowniach węglowych.

Wicepremier Jacek Sasin zapowiedział, że tempo zamykania kopalń będzie wolniejsze i zostanie jeszcze w tym roku zaktualizowana „Polityka Energetyczna Polski” tak, by uwzględnić nowe realia.

Przede wszystkim obowiązuje ustawa o likwidacji kopalń i póki co nie sły-

szalem o jej modyfikacji, a „Politykę Energetyczną Polski” oczywiście możemy aktualizować, lecz wszelkie zmiany na bieżąco trzeba konsultować i tak z Komisją Europejską. Ta szykuje właśnie przepisy dotyczące ograniczenia emisji metanu, które w praktyce oznaczają przyspieszenie likwidacji polskiego górnictwa. Szykuje limit emisji przy wydobywaniu tony węgla – maksymalnie 3 tony metanu, a w naszych kopalniach jest to 8 ton. I nie ma szans na poprawę, bo brakuje odpowiednich technologii.

Czyli będziemy mieć obowiązek szybkiego zamknięcia kopalń, chyba że

w Brukseli nie wiedzą, jaką mamy sytuację i czym to grozi w kraju, w którym 30 proc. energii pochodzi z elektrowni opalanych węglem kamiennym, a ponad 40 proc. – brunatnym.

Jestem pewien, że urzędnicy brukselscy doskonale wiedzą, jakie mamy kopalnie i że nasza energetyka to jeden z elementów spuścizny po socjalizmie, ale tu chodzi o realizację konkretnych interesów gospodarczych i politycznych najpotężniejszych państw w UE. I one z nich nie zrezygnują tylko dlatego, że w Polsce za dwa, trzy lata zabraknie prądu i upadnie przemysł.

REKLAMA

#Mazurek

**symetrysta
i bufon**

#Szczuka

**upadła gwiazda
lewackich mediów**

#Terlikowski

katooszołom

Trolle swoje...

...a my swoje!

Radio RMF24 – jedno studio, różne poglądy!

**RADIO
RMF24**

rmf24.pl/radio

Kreśli pan wyjątkowo czarny scenariusz, a przecież dekarbonizacja ma służyć ochronie klimatu, więc cel jest szczytny.

Ochrona klimatu to przede wszystkim hasło i ideologia, za którą stoją potężne firmy i ogromne pieniądze. Odnawialne źródła zaczęto promować 30 lat temu, by stworzyć nowy rynek w Europie Zachodniej i potem go rozszerzyć na cały świat. My jako kraj się na to nie załapaliśmy, bo trwała transformacja ustrojowa. Ale w UE (przed rozszerzeniem) powstało wiele firm, które wdrożyły technologie produkcji dla OZE – tak paneli, jak i wiatraków. I to one przede wszystkim czerpały i nadal czerpać będą z tego tytułu zyski. Weźmy tylko jeden przykład – polskiego programu budowy morskich farm na Bałtyku o wartości co najmniej 140 mld zł. Polskim przedsiębiorstwom przypadnie tylko ułamek tej kwoty, bo nie produkujemy wiatraków morskich, kabli na ich wyposażenie czy podstacji. Gros zgarną zachodni partnerzy. A takich projektów jak polskie MFW było w ostatnich latach wiele i będzie jeszcze więcej. Komisja Europejska w strategii REPowerEU zakłada gigantyczne inwestycje w OZE oraz technologie wodorowe do 2030 r. Firmy, które na OZE zarabiały i jeszcze zarobią, mogą zadbać o odpowiedni PR, by promować ideę ochrony klimatu.

Sądząc po skali poparcia społecznego dla walki z globalnym ociepleniem, to z takimi poglądami naraził się pan wielu ludziom.

Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie obawiam się dyskusji na argumenty. Niestety ani aktywistom, ani organizacjom „proklimatycznym” nie zależy na rzetelnej i obiektywnej debacie. Momentami dochodzą do granic absurdu, np. w Berlinie organizowano nawet kursy, jak skutecznie – w ramach protestu – przykleić się do asfaltu. Ale skoro otrzymują dotacje i wsparcie finansowe z UE i od biznesu, to dla wielu jest to sposób na życie. Angażują się więc coraz licz-

niej w tę ideologię. Przypuszczam, że w naszym kraju może to być nawet 30 tys. ludzi. Ale wszyscy oni za dwa, trzy lata zderzą się z rzeczywistością, gdy zabraknie nam prądu, i może wtedy się obudzą. Patrząc na to, co proponuje Bruksela, czyli jak najszybsze odejście od paliw kopalnych i na niebywałą wręcz presję propagandową, to mam wrażenie, że tę „zieloną rewolucję” mogą zatrzymać tylko blackouty.

Podejścia Komisji Europejskiej na pewno nie uda się zmienić. Ale co możemy jako Polska zrobić, by uniknąć problemów?

Komisja Europejska szykuje właśnie przepisy dotyczące ograniczenia emisji metanu, które w praktyce oznaczają przyspieszenie likwidacji polskiego górnictwa

Gdyby decyzja należała do mnie, to powiedziałbym urzędnikom w Brukseli, że dla dobra naszego kraju, jego bezpieczeństwa i gospodarki nie możemy zlikwidować górnictwa. Choć wiem, że to wymaga dużej odwagi. Energetykę powinniśmy zaliczyć do sfery bezpieczeństwa państwa i wówczas rzeczywiście będziemy mogli zapewnić tyle dostaw energii, ile będzie trzeba. Należy zrealizować projekt NABE zgodnie z pierwotnym planem i faktycznie powinny być długoterminowo zasobem strategicznym, a nie „umieralnią dla starych elektrowni”. Odnawialne źródła warto rozwijać, ale nie można na nich bazować. Powinniśmy również wybudować elektrownie jądrowe, choć spodziewam się, że nie uruchomimy ich wcześniej niż po 2035 r. Polska nie ma wyjścia, musi opierać energetykę na węglu.

Nawet jeśli polskim władzom nie zabraknie odwagi, by tak postawić sprawę, to wątpię, że Komisja Europejska wyrazi zgodę. Co wówczas?

Nie mamy praktycznie żadnej alternatywy – ani farmy na Bałtyku, ani fotowoltaika i wiatraki na lądzie nie zabezpieczą naszych potrzeb w najbliższych latach. Można wybudować tysiące wiatraków i ułożyć panele na każdym dachu, a i tak zimą, gdy nie świeci i nie wieje, nie zapewnią nam bezpieczeństwa energetycznego. W czwartek, 24 listopada 2022 r., z 7 tys. MW wiatraków i 11 tys. MW paneli PV produkcja energii elektrycznej była bliska zera. Kiedy zbudujemy nawet 100 tys. MW tych źródeł, a nie będzie wiatru czy słońca, to nie będzie też energii. Również elektrownie atomowe nie zastąpią węglowych, bo ich skala będzie znacznie mniejsza. Nadszedł czas, by wszyscy to zrozumieli. Jeśli polskie władze nie zmienią radykalnie podejścia do unijnych oczekiwań związanych z dekarbonizacją, to radzę już teraz – zacznijmy przygotowywać się na braki prądu.

Może nie będzie tak źle, jak pan przewiduje, bo nikomu nie zależy na blackoutach w Europie.

W UE dominujący głos mają Niemcy, Francja i Holandia, które najbardziej stawiają na klimat, bo na tym zarabiają ich firmy. Ale my musimy patrzeć na interes własnego kraju, własnego narodu i własnej gospodarki. Jeśli mamy przetrwać i uniknąć katastrofy, bo brak prądu w dobie współczesnej cywilizacji jest katastrofą, to trzeba postawić na węgiel i też na węgiel brunatny. A skoro Niemcy nie mieli oporów przed rozbudową wielkiej odkrywki Hambach, i to bardzo głębokiej – na 450 m, i nie zasypują kopalń węgla kamiennego, tylko je konserwują, by móc w dowolnym momencie je uruchomić, to dlaczego my mamy zasypywać własne? Węgiel to być albo nie być naszej gospodarki i społeczeństwa. I nie ludźmy się, że cały świat dokona dekarbonizacji. Bo tak się nie stanie.

Nowe wydanie w kioskach!



Okupacja 1939–1945

– jak wyglądała totalna grabież?

Kręte drogi II RP

– jak doszło do sojuszu polsko-ukraińskiego?

Piekło w Zatoce

Kolskiej – jak Sowietci sami się rozbroili?

Zamów e-prenumeratę **wSIECI** i **HISTORII**
50% taniej!

Wejdź na www.SiecPrzyjaciol.pl



Stoimy po stronie polskich lekarzy

Zbudowaliśmy profesjonalną wytwórnię farmaceutyczną. Dzięki temu polscy lekarze, którzy zajmują się pacjentami w trudnej sytuacji klinicznej mają dostęp do bezpiecznych i znacznie tańszych preparatów zawierających komórki macierzyste. Lek jest „robiony” dla każdego pacjenta indywidualnie

Z lek. med. Tomaszem Baranem,
wiceprezesem zarządu Polskiego
Banku Komórek Macierzystych,
rozmawia Bartosz Życiński

Ministerstwo Zdrowia zapowiada uporządkowanie przepisów dotyczących eksperymentalnych terapii komórkowych. Jesteście przedstawiani jako przeciwnicy nowych rozwiązań. Co w nich złego?

Tomasz Baran: To nieporozumienie, w rzeczywistości jest odwrotnie. Jako polska firma pracująca nad terapiami komórkowymi wspieramy wszystkie próby wyplenienia patologii, które niewątpliwie w tym obszarze występują. W naszym interesie jest, by przepisy były przejrzyste i pozwalały na skuteczne pomaganie polskim pacjentom. Poprzemy i będziemy realizowali każde rozwiązanie, które do tego doprowadzi. Już teraz wiele obszarów stosowania nowych terapii jest uregulowanych, ale jeśli będą szczegóły proponowanych rozwiązań, to chętnie włączymy się w dyskusję.

Dlaczego więc pozywacie media i naukowców, którzy wskazują na patologie, z którymi rzekomo chcecie walczyć?



Jesteśmy otwarci na dziennikarzy, nie odmawiamy rozmów. Współpracujemy z naukowcami zajmującymi się komórkami macierzystymi. Wiemy więc doskonale, że w niektórych aspektach zdania uczonych są podzielone i toczą się dyskusje wewnątrz świata nauki. Problemem jest to, gdy jeden naukowiec – niebędący lekarzem, za to posiadający świetne kontakty w mediach – usurpuje sobie prawo do bycia wyrocznią we wszystkim, co dotyczy komórek macierzystych. Powstają publikacje czy wypowiedzi, które zawierają skrajnie nieprawdziwe i zmanipulowane informacje o tym, czym się zajmujemy. Staramy się je prostować i bronić dobrego imienia. Każdy na naszym miejscu robiłby to samo. Tym razem, pierwszy raz w naszej historii, bronimy się przed sądem. Nie robimy niczego, czego możemy się wstydzić, bo stoimy po stronie zaangażowanych lekarzy, którzy zgodnie prawem i misją swojego zawodu chcą pomagać pacjentom. Kiedy nic innego nie pomaga, szansa jest terapia komórkowa. Ci lekarze są za to bezpardonowo atakowani, bronimy więc nie tylko naszego imienia, ale także lekarzy i ich prawa do leczenia swoich pacjentów.

Domyślał się, że mówi pan o niedawnym podkaście radia TOK FM, w którym mówiono m.in. o prof. Magdalenie Chrościńskiej-Krawczyk z Lublina.

Tak, ale nie tylko. Pani profesor była jednym z atakowanych lekarzy za pracę, którą wykonuje, i której chcą jej pacjenci.

Ale mieliśmy tam przecież także wypowiedzi ministra Adama Niedzielskiego, wiele dowodów potwierdzających tezy stawiane w materiałach, naprawdę wstrząsające opowieści pacjentów.

Wiele osób, które słuchały tej audycji zauważa, że jest ona jednostronna. Połączmy od tytułu, poprzez muzykę, cięcia wypowiedzi – jasne jest, że twórcy zależało na wywołaniu określonego wrażenia. Ponadto brak głosu pacjentów, którym komórki mezenchymalne pomogły, nie ma też pacjentów, którzy mieli działania niepożądane – mówi się

o tym dookoła, ale faktów brak. Bodajże wypowiada się tylko jeden pacjent, któremu terapia nie pomogła.

W tych podkastach wymienia się PBKM jednym tchem z tzw. sprawą posła Mejzy, wątpliwościami wokół działań prof. Wojciecha Maksymowicza czy wreszcie ze zwykłymi naciągaczami, którzy starają się wykorzystać bezradność pacjentów, oferując im „cudowne” leczenie za miliony.

Powtórzę: w każdej branży i we wszystkich obszarach ochrony zdrowia zdarzają się nadużycia, w naszej także. Na całym świecie, także tuż za naszymi granicami, są kliniki, które oferują różne terapie. Przywołany tu przykład polegał, o ile wiem na tym, że ktoś wysyłał czy chciał wysyłać pacjentów do jednej z takich klinik w Ameryce Południowej. Zarzucanie nam, że mamy z tym coś wspólnego jest absurdem. Po pierwsze, stosując najbardziej prymitywny „biznesowy” argument, jest to całkowicie przeciwne naszym interesom. Zarabia zagraniczna klinika, pośrednik, organizator milionowej zbiórki. Razem z klinikami w Polsce, za ułamek kosztów leczenia zagranicznego, jesteśmy w stanie w taki sam sposób pomóc pacjentom w Polsce. Oczywiście to nadal nie są tanie terapie, ale kosztująca w Polsce kilkadziesiąt tysięcy złotych terapia, za granicą kosztuje kilkaset tysięcy i to dolarów. Ale co ważniejsze – każda terapia komórkami macierzystymi w Polsce wykorzystująca produkt leczniczy wytworzony przez nas jest nadzorowana, proces wytwórczy jest kontrolowany. My wiemy, co przekazujemy do szpitala, który podaje potem lek pacjentowi. Lekarz ma pewność, że otrzymuje od nas produkt wytworzony w określonym standardzie, a bezpieczeństwo pacjenta jest zapewnione. No i na koniec – nie wszystko, co się nazywa potocznie „terapią komórkową” jest tym samym. Z tego co wiem z mediów, to terapia, z którą łączono pana posła Mejzę dotyczyła tzw. komórek pluripotentjalnych, gdy tymczasem my wytwarzamy leki w oparciu o tzw. komórki mezenchymalne. Co więcej, wystarczy otworzyć wyszukiwarkę i pojawia

się dziesiątki ośrodków, które oferują „terapię komórkową” – najczęściej wytwarzane przyłóżkowo. To zasadnicze różnice, które rozumie każdy student pierwszego roku medycyny.

Trudno jednak zaprzeczyć, że współdziałaliście państwo z prof. Maksymowiczem. Wokół jego działań narosło sporo kontrowersji, media podawały m.in. informacje, jakoby miał on eksperymentować z komórkami pozyskiwanymi z płodów ludzkich.

Pozwoli pan, że będę mówił za siebie, nie chcę komentować doniesień medialnych dotyczących innych osób. Komórki macierzyste można pozyskiwać z różnych tkanek, w tym z płodów, co budzi zrozumiałe kontrowersje. Ta sfera nigdy nie była jednak w obszarze zainteresowania PBKM, my komórki zawsze pozyskujemy ze sznurów pępowinowych albo z zabezpieczonej krwi pępowinowej, co etycznie nie budzi najmniejszych zastrzeżeń. Nie wiem też, dlaczego miałbym zaprzeczać współpracy z prof. Maksymowiczem. Kilka lat temu byliśmy jednym z podmiotów inicjujących powstanie spółki o nazwie Instytut Terapii Komórkowych (ITK), którego współudziałowcem został także Warmińsko-Mazurski Uniwersytet Medyczny. Do tego połączenia doszło dlatego, że wcześniej zespół prof. Maksymowicza pracował nad zastosowaniem komórek macierzystych w leczeniu jednej z chorób neurodegeneracyjnych – ALS i chciał pomagać pacjentom z tą chorobą w ITK. Obecnie przy okazji projektów naukowych współpracujemy z wieloma naukowcami i klinicystami, wśród nich dzisiaj nie ma prof. Maksymowicza.

Dobrze, skoro nie wysyłacie pacjentów do Meksyku ani nie eksperymentujecie na płodach, to czym się zajmujecie?

Przede wszystkim bankowaniem komórek macierzystych z krwi pępowinowej. Nasza Grupa jest w tym obszarze europejskim liderem, prowadzimy działalność niemal w całej Europie. Jesteśmy z tego dumni, bo wciąż za mało firm z Polski może tak o sobie powiedzieć. Celem bankowania jest

zabezpieczenie materiału po to, by wykorzystać go, gdy zdarzą się w życiu nieprzewidziane sytuacje, gdy inne metody leczenia już zawiodą i wtedy posiadanie krwi pępowinowej jest dodatkową opcją. Mieliśmy już ponad 200 pacjentów, którym dzięki temu pomogliśmy. To sens i misja Polskiego Banku Komórek Macierzystych.

Jak to się stało, że poza bankowaniem krwi pępowinowej zajęliście się terapiami komórkowymi?

Jak w wielu sytuacjach – przyczyniła się do tego potrzeba. Kilka lat temu dostaliśmy zapytanie od jednego z dziecięcych ośrodków transplantologicznych, gdzie leczono dziecko po przeszczepieniu szpiku i doszło do choroby zwanej przeszczepem przeciwko gospodarzowi. Wszystkie metody już zawiodły, rokowanie było bardzo złe. Na szczęście profesor z kliniki wiedział, że może pomóc zastosowanie komórek mezenchymalnych i zapytał nas czy nie moglibyśmy takiego preparatu wytworzyć. Zrobiliśmy to, przekazaliśmy dwie dawki do szpitala i pacjent wyzdrowiał. Dzięki temu doświadczeniu wdrożyliśmy wytwarzanie produktu leczniczego opartego na komórkach mezenchymalnych, pozyskiwanych ze sznurów pępowinowych. Dotyczy to także pacjentów, którzy wcześniej krwi nie zbankowali. Iskłą była tutaj potrzeba lecznicza. Drugim powodem, który sprawił, że zainteresowaliśmy się wykorzystaniem komórek macierzystych w terapii, były sygnały od pacjentów – ciężko chorzy znajdowali, najczęściej przez internet, kliniki zagraniczne, w których dostawali propozycje leczenia komórkami macierzystymi za setki tysięcy dolarów. Pytali nas: „skoro jesteście bankiem komórek macierzystych, to co możecie powiedzieć o terapii w ośrodku X czy Y?”, a my odpowiadaliśmy, zgodnie z prawdą, że nic nie wiemy. To niestety stały problem komunikacyjny: wrzuca się do jednego worka różne komórki – pochodzące z różnych tkanek, „obrabiane” w różny sposób. Tymczasem pojęcie komórek macierzystych i terapii komórkami macierzystymi to bardzo szerokie zagadnienie i aby odpowiednio ocenić

poszczególne przypadki czy podmioty zajmujące się tą dziedziną, trzeba temat mocno zgłębić. My to zrobiliśmy i po analizie prawnej, technologicznej i klinicznej zbudowaliśmy profesjonalną wytwórnię farmaceutyczną. Dzięki temu polscy lekarze, którzy zajmują się pacjentami w trudnej sytuacji klinicznej mają dostęp do bezpiecznych i znacznie tańszych preparatów zawierających komórki macierzyste. Lek jest „robiony” dla każdego pacjenta indywidualnie.

W naszym interesie jest, by przepisy były przejrzyste i pozwalały na skuteczne pomaganie polskim pacjentom. Poprzemy i będziemy realizowali każde rozwiązanie, które do tego doprowadzi

Możliwość stosowania takich leków w leczeniu reguluje prawo farmaceutyczne i ustawa o zawodzie lekarza.

Podkreśla pan kwestię bezpieczeństwa, ale słyszymy wciąż o niepożądanych efektach zastosowania terapii komórkowych. Padają konkretne przykłady, dowody.

Zdarza się, że media epatują stwierdzeniami, że te terapie są bardzo ryzykowne czy nawet niebezpieczne, co naszym zdaniem stanowi bardzo duże nadużycie. Jeśli bowiem rozważy się dane ze świata naukowego, to akurat terapie komórkami mezenchymalnymi są wyjątkowo bezpieczne. Mówi pan o „dowodach”. Swego czasu jeden z naszych adwersarzy posługiwał się przykładem opisanym w jednym z pism naukowych, dotyczącym uszkodzenia wzroku trzech pacjentów w wieku 72–88 lat, którym podano podobno komórki macierzyste. Był to przykład z USA, gdzie tracącym wzrok pacjentom zaaplikowano ich własne komórki, pobrane wcześniej z ich tkanki

tłuszczowej i po krótkiej „obróbce” podano do oka. Cały proces pobrania materiału i jego aplikacji przebiegł w tzw. warunkach przyłóżkowych, samo opracowanie materiału do podania trwało 15–20 minut. Co ważne pacjenci zostali poddani terapii, bo już wcześniej tracili wzrok. A w mediach przedstawiano to tak, jakby oślepieno ludzi, którzy świetnie widzieli. Łatwo więc wpaść w uproszczenia, które się dobrze klikają w mediach.

Dla porównania nasz proces wytwarzania produktu leczniczego z komórek trwa ok. osiem tygodni, w sterylnym laboratorium, ze szczegółowym sprawdzaniem jakości na każdym etapie. Przez osiem lat wytworzyliśmy preparaty dla ok. 1,7 tys. pacjentów, działania niepożądane zgłoszono w kilku sytuacjach. Takie są fakty, spójne zresztą z publikacjami ze świata, wskazującymi, że komórki mezenchymalne są bezpieczne.

Wróćmy do początku tej rozmowy. Minister Adam Niedzielski zapowiada zmiany w obszarze nadzoru państwa nad eksperymentalnymi terapiami komórkowymi. Na czym pana zdaniem powinny one polegać?

Trudno mi mówić o czymś, co znam wyłącznie z lakonicznych wypowiedzi medialnych. Mogę za to przedstawić stanowisko PBKM. Oczywiście jeśli są patologie, to powinny zostać wypalone gorącym żelazem. Nadzór państwa powinien zostać wzmocniony, terminologia uporządkowana, a pacjenci jak najlepiej chronieni. Naukowcy pracujący nad nowymi terapiami powinni być wspierani, a lekarze szukający ratunku dla swoich pacjentów – szanowani i chronieni przez nasze państwo. Pacjent, który wyraża zgodę na eksperymentalne leczenie – każde, nie tylko komórkami – powinien mieć prawo, żeby być leczonym w Polsce. I na koniec: powinniśmy mieć alternatywę dla produktów z komórek wytwarzanych przez wielkie zagraniczne koncerny farmaceutyczne. Zwalczanie polskich firm, oferujących dobre i przy okazji wielokrotnie tańsze rozwiązania, nie wydaje się dobrym trendem. 

Skorzystaj z mechanizmu zamrożenia ceny energii na 2023 r.

Wraz z nadejściem zimy kwestia cen energii rozgrzewa myśli tysięcy Polaków. Sytuacja międzynarodowa sprawiła, że koszty energetyczne stale rosną, jednak Polacy nie są zostawieni sami sobie – interwencje polskiego rządu skutecznie chronią nas przed wzrostami cen. Jakie instrumenty wprowadził rząd i jak z nich skorzystać?

Obecny kryzys inflacyjny ma ściśle surowcowy charakter – wzrost cen surowców energetycznych na światowych rynkach, wywołany atakiem Rosji na Ukrainę, spowodował wielkie niepokoje. Także w Polsce. Sytuacji nie poprawiają alarmistyczne przekazy medialne sugerujące, jakoby Polaków czekało marznięcie we własnych domach wskutek zbyt wysokich cen energii i gazu, które mają być rzekomo dyktowane przez koncerny energetyczne.

Wysokość cen energii nie zależy jednak od kaprysu władz koncernów energetycznych czy administracji rządowej, lecz jest efektem sytuacji rynkowej oraz zewnętrznych czynników. Wojna na Ukrainie spowodowała kryzys energetyczny i surowcowy na niespotykaną skalę, zaś rosnące koszty zakupu uprawnień do emisji CO₂ (EUA) w systemie EU ETS także dołożyły swoje.

Naszczyście polski rząd zareagował na sytuację szybko i racjonalnie, kreując programy adresowane do zwykłych obywateli.

CO I DLA KOGO?

Warto wskazać na funkcjonujące już programy, takie jak Mój Prąd albo Czyste Powietrze. Inicjatywy te pozwalają uzyskać wsparcie na wymianę pieca czy instalację fotowoltaiki. A jeśli nadal z jakichś przyczyn musimy palić węglem, rząd wprowadził tzw. dodatek węglowy, dzięki któremu otrzymamy zasilenie domowego budżetu kwotą 3 tys. zł, właśnie na zakup węgla lub paliwa węglopochodnego. Od dłuższego już czasu działa też tarcza antyinflacyjna, która poprzez obniżenie stawki VAT na gaz ziemny z 23 proc. do 0 proc., na ciepło do 5 proc., a poprzez obniżenie akcyzy i stawki VAT na paliwa i energię elektryczną z 23 proc. na 5 proc., przełożyła się na znaczną obniżkę rachunków.

Obniżony VAT to nie koniec walki o obniżenie rachunków. Kolejnym rozwiązaniem jest zniesienie tzw. obligi giełdowego. Działanie to uniezależnia spółki energetyczne od cen na Towarowej Giełdzie Energii, na której ceny w przeszłości bywały już rekordowo wysokie. Dzięki zniesieniu obligi

spółki będą wreszcie mogły zawierać bezpośrednie umowy, a to z kolei przełoży się może na kolejne obniżki rachunków.

To nie jest ostatnie słowo rządu! Nie tak dawno wdrożono tzw. mechanizm maksymalnej ceny energii. Ta uzasadniona interwencja rządowa w rynek sprawia, że małe i średnie przedsiębiorstwa oraz inne uprawnione podmioty mogą złożyć oświadczenie do swojego dostawcy energii, by z tej maksymalnej ceny skorzystać. Wszystko to w ramach Tarczy Solidarnościowej.

Zgodnie z przepisami jednostki samorządu terytorialnego oraz odbiorców wrażliwych obowiązuje maksymalna stawka w wysokości 785 zł/MWh (cena ta nie zawiera podatku akcyzowego oraz podatku VAT). By skorzystać z mechanizmu ceny maksymalnej od 1 grudnia 2022 r., odbiorcy uprawnieni – z wyjątkiem odbiorców w gospodarstwie domowym – musieli złożyć do Enei oświadczenie o spełnieniu warunków pozwalających uznać ich za odbiorcę uprawnionego w terminie do 30 listopada 2022 r. Przekroczenie tego terminu powoduje, iż cena maksymalna będzie zastosowana dla odbiorcy uprawnionego od kolejnego miesiąca po miesiącu, w którym złoży on swoje oświadczenie.

Innym wsparciem jest zamrożenie cen prądu dla gospodarstw domowych. Co istotne – o ile w wypadku opisanego wcześniej limitu przedsiębiorcy muszą składać wnioski, to jak czytamy na stronie Enea: „Odbiorcy uprawnieni do zamrożenia cen energii w 2023 r. z limitem 2000 kWh nie składają żadnych dokumentów do sprzedawcy (żadnych wniosków, oświadczeń, załączników). Sprzedawca sam dokona właściwego rozliczenia zgodnie z obowiązującymi przepisami”. Oświadczenia natomiast powinny składać osoby uprawnione posiadające orzeczenie o znacznym lub umiarkowanym stopniu niepełnosprawności, których roczny limit zużycia energii wynosi do 2600 kWh oraz klienci posiadający Kartę Dużej Rodziny albo prowadzący gospodarstwo rolne lub dział specjalny produkcji rolnej, których limit zużycia energii wynosi do 3000 kWh rocznie. Więcej na stronie: www.enea.pl/zamrozenie-cen.

Arkady Saulski

**Skoki narciarskie.
Nowy sezon,
nowy trener, nowy
prezes, nowy
sponsor – znów
wygrywamy**

To do nich należy zima!

Kto by pomyślał, że w sezonie zimowym polscy skoczkowie narciarscy będą rywalizowali o uwagę kibiców z piłkarzami rozgrywającymi mistrzostwa świata? Ale spokojnie, Panowie!

Mundial kończy się już 18 grudnia i aż do wiosny to wasza dyscyplina sportu będzie znów najchętniej oglądana w polskich domach.

W czasie rozgrywanego na przełomie roku Konkursu Czterech Skoczni czy zaplanowanych na połowę stycznia zawodów w Zakopanem mundial będzie już tylko wspomnieniem

Historia polskich skoków narciarskich ostatnich lat to rzadki przykład tak umiejętnego i efektywnego wykorzystania talentu jednego człowieka do rozwoju i budowy potęgi całej dyscypliny sportu. 6 stycznia 2001 r. Adam Małysz wygrał Turniej Czterech Skoczni, a Polska dosłownie oszalała. Oszalała na punkcie skromnego, wąsatego skoczka z Wisły i dyscypliny, której przecież zdecydowanie

bliżej do tzw. sportów ekstremalnych, a o której masowym uprawianiu nie może być mowy, chociażby z powodu braku skoczni narciarskich w rejonach nizinnych. Wybuchła małyszomania, która latem nieco przycichała, by wracać z coraz większą mocą w sezonach zimowych wraz z kolejnymi sukcesami naszego orla. Już wówczas jednak radość z kolejnych medali i pucharów Małysza mąciła nieco refleksja, że polski mistrz nie ma na skoczni wsparcia kolegów z reprezentacji.

Gdy takie kraje jak Austria, Niemcy czy Norwegia nie mogły pochwalić się liderem na miarę wiślanina, to mogły jednak z powodzeniem rywalizować w konkursach drużynowych, w których

Małysz i jego słabsi koledzy z kadry nie mieli najmniejszych szans. Niejeden kibic już wówczas zastanawiał się, co to będzie, gdy Małysz pewnego dnia skończy karierę. Szybko okazało się, że były to troski zbędne, bo popularność dyscypliny wykreowana przez Adama Małysza przełożyła się na przypływ wielu młodych talentów do klubów i ośrodków szkolenia.

Znaleźli następców mistrza

Polski Związek Narciarski postanowił maksymalnie wykorzystać zjawisko małyszomanii, i zrobił to perfekcyjnie. Trzy złote medale olimpijskie Kamila Stocha, mistrzostwo świata polskiej drużyny i brązowy medal olimpijski, mistrzostwo świata Piotra Żyły, mistrzostwo świata Dawida Kubackiego, istny grad medali srebrnych i brązowych, zarówno indywidualnych, jak i drużynowych w zawodach najwyższej rangi, a do tego worek tytułów i medali w zawodach juniorskich, świadczą o tym, że polskie orły „wskoczyły” do ścisłej światowej elity. Od dawna nie musimy polegać na formie jednego zawodnika, bo jeśli Stoch będzie miał gorszy dzień, to równie dobrze może wygrać Kubacki, jeśli z kolei on zepsuje skok, to humory poprawi nam Piotrek Żyła. Mamy drużynę, mamy mistrzów, mamy uzasadnione oczekiwania, nie bójmy się o sobie myśleć, że staliśmy się w tym sporcie potęgą.

Skoki narciarskie to jednak bardzo wymagająca dyscyplina, w której o wyniku decydują detale trudno uchwytnie dla telewizyjnego kibica. Nielatwo zrozumieć, dlaczego będący w doskonałej formie zawodnik psuje jakiś skok, a na drugi dzień wygrywa zawody z gigantyczną przewagą punktową nad rywalami. To dlatego też skoki są wiecznym wyścigiem między ekipami, które starają się szachować nawzajem elementami kombinezonów, opracowywaniem nowych wiązań czy butów, zmienianiem metod treningowych. Kto wciąż nie próbuje być w skokach lepszy, kto stoi w miej-

scu, ten się cofa i w efekcie przegrywa. Dobrze wiedzą o tym w Polskim Związku Narciarskim, dlatego nasi skoczkowie dosyć często w ostatnich latach musieli przyzwyczajać się do pracy z nowym szkoleniowcem. Nagle praca opiekuna reprezentacji Polski w skokach narciarskich stała się jedną z najbardziej gorących i najtrudniejszych do utrzymania posad. Gdy tylko nasi skoczkowie przestają zdobywać medale i tytuły, trener może drżeć o posadę.

Jeden medal to za mało

Sezon zimowy 2021–2022 był pierwszym od lat tak słabym w wykonaniu polskich skoczków. Na osłodę dostaliśmy jedynie brązowy medal olimpijski Piotra Żyły wywalczony na igrzyskach w Pekinie. W pierwszej dziesiątce klasyfikacji końcowej PŚ nie było żadnego Polaka, żaden też nie wygrał przez cały sezon ani jednego konkursu. I może 25 czy 30 lat temu byśmy rozpamiętywali ten medal olimpijski jako ogromny sukces, ale to już nie te czasy, nie te oczekiwania i ambicje. Czeski trener Michal Doležal musiał pożegnać się z posadą, mimo iż lista sukcesów osiągniętych pod jego wodzą przez Polaków we wcześniejszych latach wystawia mu dobre referencje.

Nowym trenerem reprezentacji Polski został Austriak Thomas Thurnbichler. Z pozoru wybór Polskiego Związku Narciarskiego wydaje się bardzo odważny. Nowy trener to dopiero 33-latek, co oznacza, że jest młodszy od Stocha czy Żyły. Thurnbichler nie ma za sobą imponującej kariery skoczka, którą szybko zakończył i skupił się na doskonaleniu umiejętności trenerskich. Wcześniej pracował w kadrze Austrii, odpowiadając m.in. za wynajdywanie i szkolenie młodych talentów. I patrząc na liczbę młodych, nowych zawodników austriackich, którzy w ostatnich sezonach wdzierali się do światowej czołówki, widać, że swoją pracę wykonywał perfekcyjnie.

Polskich kibiców, przyzwyczajonych zwłaszcza do dostojnej twarzy Apoloniusza Tajnera, który dawał znak Małyszowi do rozpoczęcia rozbiegu chorągiewką, na początku mogła nieco zaskakiwać młoda, chłopięca twarz Austriaka, przykuwająca dodatkowo uwagę okazałymi „tunelami” w uszach. Młody trener szybko jednak dowiódł, że choć lubi eksperymentować z własnym wyglądem, to w swoim fachu nie żartuje. Pod jego wodzą Polacy po prostu zmiażdżyli rywali w letnim cyklu Grand Prix, które po raz czwarty w karierze wygrał Dawid Kubacki, trzecie miejsce zajął Kamil Stoch, czwarte Paweł Wąsek, a czołową dziesiątkę zamykał Jakub Wolny. Polska drużyna wygrała także klasyfikację zespołową i to mimo mniejszej liczby startów od reszty stawki.

Prawdziwy sprawdzian warsztatu Thurnbichlera przyjdzie jednak zimą, w czasie której głodni sukcesów polscy kibice nie będą zbyt cierpliwi. Pierwsze dwa konkursy rozegrane w Wiśle miały nietypową formułę – zawodnicy rozpędzali się w lodowych rynnach, ale lądowali na igelicie z powodu braku śniegu. Sam rozbieg, tzw. czucie skoczni, odbywał się jednak w warunkach zimowych i skończył się dla nowego trenera

i polskiej ekipy w sposób spektakularny. Obydwa konkursy wygrał Kubacki, a sam Thurnbichler ustanowił nowy rekord polskiej reprezentacji, gdyż w pierwszym konkursie prowadzeni przez niego zawodnicy uzyskali łącznie aż 199 punktów do klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Z uwagi na wspomniany piłkarski mundial na kolejne konkursy PŚ kibice musieli czekać aż trzy tygodnie. Tym razem karawana skoczków udała się na dwa konkursy pod koło podbiegunowe, do fińskiej Ruki, gdzie Polacy – choć nie wygrali – to potwierdzili, że w tym sezonie wracają do walki o czołowe lokaty w konkurach PŚ. W pierwszym konkursie Piotr Żyła zajął trzecie miejsce, a Dawid Kubacki czwarte, w niedzielę Żyła był piąty, a Kubacki szósty i tym samym utrzymał pozycję lidera w klasyfikacji generalnej. Następne konkursy odbędą się w dniach 9–11 grudnia w niemieckim Titisee-Neustadt, a my odliczamy już dni do 14 i 15 stycznia 2023 r., gdy będziemy emocjonować się rywalizacją na Wielkiej Krokwi w Zakopanem.

Orzeł niesie orły

Widać wyraźnie, że w polskich skoczków, po słabszym poprzednim sezonie, wstąpił nowy duch. Na ich kombinezonach pojawił się też nowy sponsor – po fuzji Orlenu z Lotosem to właśnie logo przedstawiające polskiego orła niesie naszych zawodników na skoczni. W tym miejscu warto wspomnieć także o niezwykle zasłużonym i efektywnym, ale wciąż kluczowym dla naszej przyszłości Narodowym Programie Rozwoju Skoków Narciarskich i Kombinacji Norweskiej „Szukamy Następców Mistrza”, który zmienił swojego sponsora tytularnego. Po fuzji Lotosu i Orlenu znany cykl zawodów dla dzieci i młodzieży Lotos Cup nazywa się teraz Orlen Cup. Jako jeden

z pierwszych z dumą poinformował o tym fakcie powołany w czerwcu na stanowisko prezesa Polskiego Związku Narciarskiego Adam Małysz. ●



Lasy Państwowe dla ochrony dzikiej fauny



*Większość polskich zwierząt kręgowych to gatunki leśne.
Sukcesem współpracy leśników, przyrodników i myśliwych jest
stan populacji największych polskich zwierząt*

Cechą prowadzonej przez Lasy Państwowe działalności gospodarczej jest łączenie funkcji gospodarczej z przyrodniczą i społeczną. W efekcie lasy są dostarczycielem surowca, miejscem rekreacji i ostoją dzikiej fauny, która w polskich warunkach ma się bardzo dobrze. Pomyślny los wielu gatunków, po okresie kiedy były skrajnie zagrożone lub bardzo nieliczne, to przykład dbałości leśników o polską przyrodę.

* * *

Bielik to nasz największy ptak drapieżny. Rozpiętość jego skrzydeł może dochodzić do 2,5 m! To on właśnie stał się pierwowzorem polskiego godła – orla białego.

Ptaki te żyją w parach, a obszar polowań (tzw. rewir łowiecki) jednej pary to ok. 100 km². Jego centrum to okazałe gniazdo, najczęściej posadowione na wytrzymałym starym drzewie. Jedno gniazdo wykorzystywane jest przez parę ptaków przez wiele lat. Największe mogą ważyć nawet tonę!

By ptaki mogły zbudować tak monumentalną konstrukcję, muszą przez lata nie niepokojone korzystać z tego samego drzewa i rewiru. I tu właśnie pojawia się rola leśników.

Jeszcze na początku XX w. bielików w Polsce było mało, bo zaledwie ok. 20 par lęgowych, a gatunek uznano za wymierający. Z tego względu w 1952 r. minister leśnictwa wydał rozporządzenie, dzięki któremu bieliki były pierwszym gatunkiem ptaków szponiastych objętym ochroną w naszym kraju. Właśnie dla bielików w latach 70. XX w. zaczęto w lasach tworzyć strefy ochronne. Ten kierunek przyniósł diametralną poprawę sytuacji herbownego ptaka.

* * *

Strefy ochronne to wyłączone z działań gospodarczych otoczenie gniazd. Bliżej gniazda całorocznie, w dalszej odległości rygory obowiązują w okresie lęgowym. Dziś ich wielkość charakteryzują przepisy ustawy o ochronie przyrody. Ale od

samego początku do dziś strefy powstają niemal wyłącznie w lasach zarządzanych przez Lasy Państwowe. Choć lasy prywatne to piąta część wszystkich lasów w Polsce, do niedawna nie było tam ani jednej (!) strefy ochrony gniazd.

– Dzięki wspólnym wysiłkom ornitologów i leśników nasz herbowny ptak jest teraz w rozkwicie liczebności, a polska populacja jest trzecia pod tym względem w Europie, po Norwegii i europejskiej części Rosji – przypomina Michał Gzowski, rzecznik Lasów Państwowych.

Obecnie, po dziesięcioleciach ochrony, liczebność bielika w Polsce szacuje się na ok. 1–1,4 tys. par.

– Ale to nie dzieje się samo. W Lasach Państwowych wytyczyliśmy ok. 3,8 tys. stref ochrony gatunków, w większości wokół gniazd ptaków. Łączna powierzchnia tych stref to 150 tys. ha – mówi Gzowski. I dodaje: – 2 proc. lasów poświęciliśmy ochronie gatunków. To powierzchnia równa połowie powierzchni wszystkich parków narodowych.

Żubr to kolejny przykład sukcesu działań ochronnych prowadzonych przy udziale leśników. Król puszczy słusznie kojarzony jest z Puszczą Białowieską i tamtejszym parkiem narodowym. Bo to okolice, gdzie te zwierzęta przetrwały najdłużej i miejsce, w którym rozpoczęła się ich restytucja po zagładzie, którą przyniosła I wojna światowa. Ale świadomość, że większość żubrów bytuje wcale nie w parku narodowym, a na terenach zarządzanych przez Lasy Państwowe, jest niewielka.

Rola Lasów Państwowych w odtworzeniu populacji żubrów jest niebagatelna. 19 września 1929 r. pierwsze żubry przywieziono do specjalnej zagrody w Puszczy Białowieskiej z ogrodu zoologicznego w Berlinie. Dały one początek odtwarzanej populacji po tym, jak żubry z Puszczy Białowieskiej wybito podczas I wojny światowej. Organizacją transportu i opieką nad zwierzętami zajęli się leśnicy.

– Restytucja flagowego gatunku polskiej fauny okazała się wielkim sukcesem. Staraniem polskich leśników i myśliwych doprowadziliśmy do tego, że dziś ma świat jest ok. 9,5 tys. tych zwierząt – mówi Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Co czwarty żyjący na świecie żubr mieszka w Polsce.

Co ciekawe, w Puszczy Białowieskiej wcale nie jest ich najwięcej. Liczniejsze od białowieskiego jest stado bieszczadzkie. Na wschodzie Polski żubry są też w Puszczy Knyszyńskiej, Rominckiej i Boreckiej. Zamieszkują Pomorze Zachodnie. A Lasy Państwowe finansują powstawanie kolejnych wolnych stad żubrów. W ostatnich latach zwierzęta te zagościły w Lasach Janowskich (pogranicze podkarpackiego i lubelskiego) i Puszczy Augustowskiej. Żubrów nie wystarczyło ot tak zawieźć i wypuścić. Każdorazowo był to kosztowny i skomplikowany proces.

– Stada wolnościowe bytują przede wszystkim na obszarach leśnych w zarządzie Lasów Państwowych. I to Lasy



Państwowe ponoszą główny ciężar opieki nad żubrami na wolności. To królewskie zwierzę to nasza duma – mówi Józef Kubica.

także inne gatunki. Ze skrajnie niskiego stanu startowały bobry, które zasiedlają dziś wszystkie leśne rzeki i potoki w kraju. Podobna sytuacja dotyczy łosi, które dziś widuje się w sąsiedztwie osiedli i miast.

– Dziś w Polsce jest ich ponad 30 tys., a tuż po wojnie doliczono się jedynie 18 sztuk w Nadleśnictwie Rajgród – przypomina Gzowski.

Liczne są nie tylko losie, lecz także dziki, sarny i jelenie – populacja tych ostatnich na polskich ziemiach jest prawdopodobnie najliczniejsza od czasów ostatniego zlodowacenia. To dlatego nie musimy się martwić o drapieżne niedźwiedzie (ponad



Lasy Państwowe prowadzą także kilka leśnych zagród, w których można podziwiać żubry. Zagroda w Mucznie to jedna z topowych atrakcji Bieszczadów. Przez tę prowadzoną przez Ośrodek Kultury Leśnej w Gołuchowie przewinęły się setki szkolnych wycieczek z Wielkopolski.

Żubrami dzielimy się z Europą. W ostatnich latach w ramach programu, któremu wsparcia finansowego udzielały Lasy Państwowe, dziesiątki żubrów pojechały za granicę, by tworzyć nowe stada w Bułgarii, Serbii czy Hiszpanii.

Spektakularne sukcesy, mierzone liczebnością populacji, odnoszą

300 osobników w kraju), wilki czy coraz częściej spotykane rysie, dla których duży roślinożerca są pokarmem.

– A lasy, których nie ubywa, a przeciwnie – przyrasta, są dla nich schronieniem – kwituje Gzowski.



SZYMON KUŚMIDER

AKTOR

Niepowtarzalny klimat

Są miejsca w Krakowie absolutnie magiczne, o których niewiele osób wie, np. kościół reformatów, gdzie znajduje się krypta, w której za sprawą panującego mikroklimatu dokonała się naturalna mumifikacja zwłok. Leżą tu żołnierze napoleońscy, mnisi... budzący refleksję nad przemijaniem, które nie dla wszystkich odbywa się jednakowo.

Lubię Wawel i komnatę z czakramem, jej tajemną, magnetyczną siłę. Ciągnie mnie na Skalkę. Do tamtejszego kościoła chodzi się spacerkiem, ale są też bardziej wymagające miejsca, np. kopiec Piłsudskiego – najwyższy z pięciu istniejących w Krakowie i największy w Polsce, usypany na szczycie Sowińca. Żeby się na niego dostać, trzeba przejść kawał drogi. Nie to co na kopiec Kościuszki, gdzie chodzą wszyscy. Podobnie dłuższa trasa prowadzi m.in. na Zakamycze, gdzie jest obserwatorium astronomiczne.

Neopodał znajduje się uroczysko Skalki Twardowskiego, skąd rozciąga się przepiękna panorama miasta. Lubię też zoo położone na terenie Lasu Wolskiego, na wzgórzu Pustelnik. Czasem chodziliśmy tam z kolegami-aktorami, szukając inspiracji do budowanych ról.

Bardzo ważny jest też dla mnie krakowski Stary Teatr, gdzie spędziłem 15 cudownych lat. Kiedy trafiam w jego okolice, serce się rwie.

W Warszawie zdarza mi się odkrywać na nowo miejsca obowiązkowo odwiedzane przez każdego, kto do stolicy przyjeżdża. Okazją, by spojrzeć z zupełnie nowej perspektywy na Łazienki Królewskie, było widowisko teatralne „Noc listopadowa”, którego premiera odbyła się 11 listopada. Zagrałem w nim Wielkiego Księcia.

Było to dotknięcie czegoś, o czym Wyśniński napisał wiele lat temu, a dzisiajgo



słowami mogliśmy znów opowiedzieć tę historię i to w miejscach, w których się rozegrała. Zupełnie inne doświadczenie niż wystawianie „Nocy listopadowej” na teatralnych deskach.

Oczywiście nieraz byłem w Łazienkach. Marzy mi się zagranie w Amfiteatrze w „Paradach” Potockiego. Zabrzmiałaby tu, jak sądzę, znakomicie. Miałem też szczęście wystąpić w Teatrze Stanisławowskim. Fantastyczne wrażenie. Przepiękna, klimatyczna, kameralna przestrzeń, wyglądająca po odrestaurowaniu, jak szlachetne puzderko... Niewielka. Chociaż graliśmy w jeszcze mniejszej – w Teatrze Starym w Lublinie. W każdym z tych miejsc niezwykle ważny był ich własny, niepowtarzalny klimat. **Notowała Jolanta Gajda-Zadworna**

Są w Krakowie przepiękne przestrzenie, mniej znane, w których można wypocząć i odetchnąć całkiem innym powietrzem. Uwielbiam Zalew Zakrzówek leżący niemal w sercu Krakowa – niezwykle malownicze i głębokie, zalane wodą dawne wapienne wyrobisko. Spotkać tu można żywiącą się owadami roślinę – rosiczkę. Zakrzówek nie jest jeszcze zdeptany przez tury-

SŁODKO-SŁONY

3 × C



ANNA MONICKA

Córka ostatnio pochłonięta nauką, zatoneła w starożytności. Bez specjalnego entuzjazmu czyta o dokonaniach Mezopotamii czy osiągnięciach państwa faraonów. Gdy oglądam jej podręczniki, napakowane pod dekiel mądrościami, coraz mniej się dziwię, że dzieciak wraca ze szkoły i pada umęczony do łóżka, wstaje późnym wieczorem i zabiera się za kucie dopiero wtedy, gdy trochę odeśpi. Ja swoje egzaminy dawno już pozdawałam i teraz mogę szperać w książkach z ciekawości, ona takiego luksusu nie ma. Więc kiedy ostatnio spytałam ją, czy wie, co jedli budowniczowie piramid, spojrzała na mnie z obrzydzeniem. A szkoda, bo ich dieta, chociaż niewyszukana i tania, pozwalała harować od świtu do nocy. I chociaż wykombinowali, jak przenosić bloki piaskowca i układać je jedno na drugim, to musieli mieć też nieliczną krzepę, przynajmniej tak długo, jak żyli.

Co trzymało ich przy życiu? Wykopaliska dowodzą, że łapali sumy i okonie nilowe, znali piwo oraz moc warzyw, takich jak czosnek, cebula czy chrzan. Wiedzieli, że nie tylko odżywiają, lecz także mają działanie bakteriobójcze i przeciwskorbutowe, że zwalczają pasożyty. Autorzy bardzo ciekawej książki „Kuchnia Biblijna” (wyd. Pustelnia.pl) René Husson, Nathalie Galmiche i Philippe Galmiche piszą, że budowniczowie piramid, kamieniarze i rolnicy w Gizie jako posiłek regenerujący siły dostawali czarną rzepę i chrzan – naturalne antybiotyki, bogate w witaminy B i C, a czosnek w tamtych czasach traktowano jako pełnoprawne warzywo, a nie tylko dodatek do sosu.

Pośród 110 przepisów przygotowanych na podstawie dawnych receptur ja, miłośniczka zup i czosnku, zaczęłam eksperymenty od bulionu. Jest smaczny, tani i można nim podreperować zdrowie w czasie paskudnej zimy. W litrze osolonej wody gotujemy przez 15 minut cztery obrane ząbki czosnku i cztery nieobrane, nacięte u podstawy, cienko pokrojony por (białą część), gałązkę tymianku, liść laurowy, pieprz. Przecedzamy, odciskamy, odkładamy nieobrane czosnek. Ubijamy z odrobiną wywaru jajko i dodajemy do zupy. Do czterech miseczek wkładamy po kromce chleba, podpieczonego na oliwie chleba, posmarowanego wyciśniętym z łupin czosnkiem. Zalewamy i gotowe. 

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Przypłocie i przychacie



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wraz z ochroną przyrody chronimy bogactwo kultury i dawnych zwyczajów. Powstanie wielu cennych siedlisk przyrodniczych, będących miejscem bytowania rzadkich gatunków, związane jest z działalnością i gospodarką człowieka na jej wczesnym, ekstensywnym etapie. W ten sposób pojawiły się pastwiska, łąki, na których rosną storczyki i podejrzony, polują dzierzby, swoje nory kopią susły i chomiki, a wścieklice, krwiściąg i modraszki mogą rozwijać skomplikowane relacje.

Siedliska przyrodnicze to też dawne widoki, które teraz uczymy się cenić. Czy słowa „przydroże”, „przypłocie” i „przychacie” – siedliska antropogeniczne, porastane przez zbiorowiska odłogów pojawiających się w niekoszonych zakątkach gospodarstw – nie kojarzą się z wsią, ryczeniem krów, pianiem koguta i drewnianymi chatami?

Nazwy siedlisk przyrodniczych to też bogactwo działającego na wyobraźnię języka, ukryte w rozporządzeniach z zakresu ochrony przyrody.

„Blotniste śródłądowe solniska z solirodem” to niewielkie, podmokłe miejsca zasilane przez słone wysięki, dla których charakterystyczną rośliną jest soliród zielny (*Salicornia europaea*).

„Kidzina na brzegu morskim” – niepozorne na pierwszy rzut oka szczątki podmorskich roślin zaścielające plażę, niezbędne dla przetrwania drobnych skorupiaków – zmierzaków buszujących w nich pod osłoną nocy – i miejsce żerowania wielu ptaków siewkowatych, zwłaszcza podczas przelotów.

„Jeziora lobeliowe” występują głównie na Pomorzu. Ich ubogie w pokarm wody są idealne dla lobelii jeziornej, opisanej przez Mickiewicza w „Świtezi” (i rzeczywiście tam występującej), a także dla rzadkiej elismy, poryblinu i czermieni.

„Obniżenia dolinkowe i pła mszarne” wykształcają się na zabagnionych kopułach torfowisk. Pło to struktura niezmiernie ciekawa, tworzona przez kożuch bagiennych roślin, w tym wyglądających jak kilkucentymetrowej wysokości palmy mchów torfowców – tworzy on zdradliwe podłoże, w którym pod cienką warstwą roślin rozpościera się przepastny odmet; czasem pło formuje pływające wyspy.

Ziolorośla, piargi, gołoborza, kamieńce, podwodne łąki ramienic, wysokogórskie borówczyska bażynowe, wyleżyska śnieżne, zbiorowiska włosieniczników, zmiennowilgotne łąki trzęślicowe nie wyczerpują tej listy, dopiero ją zaczynają. 

Mój JP2

Nareszcie niektóre wysokie gremia kościelne i organizacje świeckie zaczęły występować w obronie Jana Pawła II. Brzmi to paradoksalnie, bo jak w ogóle można mówić o obronie JP2 w jego umiłowanej Ojczyźnie, którą wyzwolił z komunizmu, a nas wszystkich okłamanych, wystraszonych, sponiewieranych, podniósł z kolan. Może należałoby powiedzieć, nie w obronie, a w imieniu JP2. Sam już mówić nie może, a przecież ci którzy oskarżają i szkalują zapewne nawet żadnej homilii Jana Pawła II nie przeczytali, nie mówiąc już o rozprawach naukowych, 14 encyklikach, książkach i publikacjach, wykładach uniwersyteckich, tekstach wygłaszanych podczas 124 podróży do krajów całego świata.

Świetnym obrazem tego, co wyprawia tzw. totalna opozycja, jest wiersz Kazimierza Wierzyńskiego napisany w najcięższych latach PRL: „Co z Tobą Polsko zrobiły jakieś siły wraże / Depczą Ojczyzny ołtarze / i wielkich synów od Boga nam danych / Słychać chichot hołoty bez serca i mózgu / rodem z czerwonej zarazy”.

Gdy pracowałam nad filmem dokumentalnym „Papież Polak” przez siedem lat czytałam wszystkie dostępne książki i publikacje Karola Wojtyły, a potem JP2, szukałam w tzw. odrzutach archiwalnych nagrań z pierwszej wizyty papieża Polaka w Ojczyźnie z 1979 r., tej niezapomnianej, przełomowej i tak bardzo niewygodnej dla tamtej władzy. Bo części nagrań – szczególnie spotkań z młodzieżą – nie pokazywano, zalegały w kątach przeznaczone na śmietnik. Ogromne pudła szerokiej taśmy filmowej nie były opisane, był tylko rok nagrania: 1979. Dlatego od razu zakładałam, że może to być coś związanego z pierwszą wizytą JP2 w Polsce. Grzecznie prosiłam fachowców, by pozwolili zobaczyć mi, co na tych taśmach jest. Nie miałam na to żadnego papierka, żadnego pozwolenia z jakiegokolwiek redakcji, więc mogłam tylko liczyć, że zadziała mój uśmiech i uniżona prośba.

Gdy zaczęliśmy oglądać te nagrania, zdumienie i zachwyć przekraczały nasze wyobrażenia, coraz więcej osób przychodziło z sąsiednich montażowni i patrzyli oniemiemi – do późnych godzin nocnych, niekończące się spotkania z młodzieżą w Gnieźnie, na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, na Skalce w Krakowie, śpiewy, wybuchy płaczu radości, piękne mądre odważne słowa, radość niepojęta i ten silny, cudowny nasz rodak. Papież Polak i obok stojący szczęśliwy Prymas Tysiąclecia, kardynał Stefan Wyszyński!

„Czyż Chrystus tego nie chce, czyż Duch Święty tego nie rozrządza, ażeby ten Papież Polak, Papież Słowianin właśnie teraz odsłonił duchową jedność chrześcijańskiej Europy! Na którą składają się dwie wielkie tradycje – zachodu i wschodu. Syn narodu polskiego przychodzi, aby dać świadectwo Chrystusowi żyjącemu w duszy jego własnego narodu, Chrystusowi żyjącemu w duszach narodów, które kiedyś przyjęły Go jako Drogę, Prawdę i Życie. Ten Papież, świadek Chrystusa, miłośnik Jego Krzyża i Zmartwychwstania przychodzi, aby wobec całego Kościoła Eu-



**Alina
Czerniakowska**

ropy i świata mówić o tych często zapomnianych narodach i ludach, przychodzi wołać wołaniem wielkim i ukazywać te drogi, które na różny sposób prowadzą z powrotem w stronę wiecznika Zielonych Świąt, w stronę Krzyża i Zmartwychwstania. Przychodzi wszystkie te narody i ludy, wraz ze swoim własnym, przygarnąć do serca Kościoła, do serca Matki Kościoła, której ufa bezgranicznie”. Nawet ci będący daleko od Boga, wybuchali płaczem, bo nareszcie mówił do nas ktoś, kto naprawdę nas kochał, to się czuło w każdym słowie, geście, w jego pięknej twarzy.

Postanowiłam w filmie oprzeć się na dwóch wizytach w Polsce – tej z 1979 r. w PRL i tej z 1991 r. wydawałoby się w wolnej Polsce. Jak się okazało papież w wygłoszonych wówczas homiliach doskonale przewidział ciąg dalszy tej naszej III RP. Był smutny, często podnosił głos i przejmująco wołał: „To jest moja matka ta ziemia! To jest moja matka ta Ojczyzna! To są moi bracia i siostry! I zrozumcie, wy wszyscy, którzy lekkomyślnie podchodzicie do tych spraw, zrozumcie, że te sprawy nie mogą mnie nie obchodzić, nie mogą mnie nie boleć! Was też powinny boleć! Ziemia polska naznaczona jest w sposób szczególny obecnością Matki Chrystusa. Niech się odrodzi pokolenie braci i siostr Syna Bożego – syna Maryi. Niech się odrodzi w Bogu ludzkie ojcostwo i polska rodzina, i ludzkie macierzyństwo, niech się odrodzi rodzina, szczególnie miejsce Przymierza Boga z ludźmi. Łatwo jest zniszczyć, trudniej odbudować. Zbyt długo niszczone! Trzeba intensywnie odbudowywać! Nie można dalej lekkomyślnie niszczyć!”.

W 1991 r. miałam już ekipę filmową i przy dużym szczęściu mogłam w niektórych miejscach być w pobliżu Jana Pawła II. Nigdy nie zapomnę, jak odprawiał mszę – twarz, oczy – podnosił Hostię do góry i wypowiadał słowa przeistoczenia, stałam tuż obok ukryta za filarem, tego się nie da opisać.

Gdy szukam zrozumienia głębokiej nauki zawartej w książkach prof. Karola Wojtyły, później JP2, zawsze opieram się na twórczości wybitnej uczoney, prof. s. Zofii Zdybickiej, studentki przyszłego papieża: „Interesował go człowiek, był nim zafascynowany i chciał przede wszystkim pomóc mu odkryć prawdę o tym, kim jest, skąd pochodzi, po co żyje i co ma czynić, żeby spełnić człowiecze zadanie, na tym budował swoją filozofię osoby. Stworzył antropologię filozoficzną, dopełniając objawieniem antropologię chrześcijańską, która dopiero odpowiada w pełni na pytanie – kim jest człowiek. Wyraził to w swojej encyklice »Fides et ratio«, którą Benedykt XVI nazwał Wielką Encykliką”. Całość głębokich rozważań naukowych na temat JP2 prof. Zdybicka podsumowuje krótko: „To, czego dokonał Ojciec Święty Jan Paweł II można porównać z dokonaniem św. Tomasza z Akwinu albo św. Augustyna. Wojtyła to geniusz intelektualny, geniusz moralny i geniusz świętości, a przy tym był tak zwyczajnym człowiekiem pełnym pokory i heroicznej miłości do bliźniego”.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Paliwo waginalne

Monika Strzępka ma żal. Prezydent Warszawy powołał ją na dyrektorkę Teatru Dramatycznego, a wojewoda odwołał. Nóż, skandal, cenzura i zamordyzm reżimu kaczałego! Toż to jawny gwałt na wolności artystycznej ze skutkiem śmiertelnym dla naszej kultury zbiorowej, żeby Strzępkę, reżyserkę, z takim dorobkiem posunąć... – zagrzemiały media okologazeciane i tokujące – jak można marnować taki talent...?! Bo Strzępka go ma i dorobek też. Że tylko z maturą? A czy to jej wina, że mimo parokrotnych podejść nie przyjęli jej do szkoły teatralnej? Prawdziwy talent obroni się i bez szkoły. Już na początku urzędowania w teatrze wykazała, że go ma, gdy w barwnym orszaku wniesiono i ustawiono w foyer tego przybytku okazały pomnik złotej waginy – po polsku wedle słownika: pipki, cipki, dziurki, szparki, norki itd.

Nie ma się co śmiać, sprawa jest poważna. Wojewoda, któremu Strzępka ani jej pomnik się nie spodobały, „poniżył kobiety”, bo wagina to „wyraz uznania dla kobiecości, tajemnicy życia, seksualności i przyjemności, symbol wartości, które wyznajemy i którymi będziemy się kierować, transformując Teatr Dramatyczny w feministyczną instytucję kultury”, zapowiadała usunięta dyrektorka razem z cipką.

Kiepsko z tą naszą kulturą. W Meksyku na cmentarzu w Misanla zamiast krzyża postawiono na grobie pewnej zmarłej

ponad półtorametrowego fallusa – po naszymu wedle słownika: fiuta, siusiaka, pisiorka, ptaka itd. I co? I nic, fallus o masie 270 kg jak stanął, tak stoi! A jaką ma wagę symboliczną, zmarła po prostu kochała życie i czerpała z niego radość. A Strzępka czerpać nie może.

Albo weźmy Francję – w telewizyjnym show „Mam talent” wystąpiła czterdziestolatka, która przyjąwszy na scenie pozycję do góry nogami, wetknęła sobie flet w ... (patrz wyrazy bliskoznaczne do wagi) i odegrała utwór „Panie Janie”, po francusku „Frère Jacques”... I co? I nic! Wprawdzie nie przeszła do następnego etapu, bo wśród jurorów znalazło się dwoje takich, którzy byli przeciwi, ale szeroki rozgłos już zdobyła, z wyjątkiem brzdąców do dziesiątego roku życia, jako że podczas emisji „Mam talent” zastrzeżono, że to nie dla nich.

Utalentowana Strzępka nie zdążyła zagrać, ale jest szansa, że jeszcze zagra, bo warszawski magistrat chce zaskarżyć w sądzie jej wygnanie z teatru. „Przyszłością nie są smutni panowie w garniturach, tylko ruchy społeczne, środowiska kobiece, młode osoby LGBT+, tam jest paliwo do zmiany świata”, rzuciła na odchodne pani Strzępka. Jasne?



**Piotr
Cywiński**

Rewelacja w rytmie tanga

Owacyjne przyjęcie miał koncert tang Jerzego Maksymiuka w radiowym Studiu im. Witolda Lutosławskiego. Jakże potrzeba dziś ludziom takiej muzyki, zdolnej nie tylko bawić, ale też wzruszać i kocić.

Maestro Maksymiuk to ikona muzyki poważnej, ceniony w świecie dyrygent, dyrektor słynnych orkiestr w kraju i za granicą, nagradzany pianista, kreator wydarzeń artystycznych. Kompozytor muzyki współczesnej i filmowej, m.in. twórca ścieżki dźwiękowej do „Sanatorium pod klepsydrą” Wojciecha Jerzego Hasa. Człowiek z fantazją, otwarty na nowe wyzwania. Zachęcony przez Sebastiana Wypycha, kontrabasistę klasycznego, ale i entuzjastę klimatów spod znaku Astora Piazzoli, napisał kilkanaście premierowych utworów na I Warszawski Festiwal Tanga i Muzyki Retro im. Władysława Szpilmana.

Koncert „Maksymiuk Tango Retro Nuevo”, zorganizowany przez Fundację Kultur i Dziedzictwo ponad Granicami, dzięki grantowi Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca z pro-



**Adam
Ciesielski**



„Maksymiuk Tango Retro Nuevo”,
w ramach I Warszawskiego Festiwalu Tanga
i Muzyki Retro im. Władysława Szpilmana,
wyk. Gang Tango, Lala Czaplicka,
Nev Vibes String Quartet,
19.11.2022 r., Studio im. Lutosławskiego

gramu zamówień kompozytorskich oraz patronatowi Programu I Polskiego Radia, okazał się sensacją. Repertuar obejmował zarówno utwory zbliżone do nurtu argentyńskiego tango nuevo, jak i numery w typie międzywojennych polskich hitów, oraz ballady czy walce z delikatnymi tylko motywami tanga. Moc atrakcji: takie kawałki jak „Preludium”, „Piękne są białe róże” czy „Wiatr z Madery” to wręcz gotowe przeboje na estradę, płytę czy ekran. Ich walory idealnie eksponuje zespół Gang Tango, w którym obok Sebastiana Wypycha grają skrzypek Grzegorz Lalek, pianista Mirosław Feldgebel oraz bandoneonista Piotr Kopietz. Kilka utworów opatrzonych słowami (ich autorką jest Ewa Piasecka, żona maestro Maksymiuka) ze znanstwem interpretuje Lala Czaplicka, córka Jerzego Czaplickiego, barytona operowego, który w młodości śpiewał tanga w „Adrii”.

Wypełniona widownia reagowała entuzjastycznie. Dobry prognostyk dla inicjatorów Warszawskiego Festiwalu Tanga i Muzyki Retro, którzy po obecnej premierze już zapowiadają ciąg dalszy.

PRZEZ ŚWIETLIK

Papierowe Patrioty



**Wiktor
Świetlik**

Historia niemieckich antyrakiet, które miała rzekomo dostać Polska, ale nie chciała, pokazuje, jak broniono by Ukrainy, gdyby odpowiedzialność za to spadła na Unię Europejską, a nie USA. Wsparcie dla Kijowa realizowałoby się w formie deklaracji i wizerunkowych złotych strzałów

Robert Kagan, znakomity amerykański analityk, napisał kiedyś małą, ale bardzo sugestywną książkę zatytułowaną „Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus”. Pisał oczywiście o starej Europie, przede wszystkim Francji i Niemczech. Uważam zresztą to porównanie za krzywdzące dla kobiet. Zachodnia Europa, owszem, może i zniechęcała jest, ale głównym problemem jest to, że wszystko zamieniło się w niej w PR, narracje, szachy wizerunkowe, manipulacje. Bez względu na to, czy jest to rzekoma walka o praworządność w Warszawie i Budapeszcie, czy powstrzymywanie rosyjskiej inwazji.

Uczciwie mówiąc, nie wiem, czy rząd dobrze zrobił, że tych rakiet nie wziął, po tym jak Niemcy ogłosiły, że nie mogą ich rozmieścić na Ukrainie. Przynajmniej byśmy powiedzieli „sprawdzam”, ale traktując niemiecki dar jako coś, czego nie uwzględniamy w naszej strategii obronnej, bo nie wiadomo czy będzie i zadziała. Bardzo jestem ciekaw, ile na-

szym zachodnim sąsiadom zajęłoby dostarczenie tych systemów i jakimi warunkami byłoby to obarczone.

Nie zmienia to faktu, że historia z Patriotami dobrze pokazuje, jak wygląda niemiecka i zachodnia polityka w sprawie Ukrainy, a także pomocy naszemu krajowi. W obliczu kryzysu z uchodźcami zostaliśmy sami, pomimo obłudnych gestów wsparcia płynących „ze wszystkich stolic”. Niemiecką pomoc dla Ukrainy symbolizują hełmy, które nie mogły dojechać, a wsparcie geopolityczne – apele o zawieszenie broni w momencie, kiedy Rosjanom udało się zająć największą część Ukrainy. To nieprawda, że baterie rakiet Patriot nie mogą jechać na Ukrainę, bo trzeba by szkolić Ukraińców w ich obsłudze, co byłoby złamaniem czegoś tam. Ukraińcy byli szkoleni i w obsłudze tureckich dronów, i polskich armatohaubic. To tylko gra deklaracji obliczona na to, by się pokazać albo namieszać i na naszej scenie politycznej, i medialnej. Tyle że Władimir Putin już jakoś nie chce się bawić tylko w ten sport. On wojny nie udaje, tylko prowadzi ją naprawdę. I to sprawia, że gdyby na Unii spoczął pełen obowiązek wspierania walczącej Ukrainy, zgubiona byłaby pewnie nie tylko ona, ale i być może my.

Pokłosie

Kwota 1,5 bln dol. reparacji wojennych – należąca nam od Niemiec, spadkobierców III Rzeszy – zwróciła uwagę całego świata na ogrom zbrodni i rabunków dokonanych przez Herrenvolk na Polakach i Polsce. Ludzie Zachodu, wychowywani na kłamliwej narracji o enigmatycznych „nazistach” mordujących Żydów w „polskich obozach koncentracyjnych”, poczuli dysonans poznawczy. Pojawiło się oczywiste pytanie: jakież to krzywdy podczas II wojny światowej Niemcy wyrządzili Polakom, że ci domagają się od nich tak astronomicznych odszkodowań?! Co bardziej dociekliwi zaczęli szukać prawdy na własną rękę. Również obywatele niemieccy.

Kilka dni temu zaskoczył mnie niespodziewany e-mail mieszkającego gdzieś w Meklemburgii wnuka SS-mana. Mężczyzna ustalił, że brat jego dziadka (również SS-man) wysiedlał w 1941 r. moją rodzinę. Mój dziadek Teofil (41 lat) przypłacił to wysiedlenie życiem. Ojciec Stanisław (12 lat) ha-



**Lech
Makowiecki**

rował u bauera do końca wojny. Potomek sprawców ich nieszczęść trafił przypadkiem na mój wspominkowy wpis w sieci, skojarzył miejscowości i nazwiska. Poniżej fragmenty jego przemyśleń (cytuje bez korekty): „Witaj Lechu, czasami wstydzę się działań niektórych naszych przodków. [...] Wiem, co działo się w powiecie rypińskim w czasie wojny i co zrobiono Polakom i Żydom. Z historii dowiaduję się, że wystarczy kilka, by zarażać cały naród. Bardzo niewielu zbuntowało się przeciwko temu, chociaż często mogli to zrobić. Nawet jeśli ja, jako następne pokolenie, nie mam z tym nic wspólnego, to jestem w szoku i nie mogę tego zrozumieć. Uważam, że w Polsce ludzie mogą mieć wszelkie powody do urazy i nienawiści do Niemców. Ale co by nam to dzisiaj przyniosło? To nie cofa rzeczy. [...] Chcę, by nic nie zostało zapomniane. Nawet kiedy boli. Pozdrowienia z Niemiec [imię i nazwisko]”. Wzruszyłem się. Wymieniliśmy kilka e-maili, wysłałem mu informacje, o które prosił...

Michał Korsun prezentuje:
Nie-Szczesny karny Messiego



Wycinki z przeszłości

Gdy koszule tatusia nie nadają się już do użytku, można z nich wykroić niejedno dla dzieci” – przypominała czytelnikom

w 1933 r. redakcja magazynu „Dziecko i Matka”. I dalej: „Nie tylko uszyje się z nich koszule albo fartuszki, materiał wystarczy nawet na pyjamę dla dziecka do 2 lat, majteczki ze staniczkiem albo na kombinajkę dla chłopców nieco większych. Wszystko zależy od umiejętnego przyłożenia kroju”.

Zamieszczono też konkretne propozycje wykrojów, podkreślając, by omijać miejsca najbardziej zwykle wytarte, czyli na piersiach, plecach i u góry rękawów.

Kolejny to dowód, jak zaradne były poprzednie pokolenia. Ale przecież jeszcze niedawno, w okresie PRL, podobnie o zużytych rzeczach myślała każda matka. Dziś nie jest to niezbędne, ale jeśli ktoś potrafi, zawsze będzie sporo grosza do przodu.

(mk)



Ta piękna miłość

Historię tej miłości można by strawestować tytułem piwnicznej piosenki „Ta nasza młodość, ten szczęsny czas”. Krzysztof Kamil Baczyński, jego narzeczoną, potem żoną, Barbarą (Drapczyńską). I ten straszny czas. To trwało dwa lata. W okupowanej Warszawie. Wbrew temu okrutnemu czasowi, wbrew niechęci najbliższej osoby, czyli matki Krzysztofa. Wbrew wszelkim przeciwnościom. Narzeczeństwo, ślub, wiersze... Siła tego uczucia, wzajemność fascynacji nie wymaga komentarza. Krzysztof zginął z początkiem Powstania Warszawskiego w sierpniu, Barbara we wrześniu 1944 r. Prawdopodobnie nie dowiedziała się, że Krzysztof zginął. Krzysztof nie dowiedział się, że był już ojcem ich dziecka...



Leszek Długosz

Krzysztof Kamil Baczyński (1921–1944) „Biała magia”

*Stojąc przed lustrem ciszę
Barbara z rękami u włosów
nalewa w szklane ciało
srebrne kropelki glosu.
I wtedy jak dżban – światłem
zapełnia się i szkląca
przejmuje w siebie gwiazdy
i biały pył miesiąca.
Przez ciała drżący pryzmat
w muzyce białych iskieł
łasice się prześlizną
jak snu puszyste listki.
Oszronią się w nim niedźwiedzie,
jasne od gwiazd polarnych,
i myszy się strumień przewiezie
płynąc lawiną gwarłą.
Aż napętniona mlecznie,
w sen się powoli zapadnie,
a czas melodyjnie osiadzie
kaskadą blasku na dnie.
Więc ma Barbara srebrne ciało.
W nim prężą się miękko
biała łasica milczenia
pod niewidzialną ręką*

4 I 1942 r. w nocy

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ

Anty-PiS z rozpędu

Opozycji gdzieś umyka real. To już nie jest tylko zamknięcie się w swojej bańce informacyjnej. To odwrócenie się od faktów, a przy okazji od dobra wspólnego Polaków



Kawa na lawę – to program polityczny prowadzony przez Konrada Piaseckiego. Podczas tej audycji posłanka obecnie ugrupowania Szymona Hołowni, wcześniej ugrupowania Donalda Tuska, pani dr (ekonomii) Joanna Mucha powiedziała, że „Jarosław Kaczyński nie chce bronić polskiej ziemi”. Kontekstem dla tego stwierdzenia był toczony w telewizyjnym studio spór o to, jak władze Rzeczypospolitej powinny odnieść się do zgłoszonej przez Niemcy oferty umieszczenia amerykańskich rakiet Patriot na terenie Polski dla wzmocnienia naszej obrony przeciwlotniczej w obliczu rosyjskiego zagrożenia.

Posłanka sięgnęła też po motyw zdrady, obecny w wypowiedzi Hołowni z Twittera: „Działanie Kaczyńskiego wobec niemieckiej propozycji #Patriot to zdrada stanu, to zbrodnia przeciwko bezpieczeństwu państwa. Niech to dotrze do wyborców PiS, żeby zrozumieli, że dla tego człowieka od ich bezpieczeństwa ważniejsze są jego chore obsesje. Powaga tej sytuacji poraża”.

Ale Joanna Mucha na sprawie rozmieszczenia rakiet nie poprzestała, kawę na lawę lała bez umiaru: „Na naszych oczach bankrutuje największa

narracyjna opowieść PiS o tym, że oni są po to, żeby nas zbroid i żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Otóż nie. Wydaje się, że to końcówka wojny na Ukrainie, ale tak nie musi być. Za miesiąc, za dwa, za trzy miesiące nie wiemy, czy nie nastąpi eskalacja. Wtedy nie będziemy rozmawiali o tym, żeby chronić Polskę przed jakąś spadającą rakieta, która się gdzieś zapłatała, ale być może będziemy rozmawiali o tym, żeby chronić Polskę przed zwykłym atakiem. [...] Co ja mam wtedy powiedzieć mieszkańcom Lubelszczyzny, którym Jarosław Kaczyński odmówił obrony przeciwraкетowej? Co mam im powiedzieć? Że oni będą zagrożeni, że mają się prawo bać, dlatego że Jarosław Kaczyński się boi Niemców?”.

Już samo takie rozumowanie i „logika” są dość irytujące, a posłanka Mucha nie jest w tym odosobniona. Mój instynkt socjologiczny wskazuje na obecność w tych słowach skryptów, schematów myślowych jej formacji politycznej.

Choroba anty-PiS, z której totalna opozycja od lat nie chce się wyleczyć, powoduje, że nie tylko krytyka rządu toczy się bez umiaru, lecz także dzieje się coś o wiele ważniejszego. Opozycji po prostu gdzieś umyka *real*. To już nie jest tylko zamknięcie się w swojej bańce informacyjnej. To odwrócenie się od faktów, a przy okazji – niektórzy tego chyba nie zauważają – od dobra wspólnego Polaków.

Ugrupowanie Hołowni, które miało być tą zbawczą, gdyż rozsądną alternatywą dla polskiej polityki w kleszczach PO-PiS, nie oparło się grawitacji ku

totalnej opozycji i zamiast wyważonej postawy stanęło z nią ramie w ramie.

Stwierdzenie, że „największa narracyjna opowieść PiS” (o zapewnianiu Polsce bezpieczeństwa) „bankrutuje na naszych oczach”, może być nośne w swej metaforze, ale nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To za rządów PiS zwiększono wydatki na obronność i utworzono – kilka lat temu tak krytykowane przez opozycję – Wojska Obrony Terytorialnej (wojna na Ukrainie pokazała, jak ważne bywają tego typu formacje).

To rządy PiS, partii kierowanej przez Kaczyńskiego, sprawiły, że Polska obrobiła granicę z Białorusią. Gdy rok temu nasiliła się wojna hybrydowa Rosji za pomocą szturmowania granicy przez migrantów, którzy w większości udawali uchodźców, opozycja krytykowała polskie władze za rzekomo nadmierowe reagowanie, za nieprzestrzeganie praw człowieka i za wiele strasznych, najokropniejszych rzeczy, których władza jakoby miała się dopuszczać. A ile hysterii wywołało wprowadzenie stanu wyjątkowego na terenach przygranicznych, koncepcja budowy muru na granicy polsko-białoruskiej. I jak starano się zniszczyć wizerunek Straży Granicznej.

Dziś na kanwie propozycji niemieckiej nagle posłowie opozycji poważnie patrzą w przyszłość i nie boją się kreślić najczarniejszych scenariuszy. Nagle zagrożenie bezpieczeństwa stało się poważne tak bardzo, że trzeba „chronić Polskę przed zwykłym atakiem”. A gdzie rok temu była ta wyobraźnia i troska o bezpieczeństwo?

Katarzyna Zybertowicz

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW



Człowiek Wolności

tygodnika **SIECI**

X EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz dziesiąty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2021

Prezes PiS
Jarosław Kaczyński



2020

Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek



2019

Premier
Mateusz Morawiecki



2018

Wicepremier
prof. Piotr Gliński



2017

Prezes Trybunału
Konstytucyjnego
Julia Przyłębska



2016

Prezes PiS
Jarosław Kaczyński



2015

Prezydent RP
Andrzej Duda



2014

Poeta i pisarz
Jarosław Marek
Rymkiewicz



2013

Historyk z IPN
prof. Krzysztof
Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2022**. Prosimy wypełnić kupon i przesać go do 16 grudnia 2022 r. na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt”. Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek **W**olności 2022 tygodnika **SIECI**

imię i nazwisko kandydata

uzasadnienie



Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2022 tygodnika Sieci” dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

* pole obowiązkowe

Partnerzy plebiscytu



eprasa.pl 845864e13d



Zrób bliskim prezent na święta...

Radość potrwa cały rok!

ROCZNA PRENUMERATA

SIECI + **wSIECI
HISTORII**



37% TANIEJ

+ 3 KSIĄŻKI w prezencie

ROCZNA PRENUMERATA **SIECI**



33% TANIEJ

+ KSIĄŻKA w prezencie



Wejdź na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

i zamów już dziś dla siebie lub bliskiej osoby roczną prenumeratę:

- tygodnika „Sieci” za 265 zł, a książkę dostaniesz w prezencie
- pakietu: tygodnika „Sieci” i magazynu „wSieciHistorii” za 295 zł, a w prezencie otrzymasz aż 3 książki*

Konto do wpłat za prenumeratę: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule przelewu: PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI (swoje lub osoby obdarowanej prenumeratą).

*Książki z oferty dostępne do wyczerpania nakładu. Potem w promocji pojawią się kolejne trzy tytuły.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16